W NUMERZE: Drogi zwycięstwa Ludowego Wojska Polskiego ■ Rozmowa z reżyserem Lidią Zamkow i nauczycielką Anną Kusideł ■ Dobra robota w Brzezinach ■ Wspomnienia Vladimira Nabokova: „Przemów pamięci" ■ W Szkocji, na Litwie i na moście Karola w Pradze ■ Dzieci lubią chodzić do teatru, a młodzież? ■ Zakopiański opiekun cyganerii ■ Fabryka grzybów w Skierniewicach ■ Historii pewnej miłości ciąg dalszy ■ Felietony

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 42 (1088) ROK XXI 15 PAŹDZIERNIKA 1978 R. CENA 3 ZŁ

Anna Kusideł *Foto. W. Parys*

„Zawsze staram się tak zacząć lekcję, aby wprowadzić w klasie dobry nastrój"

CZYTAJ STRONA 7

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

POWITAŁA NAS LITWA...

Powitała nas Litwa ze starolitewską (nader bliską staropolskiej) gościnnością. Nas, znaczy delegację pisarzy polskich na Dni Kultury i Książki Polskiej na Litwie*), które odbyły się tam w dniach 12—19 września i — powiedzmy to od razu — miały przebieg niezwykle uroczysty i bogaty w wydarzenia artystyczne.

Powitała nas Litwa chlebem i solą na granicy. Narodowym serem i wiejskim piwem. Krasnymi różami i kraśniejszymi od róż (to nie plagiat, bo Mickiewicz posłużył się w podobnej metaforze jarzębiną) licami dziewcząt. Za każdym razem — bo takich spotkań było, a było — w strojach ludowych, w barwnych, wyszywanych fartuszkach, gorsetach i charakterystycznych naczółkach, zgodnych kolorystycznie z całością ubioru. Wręczały z dygiem róże. Każda, wypisz — wymaluj, Zosia z „Pana Tadeusza", lenartowiczowska „wiochna" i — przykro, mi, że krasawica z innej parafii i przez to psuje stylistykę wiślańsko-niemeńskiego obrazu — każda Bardotce „wdziękiem wysmukłej dorówna kibici".

Powitali nas na granicy w rejonie lazdijskim, niemal o szlaban od Augustowa, barwni grajkowie, zbrojni w instrumenty odmienne nieco od naszych. Zagrali coś skocznego, co przypominało polkę galopkę. Zrobiliśmy przyjacielskie koło. Na pozór dość osobliwe, jako że wirowały w nim i tamte puszcz nadniemeńskich pierwsze krasawice, i towarzyszka sekretarz rejonu (co jak Grażyna — „powagą dziwi, a świeżością znęca" i jest w wieku niemalże studenckim), inne wysokie władze, funkcjonariusze graniczni z obu stron szlabanu przy orderach, i my: sarmackie dzieci Apollina i tutejsze Kelawela, boga, który, może nie wszyscy wiedzą, wykował słońce i również opiekował się artystami.

Powitali i podobnie witali nas wszędzie. Zmieniały się tylko barwy strojów ludowych. Zgodnie, myślę, z litewską tradycją mundurów wojewódzkich. Znacie to przecież: „widział mundur województwa: żupan złotem szyty", itd. Raz tylko, w Kłajpedzie, chyba ze względu na portowe tradycje miasta, wręczające kwiaty dziewczęta wystąpiły w strojach marynarskich. Poza tym jednak witano nas tak samo i tam gdzie „puszcz litewskich przepastne krainy", i po wsiach, w przysiółkach, w skansenie rymszyckim, opodal Morza Kowieńskiego, a dawniej miejsca, „gdzie ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi, Rumszyskiego napotkał olbrzyma", i w miastach małych, średnich i dużych, i nad Zalewem Kurońskim, i w Połądze, gdzie morze wciąż wyrzuca na brzeg odłamki zdruzgotanego przez Perkunasa bursztynowego pałacu Juraty. Niezmiennie też „Juras Putramentas", jako przewodniczący delegacji, otrzymał w darze pas szeroki, wyszywany, lniany, który należało nosić przez ramię. Wieść gminna niesie, że tym kształtem zwykli Litwini wyróżniać gościa najszacowniejszego i niewątpliwie Sędzia z „Pana Tadeusza" nie tylko Podkomorzemu ściskał kolana", lecz i w ten sam sposób dekorował go, gdy tylko zasiedli do uczty w zamku.

Powitała nas Litwa w osobach swych najwyższych przywódców w sali konferencyjnej KC KPZR — sekretarza tow. L. Szepetyra, wicepremiera A. Czesnavicziusa, kierowników wydziałów, ministrów. Mówiliśmy tam bez retorycznych okrąglizn, ale całkiem konkretnie o ostatnich osiągnięciach i kłopotach naszych krajów, o sytuacji w świecie, o nowych zjawiskach w naszych literaturach i możliwościach ich większego niż dotychczas przybliżenia obu naszych narodom. Witali i podejmowali nas kilkakrotnie nasi koledzy litewscy, z którymi odświeżyliśmy znajomości, bądź nadaliśmy im nowy, wyższy status przyjaźni. A podejmowali w przeznaczonym na siedzibę Związku — Pałacu Ogińskich, w którym prawdopodobnie powstał tamten najpiękniejszy, najbardziej polski i najbardziej smutny z naszych polonezów.

Powitała nas Litwa czytelnicza w nabitych po brzegi wielkich salach teatralnych. Starsi i młodzież elegancko ubrana (nie w dżinsach i gazetobluzkach) słuchali bez pomocy słuchawek, z których rozlegał się przekład na litewski a vista naszych wierszy i poloniców naszych litewskich kolegów (w tym wzruszająco podawanych przekładów Mickiewicza). Nie zapomnę cudownego nastroju w pełnej sali słynnego w Europie teatru dramatycznego w ledwie stutysięcznym Poniewieżu. Nie zapomnę też Wielkiej Improwizacji, którą wygłosił w Kłajpedzie młody aktor, ob-

Dalszy ciąg na str. 8

RYSZARD BINKOWSKI

FABRYKA GRZYBÓW

Objeżdżając szklarnie i pola uprawne INSTYTUTU WARZYWNICTWA zbliżyliśmy się do widocznych z daleka wysokich hal produkcyjnych. Niebieskie ściany i czerwone, kryte eternitem dachy, brak dymiących kominów. Z boku podobne kształtem i kolorystyką estetyczne domki, tylko trochę wydłużone. Jak się później dowiedziałem, są to baraki, a w jednym mieści się stołówka zakładowa. Daj Boże, aby wszędzie wznoszono takie „baraki", na razie potrafi je budować jedynie PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWNICTWA ROLNICZEGO Z WŁOCŁAWKA.

Rozejrzałem się wokół. Wszystko wskazywało, że to fabryka, tylko nie dymi. Teren porządnie ogrodzony, betonowe drogi rozjazdowe, wszędzie czysto, choć inwestycja jeszcze jakby nie zakończona. Od frontu bieleją ściany biurowca, nad którym sterczy szyja żółtego żurawia budowlanego, szyby w oknach zachlapane wapnem a więc biur nie warto tam szukać.

SPOTKANIE

Pojechałem wzdłuż jednej z hal i w uchylonych drzwiach zobaczyłem kobietę w niebieskim fartuchu i ciemnych okularach.

— Tedy dostane się do biura? — zapytałem.

— **Właściwie** — odparła z wahaniem — **to jest pan już na miejscu...**

Zza jej pleców wyłonił się młody mężczyzna o smagłej twarzy i czarnych, opadających niesfornie na czoło włosach.

— **A pan to z tej delegacji czy z wycieczki?** — rzucił z nutką niecierpliwości w głosie. — **Bo ja tu czekam na ważną delegację, która się spóźnia...**

— Nie — powiedziałem — ja solo. Poradzono mi, że znajdę tutaj dyrektora Szudyge.

— **To właśnie jestem ja** — oświadczył bez entuzjazmu. — **Ci dziennikarze chyba powariowali. Piszą i piszą, a w gazetach nie ma żadnych informacji. Ale znam trochę ten kawałek chleba, sam męczę się, żeby coś wysmażyć do pism fachowych.**

Tak poznałem **KRYSTIANA SZUDYGĘ**, dyrektora zakładów, jakich dotąd w Polsce jeszcze nie było, i chyba jedynych takiej wielkości w Europie. Zakładów, które śmiało można nazwać fabryką pieczarek.

Był młody, w żółtej kurtce ze skaju i w dżinsach, i nie miał biurka, telefonów i sekretarki.

Jak się później przekonałem, dzięki jego osobistemu zaangażowaniu wydarty na krańcu Skierniewic skrawek niskiej klasy ziemi zaczął owocować w niemal błyskawicznym tempie. Zabrano ziemię dla fabryki, w której prowadzi się produkcję roślinną. I to jaką produkcję! Porównanie nie jest stosowne, bo wiadomo, ile można zebrać z metra kwadratowego żyta lub ziemniaków.

W nowym zakładzie z metra kwadratowego zbiera się **120 kg pieczarek rocznie.**

To daje wartość **7.200 zł.**

Gdyby przemnożyć przez hektar, byłoby 10 tysięcy razy więcej, czyli **72 miliony złotych.**

Za licencję i pomoc w budowie zapłacono Francuzom w ciężkich dewizach. Ale to się powinno szybko zwrócić, **„Hortex"** bierze 1.500 dolarów za tonę pieczarek.

Wróćmy jednak do sedna sprawy. Co się kryje za tymi fantastycznymi liczbami? I co to właściwie jest ta „fabryka pieczarek"?

W SKALI 1:1

Instytut Warzywnictwa w Skierniewicach działa w myśl zasady, że obok

Dalszy ciąg na str. 12

WIESŁAW PUSZ

Pod zamkniętymi drzwiami czasu

„Nic tak nie orzeźwia, nie dodaje animuszu, jak kąpiel w czasie. Zawsze stosowałem tę „chronoterapię" i zalecałem ją moim czytelnikom, wysyłając ich albo do dalekich uzdrowisk, odległych o tysiące lat, albo do bliższych, gdzie trwa kojący dzień wczorajszy" (listopad 1947).

„Oto nawiedziła mnie wizja Diogenesa z latarką — idzie w biały dzień i jak go ktoś zatrzyma i zapyta, odpowiada gniewnym pomrukiem: Człowieka szukam. Cóż innego pisarz robi przez całe życie?" (grudzień 1973).

Jan Parandowski jest niewątpliwie jednym z owych nielicznych polskich pisarzy współczesnych, których nazwiska „mówią coś" czytelnikom korzystającym z rejonowych bibliotek. Powodów można wskazać kilka: stała obecność autora(?) „Mitologii" w obowiązkowej lekturze szkolnej, spora ilość tytułów, w miarę częste wznowienia. Mam wrażenie, że Parandowski jawi się tym czytelnikom jako autor zakochany w czasach przeszłych, przywołujący w swych książkach świetność antyku. Powszechność takiego wyobrażenia, ubożącego zresztą bardzo pisarza, nie musi i nie idzie w tym przypadku w parze z popularnością autora. Pamiętam lata, w których Parandowski był luminarzem polskiej literatury, lata, kiedy o jego dziełach mówiło się dużo i głośno, traktując ich twórcę jako mistrza i autorytet sztuki pisarskiej. Z czasem w sposób niezauważalny i twórczość, i autor zeszli z placu w taki sam sposób zresztą, w jaki agora poczęła się zmieniać w targowisko.

Analiza tego procesu, może i pasjonująca, musiałaby posługiwać się językiem ekonomii, a ściślej marketingu, a wyobcowaną twórczość literacką należałoby mieć za towar. Uczciwiej będzie zapytać się czy w samym pisarstwie Parandowskiego nie kryje się przyczyna spadku jego popularności. Moim zdaniem, tak. Pełnia uznania dzieł autora „Alchemii słowa" to lata powojenne. Pamięć nieodległych chwil minionych, presja niełatwych problemów teraźniejszości nie kusiły czytelników do obcowania z literaturą doraźną. Słowo niosące oddech czasu, wyprowadzające z zaułków wojny i polityki na rozległe przestrzenie kultury śródziemnomorskiej, było ulgą i pomocą.

Zapewniała je nie tylko wydana po raz pierwszy w 1949 r. „Godzina śródziemnomorska". Czytelnicy mogli wziąć do ręki znane już, „sprawdzone" tomy przedwojenne: „Dwie wiosny", „Dysk olimpijski", „Niebo w płomieniach", „Król życia". Książki te liczyły sobie w chwili powojennych wznowień po dwadzieścia kilka lat, lecz niepodległe tematyką i refleksją chwili bieżącej nie straciły swej wartości wraz z upływem czasu, wręcz przeciwnie — minione zdarzenia akcentowały jeszcze mocniej ich humanistyczne przesłanie. Były to przy tym książki bardzo różne, co bodaj czytelnikom Parandowskiego wówczas i dziś umyka. Tylko pozornie jego twórczość wydaje się monolityczna. „Mitologia" dla młodzieży i dorosłych oraz „Eros na Olimpie" — tylko dla dorosłych, to popularyzacja greckich mitów. „Dwie wiosny", wydrukowane trzy lata później, w 1927 r., to z kolei esej w formie dziennika z podróży do Grecji i Włoch. Po trzech latach wydał Parandowski powieść biograficzną o Oskarze Wildzie, splatając w „Królu życia" elementy narracji eseistycznej z fabułą powieściową wykorzystującą rzetelnie poznane źródła. Po następnych trzech latach ukazał się „Dysk olimpijski" — znów inny czas i temat oraz odmienna forma powieściowa, ledwie według Brodzkiej mieszcząca się w kategorii „fabularnej narracji o historii". Natomiast w 1936 r. (znów po trzech latach) opublikował nagle pisarz powieść całkowicie normalną, „Niebo w płomieniach", z tym że zajął się w niej problem kryzysu religijnego wywołanego przeczytaniem przez młodego bohatera „Życia Jezusa" Renana.

Po wojnie obok wznowień, zbiorów publikacji rozproszonych po periodykach oraz wspomnianych: „Godziny śródziemnomorskiej" i „Alchemii słowa" darzył nas pisarz w dalszym ciągu książkami bardzo się od siebie różniącymi, wzbogacając swą półkę między innymi o zespół autobiograficznych opowiadań pt. „Zegar słoneczny" (1953), biografię wybitnego poety — „Petrarka" (1956), zbiór esejów w formie lirycznego przewodnika po „wiecznym mieście" — „Mój Rzym" (1959), wreszcie o dwa tomy wracające swą problematyką do czasów ostatniej wojny: „Powrót do życia" i pamiętnikarską „Wrześniową noc" (1962) oraz dwa tomy zapisków ze swego dziennika: „Luźne kartki" (1965) i „Refleksje" (1975).

Zestawienie dorobku pisarskiego Parandowskiego, nawet jak powyższe, niepełne, wprawia w podziw i zaskakuje niepodejrzewanym raczej różnorodnym bogactwem. Wytłumaczeniem tego faktu może być wielka spontaniczność i aktywność pisarza, którego, znowuż mylnie, wyobrażano sobie jako pochylonego nad pedantycznie wykonanymi i starannie zebranymi notatkami pisarza-erudytę, twórcę-akademika. Parandowski gromadził stale zapiski i notaty do swej twórczości, lecz miewał kłopoty z ich odszukaniem — nad czym sam nieraz ubolewał. Pochłaniała go nie tylko literatura, uczestniczył z pasją w życiu literackim, z przyjemnością — w towarzyskim. Od 1933 r. był prezesem Polskiego Klubu Literackiego PEN, w związku z tym uczestniczył w międzynarodowych kongresach tej organizacji, prowadził rozległą korespondencję z zagranicznymi pisarzami, gościł ich w Polsce, wygłaszał przemówienia. Miał zwyczaj odpowiadania na każdy list, wynikało to z bardzo indywidualnego przejęcia się każdym zetknięciem z drugim człowiekiem, odrębnym w bogactwie swych doświadczeń, cech i wartości, a znikającym nieraz po przelotnym kontakcie w zamęcie codzienności. Obliczał swe listy na tysiące, zdając sobie sprawę z ich nieuchronnego z powodu braku kopii rozproszenia.

Nie od razu został też Parandowski literatem żyjącym wyłącznie z wydanych książek. W czasie przymusowego pobytu w Rosji w okresie I wojny światowej był nauczycielem dzieci polskich. Po powrocie kontynuował przerwane studia w uniwersytecie lwowskim w zakresie filologii klasycznej, archeologii i historii sztuki. Jednocześnie pracował jako dziennikarz w szacownej, wydawanej od stulecia „Gazecie Lwowskiej", pisząc drukowane tam felietony, eseje i recenzje pod stosami korekty, która go często obdarzano ceniąc rzetelność. A korekta nie była tym, co dzisiaj:

„Co godzina przynoszono z drukarni korekty i wtedy należało poświęcić się im z uwagą i skupieniem. Ambicją pisma była absolutna nienaganność, każdy błąd drukarski, gdy go Rolle (zastępca naczelnego, syn słynnego gawędziarza podolskiego) znalazł w numerze, a czytał go zawsze od pierwszej do ostatniej linijki, wprawiał go w furię i nabawiał migreny."

Parandowski skończył studia w 1923 r., przenosząc w końcowym okresie swą dziennikarską służbę na noc. Już od roku współpracował wtedy ze znaną księgarnią wydawniczą Altenberga, redagując bibliotekę Wieley Pisarze (m. in. monografia A. Brücknera o Reju i M. Szyjkowskiego o Mickiewiczu) oraz serię przekładów z literatur klasycznych pod nazwą Pan. W 1924 r wyjechał do Francji, w latach 1925-1926 po raz kolejny wędrował po Włoszech i Grecji (pierwszy raz był w Italii w 1913 r.). W 1929 opuścił Parandowski Lwów i związał się na stałe z Warszawą. W stolicy między innymi współredagował z L. H. Morstinem „Pamiętnik Warszawski", od 1936 był redaktorem w dziale literackim Polskiego Radia. Po wojnie mieszkał przez dwa lata w Lublinie, prowadząc w tamtejszym Uniwersytecie Katolickim od 1945 do 1950 r. zajęcia z literatury porównawczej.

Jan Parandowski
Foto: Archiwum

Różnorodności zajęć towarzyszyła ciągła wędrówka po różnych krajach, książkach i tematach. Było to utrapienie pisarza, w jego zapiskach pojawiają się czasem pełne desperacji okrzyki: „Wieczne zmartwienie. zamieć pomysłów i planów" (8 maja 1950). W sporządzonym jesienią 1951 roku zestawie zamierzeń doszedł do dziewięciu punktów, by wreszcie westchnąć: „Nieraz kładąc się spać wieczorem, myślę z goryczą, że dobiegam sześćdziesiątki, a marnuję czas, jakbym miał trzydzieści lat". Zarzucał sobie, co wielce znamienne, nie nadmiar pomysłów, ale „niepoprawną niestałość umysłu". „Poza kilku okresami nigdy nie umiałem oddać się całkowicie jednej pracy, a nawet może i w tych „okresach" nie potrafiłem się na to zdobyć." Bywały jednak efekty owego braku skupienia, które i sam pisarz sobie cenił. W trakcie żmudnego tłumaczenia „Odysei", w przerwach pisał opowiadania, które złożyły się potem na „Zegar słoneczny".

Wrażenie uciążliwego nienadążania za cisnącymi się tematami i piętrzącymi się do nich materiałami było subiektywnym odczuciem pisarza wielkiej wyobraźni, lecz i wielkiej pracowitości. W „Alchemii słowa" podkreślał konieczność codziennego „odsiadywania" kilku godzin przy biurku. „Dyscyplina pracy — pisał — była zawsze błogosławieństwem pisarzy. Ileż sił oszczędza się przez stałe godziny biurka." Dla poparcia swej opinii przypominał obyczaje słynnych literatów i cytował ich słowa, m. in. bardzo przez siebie cenionego G. Flauberta, który głosił, iż „natchnienie polega na tym, by zasiadać do pracy o tej samej godzinie". Słuszność tej zasady potwierdzał własnym nawykiem. Przebywając poza Warszawą, ale nie przerywając zapewne roboty, konstatował: „Muszę ruszać piórem lub ołówkiem co dzień parę godzin. To okropny nałóg."

Jednak istniał jeden autentyczny powód usprawiedliwiający ciągły pośpiech i niezadowolenie pisarza z postępu swych prac. Była to pamięć o losie księgozbioru, zapisanych zeszytów i notatek spalonych w Warszawie w czasie powstania. „Nigdy nie mogę się pogodzić z tymi stratami ani o nich zapomnieć — po tylu latach. I teraz właśnie, kiedy ze starych czasopism i z kajetów wydobywam systematycznie wszystko, co da się związać w książkę, nawiedza mnie dojmujący żal za tymi nie narodzonymi, a już tak bliskimi narodzin, którym przez lekkomyślność i opieszałość zamknąłem drogę do życia."

Erudycja, pracowitość, wielkie wymagania stawiane samemu sobie. Iluż młodym pisarzom, będącym w rozkwicie talentu, przyznać można dzisiaj wszystkie te przymioty? Po wielkich twórcach, jak Parandowski, musi pozostać luka; przygnębia ona tym bardziej, im ciaśniej dookoła od literatów z łaski wydawcy i własnych mniemań. Zamiast miłości słowa — miłość własna. Zamiast poczucia odpowiedzialności — poczucie krzywdy. „Duma, próżność, przesadna ocena naszego charakteru, naszych właściwości odrzuca to, co mogłoby nas poniżyć w naszych własnych oczach. Zmyślamy sobie, tworzymy sobie własny mit, z którego możemy się nigdy nie ocknąć" — przestrzegał Parandowski. Nie tylko starożytność była dla niego widownią wielkich aspiracji na miarę możliwości ówczesnych twórców. „Kojący dzień wczorajszy" to także renesans. „Wtedy sztuką żywiono się jak chlebem, ogrzewano się nią jak słońcem, a ta radość i ten zachwyt uskrzydlały artystów i zwielokrotniały ich siły. W artystach resensansowych objawia się najszlachetniejszy rys epoki — nienasycenie. Wciąż dążą, wciąż szukają, wciąż idą wyżej, wciąż pragną samych siebie prześcignąć. (...) Nic tak nie wyróżnia epoki wysokiej kultury, jak ciekawość, głód wiedzy i wiara w nieograniczone możliwości poznania."

Nienasycenie i ciekawość wodziły Parandowskiego po zatartych ścieżkach przeszłości, w jego wędrówce „na przełaj stuleci". Czego tam szukał? Odpowiedź, spospolitowana ciągłym nadużywaniem, brzmi obecnie jak frazes, nazbyt górna, więc podejrzana deklaracja — szukał prawdy o człowieku. Prawdy potrzebnej na dzisiaj, krzepiącej poczucie ludzkiej godności i siły.

„Żyłem i żyję z człowiekiem we wszystkich jego przemianach od owych dni, kiedy ujmował w garść nieobrobioną bułę kamienną i patrzyłem z głębokim przejęciem na te okrutne momenty, kiedy stał nad przepaścią, kiedy zdawało się, że nic go nie zbawi, a za chwilę widziało się go na wyższym poziomie, w tryumfie życia i cywilizacji, z gorejącymi nad głową jak gwiazdy nowymi ideami, nową prawdę, którą wyłuskał z tajemnicy świata."

Nie interesowała Parandowskiego teraźniejszość, traktowana jako wyizolowana z tradycji i historii doraźność. Drażniło wybieganie w przyszłość służące szyderczej ocenie przeszłości oraz manipulacji współczesnością.

„Ci, którzy w swych fantastycznych opowieściach komponują obraz przyszłości, są nieznośni w natrząsaniu się z naszych czasów. Znalazłszy sobie wygodną i bezpłatną lożę w epoce prawników, patrzą na nasze dzieje z lekceważeniem, na jakie nie pozwalał sobie Guliwer wobec liliputów. (...) Nie jest to żadna nauka ukazywać drogę do raju, który nie istnieje i nigdy istnieć nie będzie. Na nic się nie przyda tworzyć doskonałe instytucje i zadowolone społeczeństwo w warunkach odartych z rzeczywistości, w stosunkach, których żaden żywy człowiek nie doświadczył. Nie jest to ani aktem wiary w postęp, ani nadzieją na przyszłość. Jest to smutną zabawa w hodowanie złudzeń, anemicznych i bezwonnych, jak doniczkowa flora.

Lecz kryją one w sobie jeszcze i poważne niebezpieczeństwo. Przez swoją łatwość z pozorem wyższości intelektualnej działają na umysły pospolite, a żądne władzy. Gdyby przetrząsnąć lekturę różnych reformatorów, którym przewroty polityczne lub inne okoliczności pozwoliły kierować życiem społeczeństw, przekonalibyśmy się, ile ciosów spotkało całe narody tylko z tego powodu, że jakiś beletrysta, nie mając pod ręką innego tematu, napisał paruset-stronicową bajędę o doskonałym ustroju."

Pisarstwo Parandowskiego z wyboru i najgłębszej wewnętrznej potrzeby było poszukiwaniem człowieka w jego dziejach. Wielkie słowa, wielkie cele. Czytelnicy książek Parandowskiego wiedzą jednak, że owe poszukiwania odbywały się na kartach jego dzieł niezauważalnie: bez patosu, euforycznych uniesień lub przygnębiającej powagi. Bez nadmiaru uogólnień, ale z szacunkiem i upodobaniem szczegółu. Parandowski to przecież smakosz ulicznego dowcipu, kolekcjoner parkanowego zapisu, łowca i mistrz anegdoty. Jakże wiele zgromadził ich w swych „Luźnych kartkach" i „Reflekcjach" Często też spotykamy w jego utworach delikatny humor oraz mądry dystans do spraw i słów. Dystans ten zachowywał także w konfrontacji z chwilą bieżącą; „potrafi patrzeć z dystansu na rzeczy bliskie" — zauważyła trafnie przed laty B. Sowińska. Indywidualny koloryt utworów Parandowskiego to także powszechnie podziwiane piękno i funkcjonalność stylu. To też łatwość przejścia od skomplikowanego, rozbudowanego zdania do zwartego. pamiętanego aforyzmu. „Krople atramentu biegną w żyłach kultury" — — czyż można to zapomnieć?

Dla mnie osobiście czymś szczególnie uderzającym jest ten rodzaj wyobraźni Parandowskiego, który narzucał mu niemal poprzestawanie z ludźmi minionych epok. „Nieustannie trawi mnie nieodgadniony dzień powszedni wielkich ludzi" — wyznawał. „Oto (...) przez szczelinę widzę odchodzące w niepowrotny mrok postaci, które chciałoby się zatrzymać, dopóki są żywym ciałem, a tu już ich cienie przesuwają się w milczeniu. Można im wrócić kształt wyobraźnią i zobaczyć Platona, jak zdjęty z marmuru, mężczyzna rosły, z obfitą brodą, szerokim czołem idzie w swój dzień powszedni ścieżką ogrodu czy ulicą miasta, w słońcu lub zmierzchu, jak zatrzymuje się, by przywitać znajomych, albo jak udaje, że ich nie widzi, by nikt nie ...ącił samotności, a kiedy indziej sam się jej pozbywa mieszając się z tłumem albo wchodząc do czyjegoś domu, gdzie za chwilę siedzi z gospodarzem przy winie i oliwkach".

Wyobraźnia podsuwała ciągle Parandowskiemu obrazy ludzkiej krzątaniny w czasach odległych, ale — co szczególnie charakterystyczne — dręczyła go jednocześnie sytuacja podglądania. „Pod zamkniętymi drzwiami czasu." Z możliwością wyobrażenia sobie, ale bez możności przekroczenia progu. „Ojca dialogów nie możemy widzieć inaczej niż w słowie i marmurze, co nie wystarcza takim jak ja upartym łowcom życia i przemijających dni. Cóż nam pozostaje? Śnić o nich i wzywać jakieś dobroczynne demony, by uchyliły szczelinę na to, co niepowrotnie zginęło."

Obsesją zgoła Parandowskiego było pragnienie nie tylko zobaczenia, ale przede wszystkim usłyszenia ucichłej dawno mowy. „Na próżno wytężam słuch, by posłyszeć ich głos, ich słowa, te zwyczajne, skazane na nicość, ledwo zostały wypowiedziane." Marzył o dźwiękach modlitwy z X wieku, nasłuchiwał słów mieszkańców grodziska pod Sopotem, pokazanego mu przez prof. Gieysztora. Informacja o śladach człowieka paleolitu odkrytych na Wawelu, spowodowała, iż teraz „towarzyszy mi w godzinach nocnych". „Jestem zbyt wymagający, bo marzą mi się dźwięki, słowa pryskające z tych ust."

Gorąca potrzeba poznania człowieka, a do dyspozycji co najwyżej litery, podobizna oraz zawsze wyobraźnia. Dręczony swym pragnieniem dał Parandowski czytelnikom wiele pięknych wzruszeń, skupiając ich wokół owej szczeliny, przez którą spoglądał na korowód minionych pokoleń. Dzisiaj stoimy sami przed zamkniętymi drzwiami, które zamknęły się i za nim.

KRONIKA KULTURALNA

•

29 września w Pałacu na Wodzie w warszawskich Łazienkach odbyła się tradycyjna uroczysta inauguracja roku działalności kulturalnej i sezonu artystycznego 1978/79. Nowy rok otworzono koncertem poetycko-muzycznym w wykonaniu młodych artystów najlepszych absolwentów wyższych szkół teatralnych oraz laureatów konkursów. Miło odnotować, że tego niewątpliwego wyróżnienia dostąpiło również troje młodych łódzkich artystów: skrzypaczka **Barbara Górzyńska**, aktorka Teatru im. Jaracza **Bogusława Pawelec** i pianista **Bogusław Pikała.** Natomiast w grupie szczególnie utalentowanych młodych artystów, którzy zostali podczas uroczystości oficjalnie przedstawieni uczestniczącym w otwarciu władzom partii i państwa, znalazł się I — obok B. Górzyńskiej **Krzysztof Stroiński** — aktor Teatru im. Stefana Jaracza.

•

Również z okazji inauguracji roku kulturalno-oświatowego i otwarcia sezonu artystycznego kilkunastu wybitnych twórców zostało odznaczonych wysokimi odznaczeniami. Między innymi Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski udekorowano znanego reżysera filmowego z łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych — **Bolesława Bączyńskiego.** Gratulujemy!

•

Natomiast w województwie miejskim łódzkim zainaugurował rok kulturalny **„Wojewódzki sejmik pracowników i działaczy kultury"** w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Waryńskiego. Inauguracja miała charakter roboczej dyskusji nad stanem i perspektywami upowszechniania kultury w miastach i gminach WMŁ. Była ona kolejnym etapem przygotowań do XV Sesji Rady Narodowej m. Łodzi poświęconej problemom kultury (w końcu października).

•

Ocenie stanu i kierunków upowszechniania kultury w miastach i gminach WMŁ poświęcone było również posiedzenie Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, które pod przewodnictwem jej **przewodniczącego, I sekretarza KŁ PZPR B. Koperskiego** odbyło się 25 września br.

•

Tradycyjną uroczystością w sali Filharmonii Łódzkiej rozpoczął się nowy rok akademicki łódzkich uczelni artystycznych. Podczas tej uroczystości przekazany został **Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych sztandar ufundowany przez bałuckie zakłady pracy.** Sprawozdania z działalności uczelni złożyli rektorzy PWSM, PWSFTviT oraz PWSSP, a wykład inauguracyjny wygłosił prof. **H. Anders z PWSSP.**

•

2 października br. odbyła się w gmachu KC PZPR w Warszawie uroczystość wręczenia laureatom dorocznych nagród, przyznawanych w związku z tradycyjnym świętem organu KC PZPR „Trybuny Ludu". Wręczenia nagród dokonał **sekretarz KC PZPR — Jerzy Łukaszewicz.** Jak już informowaliśmy wśród twórców nagrodzonych „Za kształtowanie i upowszechnianie wartości kultury socjalistycznej" znaleźli się również łodzianie, **artysta-plastyk Wiesław Garboliński i pisarz Jerzy Wawrzak.**

•

34 osoby wyróżniono **odznakami Zasłużonego Działacza Kultury,** zaś **8** nagrodami dyrektora **Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi.** Był to jeszcze jeden akcent, którym zainaugurowono w województwie miejskim łódzkim działalność kulturalno-wychowawczą i sezon kulturalny 1978/79.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

JAN POWAŁA

DROGI ZWYCIĘSTWA

Foto: Archiwum

35 rocznica powstania Ludowego Wojska Polskiego skłania do refleksji nad trwałością tych wartości, które mają dla nas szczególne znaczenie — nad ofiarnością, żarliwością i ideowością działania partyjnego, wiernością zasadom patriotyzmu i internacjonalizmu, a także realizmem politycznym, wyrastającym z głębokiego związku z życiem narodu i dążeniami klasy robotniczej.

Na przestrzeni całej swej 35-letniej historii Ludowe Wojsko Polskie, w braterskim sojuszu z Armią Radziecką, ofiarnie wypełniało na każdym etapie swoją główną powinność — walkę o wolność kraju, a następnie czujnie i skutecznie pełniło służbę obronną w imię bezpieczeństwa i pokojowej pracy narodu. Pod przewodem partii, wspólnie z całym narodem aktywnie współuczestniczyło w budownictwie socjalistycznym, było i jest ważnym czynnikiem patriotycznej integracji narodu polskiego.

Szczególnie cenny, ewidentny i wymierny wkład wniosło Ludowe Wojsko Polskie w wyzwolenie kraju i zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami. Jest to wkład godny najlepszych naszych tradycji Naród polski, który we wrześniu 1939 r. pierwszy przeciwstawił się zbrojnie hitlerowskiej agresji, po prawie sześciu latach ciężkich i krwawych zmagań zwycięsko zakończył wojnę wyzwoleńczą na terytorium wroga, w jego stolicy.

Głęboki patriotyzm i wiara w ostateczne zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami sprawiły, że naród nasz nie załamał się w żadnym okresie II wojny światowej. Spośród wszystkich członków koalicji antyhitlerowskiej wysiłek wojenny Polski trwał najdłużej — przez 2.078 dni.

Nasz udział w historycznym zwycięstwie traktujemy jako wynik dokonań narodu jednoczącego się w walce o swe wyzwolenie. Jedność moralno-polityczna w budownictwie socjalistycznym stanowi kontynuację i rozwinięcie tych dokonań.

Kierowniczą siłą narodu polskiego w wojnie wyzwoleńczej była Polska Partia Robotnicza, która kierując się leninowskimi zasadami internacjonalizmu i narodową racją stanu Polski, wysunęła najbardziej realny program wspólnej walki ze Związkiem Radzieckim i jego bohaterską armią przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy. Polska lewica społeczna dostrzegła w wojnie wyzwoleńczej narodu polskiego nie tylko problem walki zbrojnej o odzyskanie niepodległości, ale równocześnie łączyła ją z walką o wyzwolenie społeczne. Konsekwentna realizacja tego programu doprowadziła do wyzwolenia kraju i ujęcia władzy przez lud, tworząc tym samym przesłanki wkroczenia Polski na drogę budownictwa socjalizmu.

Podstawową przesłanką koncepcji niepodległościowej Palskiej Partii Robotniczej było założenie, że walka wyzwoleńcza narodu polskiego jest częścią składową ogólnego wysiłku państw koalicji antyhitlerowskiej, że powinna być ona ściśle powiązana z decydującym dla Polski frontem wschodnim, na którym Armia Radziecka wiązała w walce główne siły Wehrmachtu gdzie dokonywały się przełomowe bitwy II wojny światowej, gdzie decydowały się losy wielu narodów, w tym także narodu polskiego.

Szczególnie ważnym wydarzeniem w wojnie wyzwoleńczej narodu polskiego było utworzenie z inicjatywy polskich komunistów i przy wszechstronnej pomocy Związku Radzieckiego I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a następnie I Korpusu i I Armii Polskiej w ZSRR.

Udział Dywizji Kościuszkowskiej w bitwie pod Lenino oznaczał zwycięstwo koncepcji polskiej lewicy społecznej, komunistów, którzy widzieli drogę do wyzwolenia ojczyzny u boku Armii Radzieckiej. Była to najkrótsza i najbardziej realna droga. Ona doprowadziła nas do zwycięstwa. Po raz pierwszy w II wojnie światowej na froncie wschodnim — decydującym froncie walki z faszyzmem, żołnierz I Dywizji własną krwią scementował braterstwo broni z Armią Radziecką.

W lecie 1944 r. Armia Polska w ZSRR liczyła ponad 100 tys. żołnierzy. Była to armia stanowiąca znaczną siłę militarną, a ponadto stanowiła ważne narzędzie rozstrzygnięć politycznych. W przededniu rozpoczęcia walk o wyzwolenie kraju polska lewica dysponowała więc siłami regularnymi, zdolnymi do wniesienia poważnego wkładu zbrojnego w odzyskanie niepodległego bytu narodowego, a także zapewnienia rodzącej się władzy ludowej popracia militarnego i politycznego.

Powstanie Polski Ludowej i Ludowego Wojska Polskiego w lipcu 1944 r. było ukoronowaniem koncepcji niepodległościowej polskiej lewicy i tych sił, które tę koncepcję poparły. Fakt ten miał doniosłe znaczenie społeczne, narodowe i międzynarodowe. Radykalnie zmieniły się polityczne i wojskowe warunki, w jakich naród polski kontynuował wojnę z III Rzeszą. Po stronie koalicji antyhitlerowskiej w sojuszu ze Związkiem Radzieckim do dalszej wojny przeciwko Niemcom hitlerowskim stawało Ludowe Wojsko Polskie, angażując w niej wszystkie zasoby moralne, ludzkie, materialne i militarne naszego narodu. Program Polskiego Komitetu Narodowego i Rządu Tymczasowego RP zapowiadał prowadzenie wojny do zwycięskiego końca oraz wyzwolenie i przywrócenie wszystkich ziem polskich na zachodzie i północy.

Głównym wskaźnikiem zaangażowania Ludowego Państwa Polskiego w wojnie przeciwko Niemcom hitlerowskim była rozbudowa Wojska Polskiego i jego udział w walkach na najważniejszym, warszawsko-berlińskim kierunku strategicznym, a więc tym, gdzie jego obecność wiązała się ściśle z realizacją postulatów narodowych, powrót na Bałtyk, Odrę i Nysę Łużycką, tam gdzie udział w walkach nadał wysiłkowi żołnierza Polskiego szczególnie wysoką rangę w ogólnych zmaganiach całej koalicji antyhitlerowskiej.

Dzięki wysiłkom partii, Naczelnego Dowództwa i pomocy Związku Radzieckiego w stosunkowo krótkim czasie mogliśmy stworzyć do końca wojny nowoczesne Wojsko Polskie liczące około 400 tys. żołnierzy, z tego w ofensywie zimowej wzięło udział 147 tys., a w operacji berlińskiej około 200 tys. żołnierzy. Obok dwóch związków operacyjnych tj. I i II armii WP w końcowym okresie wojny, wzięły udział I Korpus Pancerny, I Korpus i 4 Dywizja Lotnictwa Mieszanego oraz szereg innych związków taktycznych i oddziałów zabezpieczenia bojowego. Na wyposażeniu tych jednostek znajdowało się m. in. 3.100 dział i mozdzierzy, 500 czołgów i dział pancernych oraz 320 samolotów.

Foto: Archiwum

Ludowe Wojsko Polskie wniosło poważny wkład w wyzwolenie kraju spod okupacji. W sierpniu 1944 r. jednostki I armii WP toczyły ciężkie walki pod Dęblinem i Puławami, na przyczółku warecko-magnuszewskim, a we wrześniu o wyzwolenie Pragi i przyczółki warszawskie.

W styczniu 1945 r. I armia WP wspólnie z armiami radzieckimi wyzwoliła Warszawę. Fakt ten miał doniosłe znaczenie strategiczne i polityczne. Wyzwolenie Warszawy otwierało wojskom nacierającym linie komunikacyjne na zachód w kierunku Poznania i Berlina, dla narodu polskiego oznaczało wyzwolenie stolicy, którą okupant usiłował zetrzeć z powierzchni ziemi.

Udział żołnierza polskiego w realizacji celów operacji wiślańsko-odrzańskiej i pomorskiej Armii Radzieckiej miał szczególne znaczenie dla wyzwolenia kraju i powrót prastarych ziem piastowskich. Został on okupiony wspólnie przelaną krwią żołnierzy polskich i radzieckich. Bitwa o przełamanie Wału Pomorskiego i wyzwolenie Kołobrzegu była do czasu naszego udziału w epopei berlińskiej największą operacją, jaką prowadziło Ludowe Wojsko Polskie, jak również największą tego typu operacją polskich regularnych formacji w czasie II wojny światowej. Była, co najważniejsze operacją zwycięską. Na Wale Pomorskim i w Kołobrzegu zapisana została jedna z najpiękniejszych kart historii i tradycji oręża polskiego. Znaczenie tych walk polegało przede wszystkim na tym, że otwierało jednostkom polskim drogę do Berlina. Przelana krew i śmierć ponad 10 tys. żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego udokumentowały bezpośredni udział narodu i państwa polskiego w walce o jego kształt geograficzny, o nowe granice na Zachodzie. Były to ważne fakty w dziejach oręża polskiego, ważkie argumenty polityczne dla Rządu Tymczasowego RP, który zabiegał w tym czasie o ustalenie granic polskich nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

Szczególny powód do dumy posiada nasz naród z udziału Ludowego Wojska Polskiego w ostatniej fazie wojny z hitlerowskimi Niemcami. Udział w operacji berlińskiej był największym sukcesem militarnym Polski w II wojnie światowej. W ramach trzech radzieckich frontów operacyjnych rzut Wojska Polskiego liczył około 8 proc. stanu osobowego, około 7,5 proc. dział i moździerzy, 8 proc. czołgów i dział pancernych oraz 4 proc. samolotów. Obydwie polskie armie stanowiły 12 proc. związków operacyjnych pierwszego rzutu wojsk I Frontu Białoruskiego i I Frontu Ukraińskiego.

Liczby te podobnie jak przebieg i znaczenie prowadzonych walk świadczą o ważkim, istotnym wkładzie naszych ludowych Sił Zbrojnych w ostatnią fazę wojny z Niemcami hitlerowskimi.

Spośród blisko 200 tys. żołnierzy polskich biorących udział w operacji berlińskiej, ponad 12 tys. walczyło na ulicach Berlina. Na gruzach hitlerowskiej stolicy został zatknięty — jako jedyny aliancki — biało-czerwony sztandar polski. Uczynili to żołnierze, którzy szli najkrótszą drogą do kraju, którzy działając w imieniu polskiej lewicy społecznej wbijali słupy graniczne nad Odrą, Nysą i Bałtykiem, a ich krew przelana, ofiarność i męstwo kładły podwaliny pod gmach Polski Ludowej.

W dziejach oręża polskiego wydarzenia te zasługują na szczególną uwagę i pamięć, posiadają one wyjątkowo duże znaczenie wojskowe, moralne i polityczne. Udział jednostek Ludowego Wojska Polskiego w walkach poza granicami kraju — na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz w szturmie Berlina bezspornie można określić jako akt sprawiedliwości dziejowej. Uwieczniły one wspaniałym zwycięstwem wysiłek zbrojny naszego narodu w walce z hitlerowskim najeźdźcą.

Wielką cenę za swe najświetniejsze w historii zwycięstwo zapłacił naród polski. Ponad 6 mln obywateli polskich zginęło w czasie wojny i okupacji. Straty Ludowego Wojska Polskiego w krwawych zmaganiach z hitleryzmem wynoszą ponad 60 tys., w tym straty bezpowrotne — ponad 28 tys. żołnierzy.

Na bitewnym szlaku bojowym około 2 tys. oficerów radzieckich walczących w jednostkach polskich i pod polskimi sztandarami oddało swe życie. W walce na naszej ziemi i o wolność naszego narodu poległo 600 tysięcy radzieckich żołnierzy. Mogiły i setki pomników rozsianych po całym naszym kraju zawsze będą przypominać misję wyzwoleńczą i wielkie zwycięstwa, jakie odniosła Armia Radziecka nad siłami faszyzmu i hitleryzmu. W tym zwycięskim pochodzie, co jest dla nas niezwykle istotne, nie zabrakło żołnierza polskiego, który dzięki pomocy potężnego sojusznika mógł wydźwignąć się z kompleksu żołnierza tułacza i stać się żołnierzem zwycięskiej armii — armii ludu pracującego.

Żołnierz polski, walcząc pod operacyjnym dowództwem radzieckim, był godnym sojusznikiem i wiernym towarzyszem broni. Wyrazem uznania bohaterskich postaw jednostek Ludowego Wojska Polskiego były m. in. odznaczenia i wyróżnienia nadawane im przez Naczelne Dowództwo Armii Radzieckiej. 20 jednostek naszego wojska zostało odznaczonych radzieckimi orderami Czerwonego Sztandaru, Kutuzowa, Aleksandra Newskiego i Czerwonej Gwiazdy. Kilkadziesiąt jednostek otrzymało zaszczytne tytuły: Warszawskich, Praskich, Bydgoskich, Pomorskich, Kołobrzeskich, Brandenburskich, Łużyckich, Saskich, Nyskich i Drezdeńskich. Dziesięciokrotnie czczono w Moskwie zwycięstwa bojowe jednostek Ludowego Wojska Polskiego przez oddanie salutów armatnich.

Marksistowska myśl polityczna PPR, czyn Zbrojny Ludowego Wojska Polskiego na rozstrzygającym froncie walki z faszyzmem wywarły decydujący wpływ na powstanie Polski Ludowej w nowych, sprawiedliwych granicach państwowych, wpłynęły w sposób zasadniczy na miejsce i rolę Polski w układzie sił politycznych w Europie.

Płk. dr nauk humanistycznych Jan Powała, z-ca komendanta Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. L. Waryńskiego w Łodzi.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

BITWA

Gen. Zygmunt Berling

Foto: Archiwum

O 4 nad ranem rozpoczyna kanonadę nasza artyleria. Ogień jest huraganowy. Ostre błyski świateł i świst pocisków. Nic nie słychać. Nikt nic nie mówi. Żołnierze kurczowo ściskają broń. Mgła osiada na hełmach.

Szarzeje. Mgła jak mleko. Lepi się do twarzy i rąk. Wilgoć przenika mundury i chłodzi gorączkę. Jeszcze jedna lawina artyleryjskiego ognia. Nieprzyjaciel milczy. Po stronie niemieckiej nagle zapadła cisza. Czyżby nikt tam nie został?

Ostatnie wiadomości naszego zwiadu. Przed frontem 337 dywizja niemiecka, wchodząca w skład 89 korpusu piechoty 4 armii Grupy Armii „Środek". Na każdym kilometrze frontu nieprzyjaciel zgromadził około dwóch batalionów i 50 dział, nie licząc moździerzy i cekaemów.

Stanowiło to poważną siłę zdolną do utrzymania stałej obrony. W każdym razie tak długo, aż uruchomi się odwody.

Generał wyszedł na okop punktu dowodzenia i patrzy przez lornetkę. Za jego przykładem wychodzą inni. Wygląda to niesamowicie. Artyleria przykryła nas jak hełmem. Nieprzyjaciel ciągle milczy. Każdy wyborowy strzelec mógł nas zdjąć jednym wystrzałem. Wreszcie szef sztabu, pułkownik Siwicki, nie wytrzymał. — Generale — wykrzyknął — łamiecie regulamin wojskowy.

Generał nie odpowiedział, lecz zszedł do schronu.

O 6 rozkaz natarcia. W pierwszej linii pierwszy batalion 1 pułku piechoty. Batalionem dowodzi major Lechowicz i zastępca do spraw politycznych, por. Paziński. Żołnierze wyskakują z okopów i biegną nieprzerwanie strzelając. Mgła rzednie. Rozpryskuje się w ogniu. Widać sylwetki biegnących. Pochyleni, skacza przez bruzdy. Coraz bliżej, bliżej linii nieprzyjaciela. I wtedy lawina ognia z pozycji wroga. Pada mjr Lechowicz. Pada por. Paziński. Pada por. Kalinowski. Żołnierze ciągle biegną. Brną już przez rzekę. Po pas w błocie. Strzelają na oślep. Padają, pełzną, jeszcze jeden skok i batalion zalega w płytkim okopie. Ruszają do natarcia następne kompanie, bataliony. Drugi pułk i trzeci pułk piechoty. Pierwsza linia frontu zdobyta. Za nią druga. Ogień. Samoloty. Ziemia dygocze. Ruszają czołgi. Znowu nasza artyleria. Fizylierki prowadzą pierwszych jeńców. Grupa sanitariuszy. Zabici i ranni. Coraz więcej. Coraz ich więcej. Drugi batalion przypada do ziemi. Mija go w biegu batalion trzeci...

Dywizja im. Tadeusza Kościuszki wykonała zadanie. Przerwała front. Przesunęła się w głąb na 4 kilometry. Sąsiadujące z nami dywizje radzieckie nie zdołały jednak przełamać linii przeciwnika. Wycofały się po pierwszym kontruderzeniu. Dla naszych wojsk wytworzyła się trudna dramatyczna sytuacja. Kontrnatarcie niemieckich oddziałów na wysunięte skrzydła 1 pułku.

Otrzymuję od dowódcy dywizji, gen. Berlinga, rozkaz udania się na punkt dowodzenia 1 pułku, znajdującego się prawie w okrążeniu. Jest już tam płk Kieniewicz. Natomiast dowódca pułku zniknął bez śladu.

Generał patrzy przez chwilę i jakby od niechcenia mówi:

— Nie zapomnij odbezpieczyć broni.

— Rozkaz.

Salutuję. Wychodzę. Biegną przez pobojowsko trupów i rannych. Nieprzerwane naloty samolotów. Krzyżujący się ogień jednostek nieprzyjacielskich, które znajdują się na bokach naszej dywizji. Kilka razy przypadam do ziemi. Pełznę. Koło mnie zabici i ranni. Sanitariuszy prawie nie ma. Odnoszę wrażenie, że własna artyleria kładzie się po nas. Nie ma chwili do stracenia. Znowu biegnę. Naloty. Wizg bomb. Nic nie słychać. Nic do cholery, nie słychać. Zrywam się, biegnę, padam, biegnę. Goni mnie ogień niemieckich skrzydeł. Padam. Znowu biegnę.

Na punkcie dowodzenia pierwszego pułku zastaję w doskonałej formie płka Kieniewicza. „No i jesteś — śmieje się. — Tu nie bal, tu wojna".

Naradzam się z pułkownikiem Kieniewiczem. Należy dokonać przegrupowania. Kilka plutonów i jedna kompania zostały odcięte od swojej bazy. Skrzydła sąsiadów zostały w tyle. Również część czołgów zapędziła się zbyt daleko i wpadła pod krzyżowy ogień artylerii. Przypominam sobie rozkaz natarcia: „Jak lawina naprzód, bez oglądania się na skrzydła". Nie ma skrzydeł. Ten rozkaz stracił już wszelki sens. Znowu kontratak nieprzyjaciela. Wyraźnie nas zachodzą od tyłu. Dzielimy się z płkiem Kieniewiczem zadaniami. Obejmuję dowództwo prawego odcinka. Jestem więc sam. Nikt za mnie nie podejmie decyzji. Nikt za mnie nie wyda rozkazu.

Żołnierz polski walczy z zajadłością. Ogień moździerzy bezpośrednio na pozycje okopów, w których staramy się utrzymać aż do nadejścia posiłków. Jedna salwa przenosi, druga nie dosięga, trzecia trafia. Znowu morderczy nalot. Samoloty idą nisko coraz niżej. Prawie kładą się cieniem i wyciem. Wizg. Wybuch. Masy ziemi, kamieni, odłamków walą się z ogłuszającym trzaskiem. Nad okopami sylwetki Niemców. Walka wręcz. Jeszcze jeden atak odparty.

I znów od początku. Nalot samolotów. Gniotą nas do ziemi, która nagle podnosi się i z hukiem opada. Staramy się wydostać. Pełzniemy w dole jak krety. Ustawiamy, czekamy na bojowe stanowiska. Ogniu!

Nie potrafię opowiedzieć o tych dwóch dniach morderczej walki. Po prostu nie pamiętam. Strzępy wrażeń. Przerażony żołnierz chowa głowę pod mój szynel. Ktoś wybiega z okopu i leci przed siebie. Jeszcze trzy kroki. Pada. Zrywa się i pada po raz ostatni. Widzę, jak podnosi nogę. Patrzymy w napięciu. Nie, już nie wstał. Życie i śmierć są krótkie. Chyba, że dostał w brzuch i krzyczy. I tak mu nie przyjdzie nikt z pomocą.

W nocy udaremniliśmy jeszcze jedną próbę okrążenia. Pod werbel bębnów szły w ordynku, jak na paradę, czarne oddziały SS. Obok mnie przy kulomiocie strzelec.

— Pułkowniku — krzyczy — jedną taśmę, dajcie mi jedną taśmę!

Nie mieliśmy amunicji. Sprawdziłem pistolet. Dwa naboje. Oddziały SS, w ordynku, przy warkocie werbli, są coraz bliżej. Lucjan Szenwald wyskoczył z okopu i z krzykiem rzucił się naprzód. Poderwałem żołnierzy. Zawahali się. Jeden, drugi się podniósł. Porucznik Jan Stefczyk krzyczy: „Bagnety na sztorc! Bagnety!". Słyszę wyraźnie jego rozkaz. I biegnę. Biegną już wszyscy. Najpierw wolno. Później coraz prędzej. Jak człowiek potrafi krzyczeć! Jak piekielnie potrafi krzyczeć! I już jesteśmy. Blisko... Blisko. Ktoś mnie osłonił. Starcie wręcz. Na biała broń. Jak zwierzęta. Jak dzikie zwierzęta. Kłując się i mordując. Coś krzyczę. Ciągle coś krzyczę. Jedno, drugie zwarcie. Nie wiem, jak?! Nie wiem, jak?! Ludzie padają. Obok, przede mną, za mną. Potworny łeb. Wysoko nade mną. Strzelam prosto w twarz. Wyrywam z rąk bagnet. Obok są polscy żołnierze. Piora. Piora na odlew. Niemcy rzucają się do ucieczki. Tak jest. Widzę to wyraźnie. Jak na zwolnionym filmie. Bijemy kolbami na odlew. Ludzie, wciąż ludzie pod nogami, na ziemi. Biegniemy. Jeszcze kilkanaście kroków. I daję rozkaz odwrotu. To nie takie proste. Krzyczę. Zatrzymuję siłą. Cofamy się. Wolno. Piekielnie wolno. Oto i nasze okopy. Tam dopiero widzimy rannych. Słyszymy krzyki, jęki. Próbujemy żywych ściągać z pola bitwy. Opatrywać umierających. Salwa. Salwa po nas. Jan Stefczyk podniósł obie ręce, zakręcił i upadł. Biegnę do niego. Ciągniemy go z Szenwaldem razem. Ale po co? To już koniec. Bezwładna głowa na ziemi. Krew na ustach. Krwi coraz więcej.

Jeszcze jeden atak został odparty. Wiemy jednak, że dla nas to atak ostatni. Po prostu nie mamy amunicji. Telefon od płka Kieniewicza. „Trzymaj się krzyczy — trzymaj. Mam na telefonie płka Bewziuka. Zaraz położa artylerię. Bij sukinsynów, to nie ty, to Bewziuk. Sukinsynów, panimajesz?!"

W pół godziny później przykryła nas artyleria. Było to więcej niż wsparcie. Był to ratunek. Byliśmy od kilku godzin zdani na własne siły. Nie wywożono rannych. Nie dochodziło wyżywienie. Dopiero wieczorem otrzymaliśmy zapasową amunicję.

I wówczas zażądałem wody w menażce. Wyjąłem lusterko, brzytwę i ogoliłem się. Własną brzytwą, we własnym lusterku.

W nocy z 13 na 14 października zrobiło się nagle cicho. Biały księżyc oświetlił nasze twarze. Patrzyliśmy na siebie zdumieni. Zdradziecka cisza była straszniejsza niż nieustanny łomot ognia. Czasami tylko z rzadkiem przelatywała mina i tłukąc się niezgrabnie, z wyciem padała obok. Wybuch. I znowu cicho. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Ktoś mówił o księciu Józefie Poniatowskim. Ktoś roześmiał się cicho i odłożył, zmęczony, karabin. Dopiero o północy meldunek ze sztabu dywizji. Oddziały niemieckie, po kontrnatarciu na Trigubowo jednostek radzieckich, wycofują się na drugą linię obrony. Nacierają dalsze dwie dywizje radzieckie. Otrzymałem wezwanie, żeby natychmiast udać się na punkt dowodzenia.

Próbuję połączyć się z pułkownikiem Kieniewiczem. Ale telefon nie działa. Druciarz patrzy na mnie bezradnie i twierdzi, że połączenia z Kieniewiczem nie ma. Bez słowa wychodzę z okopu i widzę, daleko przed sobą, na wzniesieniu leja, ciężka postać pułkownika. Chcę coś krzyknąć, lecz machnąwszy tylko ręką i zaczynam iść przez upierne wzgórze pobojowska. Jeszcze jedno miażdżące minę. Padam. Staram się trzymać bliżej oszodołów ziemi.

Byłem znów całkowicie sam. Jak we śnie. Nade mną biała łuna księżyca. Przełaziłem przez zabitych, może nawet jeszcze żyjących pusty i obojętny jak manekin nakręcony obcą ręką. Przez te dni nie myślałem ani o życiu, ani o śmierci. Było jej zbyt wiele. Wokół i pode mną. Przestałem się nawet bać. Działałem jak człowiek, który ma zawsze tylko jedno wyjście. I albo przejdzie, albo nie przejdzie. Albo życie ukradnie. Albo życie ukradną jemu. I oto teraz jestem sam. Wśród zabitych. Na pustym polu. Znowu mina rozkleksotała się obok. Przykucnąłem pod dłonią księżyca jak robak. Prysnęła ziemia. Jak cicho! Wstaję, biegnę. Znowu mina. Znowu spłaszczony robak. I dłoń księżyca wypukła jak niebo. Szedłem coraz szybciej, prawie biegłem.

I tak w nieskończoność. O nieskończoności można mówić tylko wówczas, gdy czasu jest mało. Miałem go coraz mniej i dlatego za każdym wybuchem miny biegłem coraz prędzej.

Pierwsze placówki drugiej linii obrony. Odprowadzono mnie do punktu dowodzenia dywizji. Gen. Berling poklepał mnie po ramieniu i „wydziwiał" z poprzestrzelanego i podartego szynela. Telefon z dowództwa frontu. Zameldowałem o swoim przybyciu niepotrzebnie ostro, prawie krzycząc. Straty? Nie wiem. Nie znałem strat. Straty pułku? Blisko 50 procent. Dwie kompanie w okrążeniu wzięte do niewoli. Tak. Powtarzam. Dwie kompanie w okrążeniu wzięto do niewoli lub wybito. Tak jest, powtarzam, lub wybito. „Wołać generała. Rozkaz. Wołać generała". Generał Berling bierze słuchawkę i przyjmuje rozkaz:

— Dywizja im. Tadeusza Kościuszki jutro bierze udział w kontrnatarciu. Po wykonaniu zadania zostanie wycofana na zaplecze celem reorganizacji, dokompletowania i odpoczynku.

Generał, szef sztabu i ja patrzymy na siebie. Dopiero po chwili słyszę głos Berlinga: — No, tak. Zrobiliśmy swoje. Ale bal był. Cholerny bal.

16 października o 9 rano odbyła się odprawa, na której gen. Berling dokonał oceny bitwy pod Lenino. Zadanie zostało wykonane. Front przerwany i utworzono przyczółek do szturmu na linię Dniepru. Dywizja poniosła jednak duże straty. Pierwszy pułk piechoty nie może doliczyć się 1.300 ludzi w zabitych, rannych i zaginionych bez wieści. Drugi pułk — 600 ludzi, trzeci — 500. Postawa żołnierza była znakomita. Oficerowie jako indywidualni żołnierze walczyli doskonale, jako dowódcy — gorzej. Brakowało doświadczenia kilku lat trwającej już wojny. Dywizja została zaskoczona niezwykłą obroną przeciwnika i ustawicznym bombardowaniem z powietrza. Oddziały radzieckie dopiero pod koniec trzeciego dnia przeszły do kontrnatarcia i odrzuciły przeciwnika na sześć kilometrów w głąb dawnej linii obrony.

Z przemówienia płka Sokorskiego na odprawie oficerów politycznych:

(...) „Nieprzyjaciel zrobił wszystko, aby powstrzymać nas od wyjścia na Dniepr, co by oznaczało dla niego przeciecie głównej linii obrony. W tym celu zmobilizowany został potężny kułak artyleryjski, pancerny i lotniczy, o którym nie wiedzieliśmy przed natarciem. Należało więc natychmiast przebudować cały plan operacji. Myśmy tego na czas uczynić nie potrafili. W warunkach, w jakich zostaliśmy postawieni, zrobiliśmy wiele jako dywizja, jako żołnierze. Przerwaliśmy obronę nieprzyjaciela, nie daliśmy się odciąć. Ale tkwiliśmy w starych planach i nie dość szybko przebudowaliśmy swój system walki. Usiłowaliśmy nacierać dalej chociaż już obiektywnych danych dla natarcia nie było. To pociągnęło za sobą poważne straty które poniósł zwłaszcza 1 pułk piechoty, znakomity w natarciu i — jak to się później okazało — doskonały w obronie. Dowództwo pierwszego pułku nie potrafiło jednak w pierwszej chwili zapanować nad sytuacją, zwłaszcza w warunkach kontrataków ze skrzydeł. Powstała groźba okrążenia. Tylko dzięki ofiarności żołnierzy i oficerów sytuacja została uratowana.

(...) Oficerowie liniowi i polityczni zachowali się jak bohaterowie, ale bohaterowie na poziomie dowódców kompanii a nawet plutonów. Należało mniej się narażać, a więcej kierować. Dowódcy poszczególnych jednostek nie potrafili kierować całością swojego odcinka i poszczególne rzuty zmieszały się. W momencie niemieckiego przeciwnatarcia dowódca pierwszego pułku nie dokonał na czas skrzydłowego uszykowania. Tym większe uznanie dla oficerów i żołnierzy, którzy nie dali zaskoczyć się i odrzucali kontrnatarcie w walce na białą broń. Wniosek: Taktyka wojenna nigdy nie powinna być czymś sztywnym. Trzeba mieć w zanadrzu wszystkie możliwe warianty... Nie doceniliśmy także pracy tyłów, podciągania na czas amunicji, wywożenia rannych, dostarczania żywności, grzebania zabitych. Za te wszystkie braki musieliśmy drogo zapłacić w zabitych, rannych a nawet jeńcach którzy w liczbie około 200 znaleźli się w rękach niemieckich.

(...) Nie zmienia to jednak faktu, że bitwa pod Lenino wejdzie do historii polskiego oręża jako pierwsza zwycięska bitwa armii polskiej powstałej w Związku Radzieckim. Okazaliśmy się godni sławy naszych przodków i chwały imienia polskiego oręża. Wykonaliśmy zadanie i utrzymaliśmy drogo zdobyte pozycje. Mówiąc o swoich stratach nie możemy zapomnieć, że w kraju toczy się walka. Toczy się walka przez wszystkie lata okupacji mimo ofiar i aktów ludobójstwa. Bitwa pod Lenino, o której wiadomość dotrze do kraju, dała nam dowód, że żołnierz polski, świadomy swojej roli i zadań, walczy wszędzie tam, gdzie toczy się bój z faszyzmem. Wybraliśmy drogę najkrótszą, chociaż na pewno nie najłatwiejszą. Oddajmy więc hołd tym, którzy polegli..."

Oficerowie stali w milczeniu. Minuta ciszy. Nikt nie miał pytań. I nikt nie kwapił się do odpowiedzi.

Na dworze umierała jesień. Liście padały z drzew. Rdzawe i porażone nocnym chłodem. Tylko serce ziemi biło w takt wybuchów artylerii. Jęczał horyzont w głuchym dudnieniu armat. Wojna nie była skończona. Dla nas wojna dopiero się zaczęła.

(Z KSIĄŻKI „POLACY POD (LENINO").

JERZY WILMAŃSKI

ROZMOWA Z KOMBATANTEM

Spytałem — co pamiętasz

Powiedział — komary nad Oką
tam były stada komarów
i sosny strzelały wysoko
i było lato

Pamiętasz — spytałem — ten napis
„Witaj żołnierzu-tułaczu"

Czytałem o tym — powiedział

Pamiętasz — spytałem — ten atak
Połzuchy i Trygubowo

Czytałem o tym — powiedział
— ja tylko pamiętam przymrozek
gruda rozcięła mi czoło
kiedy upadłem pod serią

Nieprawda — mówię — że gruda
zmyśliłeś tamte komary
to przecież była Historia

Czytałem o tym — powiedział
Ja miałem dwadzieścia lat
i chciałem wrócić do domu

Powszechnie wiadomo o naszych rodzimych kłopotach motoryzacyjnych, a na temat usług związanych z tą częścią gospodarki pisało się i pisze sporo. W większości publikacje dotyczące stacji obsługi samochodów są utrzymane w tonacji krytycznej. Jedynie ten, kto nigdy nie posiadał własnego samochodu, może zachować obojętny stosunek do usług świadczonych przez „POLMOZBYT". Piszący niniejsze słowa ma także dość gorzkie doświadczenia w tej dziedzinie. Wydawało się więc, że na sporym terenie, objętym usługami łódzkiego „POLMOZBYTU", nie uda się znaleźć ani jednej stacji, o której można by było napisać dobrze, nie będąc posądzonym o kumoterstwo. Okazuje się, że takowa stacja obsługi istnieje i to wcale nie w Łodzi, lecz na obrzeżu małego miasteczka BRZEZINY w woj. skierniewickim.

EUGENIUSZ IWANICKI

W BRZEZINACH POTRAFIĄ...

Na stanowisku napraw szybkich pracy nigdy nie brakuje.

Tu pozwolę sobie na małą dygresję: pisząc o brzezińskiej **ASOS nr 18**, nie chciałbym przez to samo umniejszyć zasług, sądzę, że bardzo dobrze pracującej **ASOS nr 6**, mieszczącej się przy ul. Piotra Skargi w Łodzi. Nawiązanie do tej placówki posiada swoje uzasadnienie i sądzę, że jest świadectwem rangi tej stacji pośród wszystkich innych. Otóż zastępca dyr. **ASOS nr 18 w Brzezniach**, mgr inż. **Witold Wiśniewski**, zapytany, gdzie zdobył kwalifikacje zawodowe, które sprawiły, że o usługach motoryzacyjnych świadczonych tu, w Brzezinach, jest taka a nie inna opinia, powiedział:

— Proszę nie zapominać, że wyszedłem ze szkoły Mieczysława Stanisławskiego.

Jest to najlepsza rekomendacja i bilet wizytowy. **Mieczysław Stanisławski** jest właśnie kierownikiem **ASOS nr 6** przy ul. Piotra Skargi w Łodzi. Jednakże, zanim brzezińska stacja obsługi samochodów stała się tym, czym jest obecnie, musiano dokonać w niej przysłowiowej rewolucji nie tylko przy pomocy zarządzeń administracyjnych, lecz z czynnym udziałem władz prokuratorskich.

Historia wcale niedawna

Do 1976 roku stacja obsługi samochodów w Brzezinach należała do **Brzezińskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Terenowego** i cieszyła się dobrą opinią. Powoli ugruntowywała swoją renomę i wydawało się, że nic nie jest w stanie zagrozić jej egzystencji. BPPT nawet wystąpiło z propozycją utworzenia **Wojewódzkiej Spółdzielni Usług Motoryzacyjnych.** Niestety, decyzja władz była inna i stację przejął łódzki **„Polmozbyt".** Było to początkiem końca. Część ludzi pracujących w dawnej stacji nie zaakceptowała tej zmiany i odeszła. Nowi, którzy się tu znaleźli, niewiele umieli. Nastąpił dość gwałtowny regres, utracono stałą klientelę. Nie pomogły zabiegi **„Polmozbytu"**, ograniczające się do częstych zmian kierownictwa. Do stacji przylgnęła opinia, że lepiej tam potrafią pić niż pracować. Kiedy się wydawało, że wszystko jest już stracone i stacja zupełnie upadnie, sprawą zajął się **Komitet Miejsko-Gminny PZPR w Brzezinach.**

Spotkanie stron: Komitetu Miejsko-Gminnego w Brzezinach i łódzkiego „Polmozbytu" było ważnym momentem w dziejach tej placówki. Oddajmy głos I sekretarzowi KMiG w Brzezinach, **Tadeuszowi Mańko.**

Twierdziliśmy, z czego nie rezygnujemy i dziś, że stacja jest nasza, że wszystko, cokolwiek się tam dzieje, nie jest wyłączną sprawą „Polmozbytu". Zła opinia, niczym epidemia rozchodziła się na miasto i musieliśmy jak najszybciej temu zapobiec. „Polmozbyt" natomiast twierdził, że stacja jest ich. Zapewne obie strony miały rację, jednak należało niezwłocznie dokonać mocnych, zdecydowanych cięć. Stanęło na tym, że po raz ostatni zmieniliśmy kierownictwo. My, ze swej strony, zaproponowaliśmy na kierownika inż. JERZEGO BIAŁOSKÓRSKIEGO, który kierował tą stacją gdy należała do BPPT, a „Polmozbyt" ze swej strony na jego zastępcę zaproponował mgr inż. WITOLDA WIŚNIEWSKIEGO, będącego zastępcą kierownika w ASOS nr 6 w Łodzi. Daliśmy im całkowitą swobodę w doborze personelu i kadry. Młodzi inżynierowie zabrali się do pracy ostro: od razu wymienili 90 proc. pracowników administracyjnych i nadzoru i 30 proc. załogi produkcyjnej. Była to jedyna możliwość zapobieżenia rozprzestrzeniającemu się rozprzężeniu i nadużyciom. Mogę powiedzieć, że podziwialiśmy tych młodych ludzi — pracowali po 16 godzin na dobę, właściwie nie wychodzili ze stacji. Powołano dość szybko organizację partyjną, choć dawniej byli tam także członkowie PZPR, ale nie było klimatu do pracy politycznej. Potem powstała organizacja młodzieżowa ZSMP.

Proszę zrozumieć — mówi sekretarz — **stacja w obecnym układzie istnieje zaledwie od stycznia br., a już uzyskała I miejsce we współzawodnictwie wszystkich stacji łódzkiego „Polmozbytu". Stała się ona widoczna w mieście, w wielu inicjatywach społecznych. I ciekawostka — władzom miasta zmieniła się także klientela: dawniej były setki skarg, dziś ludzie przychodzą podziękować za dobrą obsługę. Czy wpływa to z ambicji kierownictwa? Ambicja — to jedno, dobra organizacja i praca — to drugie. Na wniosek tamtejszej organizacji ZSMP nasza stacja jako jedyna z całego łódzkiego „Polmozbytu" przystąpiła do ogólnopolskiego konkursu „O złoty klucz „Motoru". To także o czymś świadczy.**

Początki historii najnowszej

Inżynierowie: Białoskórski i Wiśniewski przenieśli się do stacji. Rozpoczął się żmudny okres przejmowania majątku ruchomego i nieruchomego. I tu dopiero się zaczęło... Na placu stało 38 samochodów przyjętych przez poprzednie kierownictwo do naprawy. Jednakże nie było co w nich naprawiać, bowiem w czasie, gdy tu stały, zostały nieomal doszczętnie rozebrane, a części wyniesione. Z takim aktem złodziejstwa obaj młodzi inżynierowie dotąd się nie spotkali. Trzeba więc było sprawdzać każdy detal, każdy szczegół. Jeśli w samochodzie była zainstalowana skrzynia biegów, należało ją wymontować i sprawdzić, czy nie jest przypadkiem wewnątrz pusta (a takie przypadki też się zdarzały). Rozkradanie samochodów pozostawionych do naprawy było tu czymś normalnym.

Oto na chybił — trafił dwa wypisy z protokółu **„sporządzonego w dniu 5 grudnia 1977 r. na okoliczność faktycznego stanu robót w toku na dzień 1. XII. 1977 r. w ASOS nr 18 w Brzezinach".** A więc w samochodzie Syrena 105, nr zlecenia 896/0, z terminem przyjęcia na 120 dni, stwierdzono brak 55 pozycji cennikowych wynikłych z kradzieży. Samochód Żuk, nr zlecenia 407/0, miał w chwili przejęcia przez Białoskórskiego i Wiśniewskiego jedynie ramę, nadwozie (sam szkielet), zawieszenie przednie i tylnie, skrzynię biegów i wał napędowy. Reszta została skradziona.

Oczywiście, protokół kradzieży jest pokaźny i zapewne pozostaje dość interesującym dokumentem dla działalności prokuratorskiej, jednakże jego lektura budzi bardzo niewesołe refleksje. Przez dwa lata łódzki **„Polmozbyt"** był odpowiedzialny za tę placówkę, przez dwa lata dokonywano tam zapewne kontroli, w końcu okazało się, że stan jest katastrofalny. Sądzę, że wina leży nie tylko w ludziach kierujących tą stacją.

Dzień dzisiejszy

Zasługą nowego kierownictwa i młodej załogi (średnia wieku nie przekracza 25 lat) jest, że o stacji w Brzezinach mówi się dobrze, że zasłynęła ona w tak krótkim czasie z solidności i szybkości swoich usług. Jest tu jedyny w kraju piec lakierniczy wysokotemperaturowy (do 140 st. C). Jest to pomieszczenie z dobrą wentylacją. Nowość zastosowanych tu wyciągów polega na tym, że powietrze musi zdmuchnąć unoszący się pył aerozolowy lakieru, który po zastygnięciu nie osiada na powierzchni lakierowanej. Stąd tak duży natłok klientów mających samochody nietypowe (stacja specjalizuje się w obsłudze samochodów: Nysa, Żuk, Warszawa, Syrena, Trabant oraz przyczepy campingowe). Stacja w Brzezinach nie jest wielka, zaledwie 11 stanowisk roboczych (4 blacharskie i 4 mechanicznych napraw, stanowisko smarownicze i naprawy szybkie, stanowisko obsługi rejestracyjnej dla woj. skierniewickiego i stanowisko lakiernicze). Lakiernia stanowi bardzo ważny dział stacji. Inż. Wiśniewski opracował dla tego pomieszczenia oświetlenie typu „Sun", dające jednakową barwę i natężenie, przypominające światło słoneczne, bez względu na warunki atmosferyczne, bowiem lakiery mają to do siebie, że w zależności od światła dają różne odcienie. Przy zastosowaniu „Sunu", dobór lakierów jest prawie idealny. Jednakże do idealnego lakierowania brak jest pistoletów do lakieru (nie ma ich w handlu), a te, co są dostępne, nie sprawdzają się w praktyce. Są to pistolety typu WAN. Dobre pistolety natomiast produkuje rzemiosło, ale niestety, **„Polmozbyt"** nie może ich kupić na rachunek. Następnym warunkiem dobrego lakierowania jest dobra szplachlówka. Taką szpachlówkę stacja posiada, jest to produkt szwedzki. Ale już zwiedziała się o tym warszawska FSO i zamierza przysyłać do Brzezin swoje suche nadwozia do lakierowania. Jest to niewątpliwie sprawa korzystna, ranga zakładu pójdzie w górę, ale czy nie ucierpią na tym zwyczajni klienci?

Zespołowi lakierników przewodzą brygadziści: **Jakub Cichecki** i **Wiesław Czaiński.** Z lakierni miesięcznie wychodzi około 30 samochodów. Jak dotąd, reklamacji nie było. Jednakże, po przeprowadzeniu zmian w technologii przygotowywania samochodu do lakierowania miesięczna przepustowość lakierni zwiększy się dwukrotnie.

Przygotowywanie karoserii do lakierowania: blachy muszą być idealnie czyste, aby w przyszłości nie uległy korozji w czasie eksploatacji.

Praca w lakierni jest procesem skomplikowanym i trudnym, wymaga wielu przygotowań. Inż. W. Wiśniewski udziela ostatnich wskazówek lakiernikowi.

Z lakiernią ściśle związany jest warsztat napraw blacharskich, kierowany przez brygadzistów: **Zdzisława Sikorskiego** i **Lucjana Przywarę.** Nie ma tu przysłowiowej rytmiczności pracy, oblicza się wszakże, że miesięcznie wykonuje się tu 4 kapitalne blacharki samochodowe typu Nysa i kilkanaście drobniejszych napraw samochodów osobowych. Sprawa napraw blacharskich wymaga jednakże obszerniejszego omówienia ze względu na dość powszechne nieprawidłowości stosowane przez dystrybutora części wymiennych. Sprawa nie jest nowa, wielekroć była opisywana przez prasę. Rzadko się zdarza, by stacje obsługi otrzymywały komplety błotników czy drzwi. Przysyła się najczęściej albo same lewe, albo same prawe. Brzeziny, np. otrzymały same błotniki prawe przednie do dużych Fiatów, a lewe powędrowały do Szczecina. Zaopatrzeniowcy przyzwyczaili się jednak do tego typu karuzeli dystrybucyjnej. Zaopatrzeniowiec ze Szczecina pakuje 10 błotników lewych i wyrusza w Polskę. Po wielu dniach dociera do Brzezin. Nie muszę opisywać radości, z jaką go tu powitano i jego szczęścia, gdy otrzymał dla siebie 10 błotników prawych.

Wiadomo, że w lakierni używa się dość dużo papieru ściernego do szlifowania samochodów, przeważnie o poważnej rozpiętości granulacyjnej: od 60 do 800. Z reguły brakuje tego najpotrzebniejszego: od 60 do 300. W Brzezinach także go nie ma. A samochody czekają. Skąd go więc wziąć? W magazynie hurtowym nie uświadczysz go na lekarstwo. Owszem, jest pod dostatkiem na „czarnym rynku". Jak więc radzą sobie z tym w Brzezinach? W każdym bądź razie klienci odjeżdżają zadowoleni, tylko inżynier Wiśniewski ma lżejszy portfel. Jego sprawa? No, nie powiedziałbym.

Co to znaczy racjonalizacja?

Ponieważ nic nie może być proste, bowiem każda rzecz prosta służy do ułatwienia życia, wymyślono różne systemy utrudniające to życie. „Polmozbyt" nie pozostał w tyle za innymi. Tak więc wszystkie stacje obsługi samochodów w Polsce z stały podzielone na: tzw. stacje pierścienia (należą tu stacje zlokalizowane wokół Warszawy w promieniu 100—120 km), następnie stacje przydrogowe (znajdujące się przy trasach międzynarodowych) oraz stacje pozostałe. Brzeziny nie leżą przy drodze międzynarodowej, ale mieszczą się w pierścieniu. Niestety, zostały zaliczone do tej ostatniej, trzeciej grupy. Nie chodzi jednak o umieszczenie w tej czy innej rubryce, chodzi o sprawy dużo większe: o rozdzielnik na części. Priorytetem są objęte dwie pierwsze grupy, ta trzecia jest traktowana trochę po macoszemu. Stacja w Brzezinach co dwa tygodnie składa zamówienia na przydział części, ale dział handlowy dyrekcji realizuje to zamówienie zaledwie w 30 procentach. A przecież **ASOS nr 18** znajduje się w czołówce, jeśli chodzi o wykonanie planów i jakość świadczonych usług. Mimo to przydziały na części są znikome, a do niektórych typów samochodów wcale ich nie ma (dotyczy to samochodów nie objętych autoryzacją), nie ma także przydziału podstawowych akcesoriów (szkła reflektorów, filtry itp.). A przecież przez Brzeziny przejeżdżają nie tylko Żuki i Nysy. Jeśli w dużym Fiacie pęknie szkło reflektora lub klosz lampy kierunkowskazu — trzeba jechać albo do Łodzi, albo do Rawy lub Łowicza. Klosz kosztuje raptem 70 złotych, a podróż do Łowicza... lepiej nie obliczać.

Zresztą zaopatrzenie stanowi jeden z najpoważniejszych problemów. **Michał Siuciński**, mistrz zmianowy, człowiek z odpowiednim stażem i wiedzą, stara się jak może, aby klienci odjeżdżali zadowoleni. Z jednej strony brak części, a z drugiej — nieustająca kontrola na stanowiskach pracy uczniów z Zespołu Szkół Zawodowych (na jednej zmianie 13 uczniów i 21 pracowników). Mimo to dziennie reperuje się tu około 50 samochodów w zakresie tzw. usług prostych i wykonuje się 10 dużych napraw (przednie zawieszenie, naprawa silnika, skrzyni biegów itp.), no i 40 przeglądów, które załatwiane są poza kolejnością.

ASOS nr 18 w Brzezinach w roku bieżącym nie otrzyma wcale: bloków napędowych i obudowy tych bloków do Syren, szyb przednich do Syren, rozrusznników do Żuka, części do skrzyń biegów do Żuka, a w znikomych ilościach nadejdą jedynie opony do Syren i pomniejsze części.

Modernizacja

Wspomniałem o ambicjach nowego kierownictwa, które wydźwignęło stację w Brzezinach na czołowe miejsce w całym łódzkim **„Polmozbycie".** Ich plany sięgają jednak dużo dalej. Obaj inżynierowie — **Białoskórski** i **Wiśniewski** — mówiąc o pracy, poradzili mi, bym zasięgnął opinii u tych, co przyjeżdżają tu szukać pomocy. Istotnie, jest to dość ciekawa sprawa. Oto kierownik jednej ze stacji obsługi samochodów z Gdańska, mający u siebie własną lakiernię, przyjechał do Brzezin prosić, by polakierowano mu samochód, gdyż dowiedział się, że jest tu najlepszy piec w kraju; oto młody mężczyzna z Warszawy przyjeżdża tu specjalnie gdyż kiedyś potraktowano go w tej stacji uprzejmie i szybko naprawiono jego Fiata; oto profesor wyższej uczelni z Warszawy, przyjechał tu specjalnie, bo wie, że tu robią szybko i solidnie, że nie każą czekać parę dni. Wszyscy oni wyrażają się z uznaniem o pracy brzezińskiej ASOS.

— Jak pan widzi — mówi kierownik — **życie zmusza nas do szukania nie tylko coraz to lepszych form organizacyjnych, ale i rozbudowy stacji. Za sumę 5 milionów złotych położymy we wszystkich pomieszczeniach kafelki ceramiczne na podłodze, a na ścianach białą glazurę, naprawimy wentylację, kanalizację, c.o., oświetlenie stanowisk pracy. Będzie to pierwszy etap, który obecnie zbliża się ku końcowi. Drugim etapem będzie utwardzenie, ogrodzenie i oświetlenie placu o powierzchni 1,3 ha, przylegającego do stacji. W przyszłości będzie tam salon sprzedaży przyczep typu „Niewiadów", jedyny tego typu w centralnej Polsce.**

— Jednakże tu wylania się dość **poważny problem** — dodaje zastępca kierownika — **Wjazd na ten plac będzie się odbywał przez teren stacji, co wcale nie ułatwi nam pracy. Owszem, jest możliwość wytyczenia odrębnego wjazdu od ulicy Sienkiewicza. Ale nasza dyrekcja musiałaby wykupić tam działkę, na której stoi walący się drewniak. Wystarczy zwrócić się do władz miasta Brzezin z prośbą o pomoc. Jest także dobra okazja, by stację podłączyć do wodociągu miejskiego, bowiem w przyszłym roku będzie, tuż obok, prowadzone ujęcie wody do nowego zakładu mleczarskiego, mieszczącego się naprzeciwko stacji.**

W roku przyszłym rozpocznie się trzeci etap modernizacyjny: budowa wiat na przyczepy oraz budowa magazynów na części zamienne. Sam plac na przyczepy zostanie oddany pod koniec 1978 r. Sprzedaż przyczep rozpocznie się wiosną przyszłego roku.

I tyle o dobrze pracującej **ASOS nr 18 w Brzezinach.**

Foto: Archiwum

KAZIMIERZ WILIŃSKI

SPOŁECZNA RANGA ZAWODU NAUCZYCIELA

Zbliżający się Dzień Nauczyciela inspiruje każdego obywatela naszego państwa do snucia refleksji na temat zawodu nauczycielskiego, jego roli i miejsca w dobie rewolucji naukowo-technicznej.

Powszechnie wiadomo, że trudno znaleźć drugi taki zawód, którego funkcja społeczna byłaby równorzędna z zawodem nauczyciela-wychowawcy. Przedmiotem bowiem jego pracy i wszelkich oddziaływań jest jednostka ludzka — żywy i konkretny człowiek ze wszystkimi swoimi troskami i radościami. Jest to też zawód, który pozwala wartościową cząstkę swojej osobowości nauczycielskiej przekazać w sposób trwały innemu człowiekowi.

Równocześnie jest to zawód (niekiedy nawet określony mianem powołania), którego podmiotowe znaczenie polega na tym, że właściwie przygotowuje dorastające pokolenia młodych Polaków do pracy i życia w naszym społeczeństwie.

Powszechnie zresztą wiadomo, że dalszy rozwój naszego kraju zostanie uzależniony od jakości czynnika ludzkiego, kształtowanego w poważnym stopniu właśnie przez nauczyciela. Innymi słowy osiągnięcie sukcesu w realizacji naszych ambitnych docelowych zadań ogólnopaństwowych zależeć będzie przede wszystkim od tego, w jakiej mierze potrafi funkcjonujący system oświaty, a w tym jego podstawa — nauczyciel, przygotować ludzi do wypełnienia tych zadań.

Spoczywające już w tej chwili na nauczycielu zadania są nader szerokie: zobowiązany jest on do prawidłowego zorganizowania procesu nauczania i wychowania dzieci i młodzieży, utrzymywania ścisłego kontaktu z rodzicami, działalności w środowisku społecznym stałego doskonalenia i samokształcenia zawodowego itp. Jest to wyjątkowo obszerny rejestr obowiązków i czynności, który posiada równocześnie i te, immanentną właściwość, że bezustannie podlega procesowi poszerzania zarówno ilościowego jak i jakościowego.

Jednocześnie nie wolno zapominać i o tym że nauczyciel z istoty swej roli społecznej, będąc reprezentantem państwa i społeczeństwa upowszechnia ideały, wartości i wzorce akceptowane przez aparat państwowy. Staje się więc przez to z jednej strony współtwórcą nowego społeczeństwa, z drugiej zaś efektywnie przedłuża czas trwania aktualnego systemu społeczno-politycznego. W okresie dzisiejszych, dynamicznych przemian społecznych, gospodarczych, kulturalnych, ogromnych przemian w nauce i technice jedynie nauczyciel może z dużym powodzeniem sprostać zmieniającym się zadaniom oświaty i zarazem wychowania społeczeństwa. Wprowadzone nowe cele, treści i zasady kształcenia oraz wychowania nie działają nigdy automatycznie, lecz realizują się i wypełniają konkretnymi dokonaniami dopiero dzięki codziennej działalności — nauczyciela-wychowawcy, wspartego w swoim działaniu zawodowym przez szeroki front społeczeństwa wychowującego.

W takiej sytuacji jest naturalne zjawisko wysokich wymogów społeczno-moralnych jakie stawia społeczeństwo wobec nauczyciela. Wymogi te sprzężone są ściśle z szeroko rozumianą osobowością nauczyciela, jego światopoglądem, etyką zawodową, przyjętym systemem wartości, prezentowaną umiejętnością zawodową, a więc tym wszystkim, co wchodzi w skład pojęcia autorytetu nauczyciela. W związku z tym pedagoga winna niezmiennie cechować troska o dobro dziecka, wysoki stopień ogólnej odpowiedzialności moralnej jedność słów i czynów, potwierdzona osobistym postępowaniem, sprawiedliwość i obiektywizm w ocenie osiągnięć i postaw uczniów, poszanowanie ich godności własnej, rozbudzenie aktywnej i twórczej postawy wobec nauki i życia społecznego. Nauczyciel winien też być społecznikiem uznającym prymat potrzeb społecznych nad osobistymi, a także pracownikiem stawiającym sobie samemu coraz wyższe wymagania związane z pełnioną funkcją. Nie wystarczy jednak posiadanie wymienionych cech, gdyż muszą one być potraktowane w sposób instrumentalny tzn. powinny przerodzić się w sprawne narzędzie wzbogacające pracę dydaktyczno-wychowawczą. Zdarza się wprawdzie, że w jednostkowych przypadkach nauczyciel nie jest w stanie podołać ciążącym nań obowiązkom, czy nie posiada wszystkich wymaganych cech osobowościowych lub umiejętności zawodowych — to wówczas mamy do czynienia z problemem wyjątkowo negatywnych skutków społecznych, bardzo trudnych do naprawienia w przyszłości. Ten fakt dowodnie świadczy o szczególnej roli nauczyciela.

Rola ta w miarę wdrażania nowego systemu edukacji narodowej będzie jednocześnie stale rosła. Równocześnie dokona się też swoista ewolucja zawodu nauczycielskiego który grupować będzie w swoich szeregach ludzi w wyższym niż dotąd stopniu odpowiedzialnych za organizowanie procesu kształcenia, za inspirujące doradztwo wobec uczniów, za sprawowanie funkcji przewodnika w świecie informacji naukowych. W rezultacie wyłoni kolejny obowiązek — nauczyciel — będzie musiał więcej teraz zabiegać o wyrobienie zdolności i upodobań uczniów niż o dostarczenie im jedynie szczegółowych informacji merytorycznych. W tym nowym układzie zadań zaistnieje więc pilna konieczność wykształcenia u młodzieży sprawnego i operatywnego umysłu, który pozwoli na to, by absolwent zreformowanej szkoły mógł zawsze znaleźć w przyszłości własne oryginalne rozwiązania w różnych, często skomplikowanych sytuacjach życiowych. Jest przecież rzeczą wiadomą, że wiedza wyniesiona ze szkoły jest niejednokrotnie w małym stopniu wykorzystywana w życiu zawodowym, ale za to nabyta w zreformowanej szkole sprawność myślenia zawsze będzie przydatna. Dlatego też musimy szybko i bezpowrotnie odejść od modelu szkoły pamięci aby uformować w niedalekiej przyszłości model szkoły myślenia.

Ta nowa szkoła wymagać będzie od nauczyciela określonych, nowych kwalifikacji i dyspozycji osobowościowych, takich jak:

Foto: W. Małek

— posiadanie podstawowych wiadomości z zakresu nauk pedagogiczno-psychologicznych, filozoficzno-etycznych, społeczno-politycznych i biologiczno-medycznych;

— dysponowanie dużymi umiejętnościami w rozpoznawaniu potencjalnych możliwości młodzieży;

— stymulowanie procesem edukacji poprzez wiązanie szkoły ze środowiskiem, z jednoczesnym wykorzystaniem wielkich możliwości, które kryją się w zadaniach socjalistycznego społeczeństwa wychowującego.

Aby ten pułap nowych wymogów osiągnąć, nauczyciela musi charakteryzować samodzielny, twórczy i krytyczny stosunek do teoretycznych i praktycznych problemów pedagogiki, do wszelkich zmian systemowych i programowych w oświacie, do aktualnego stanu swojej wiedzy.

O poważnym stosunku nauczycieli do tych wymogów świadczy przykładowo zjawisko powszechnego uczestnictwa nauczycieli w akcji dokształcania, doskonalenia i stałej aktualizacji swojej wiedzy. W ciągu ostatnich pięciu lat (1973—1977) odsetek nauczycieli z wykształceniem wyższym wzrósł z 22,2 proc. do 36,9 proc., przy czym w rozbiciu na typy szkół, wskaźnik ów kształtuje się następująco: szkoły podstawowe — 8,2 proc., — 25,8 proc.; zasadnicze szkoły zawodowe — 35,1 proc. — 45,8 proc.; średnie i policealne szkoły zawodowe — 74,4 proc. — 81 proc.

Warto dodać, że zakłada się do 1985 roku, iż wykształceniem wyższym legitymować się będzie 75 proc. wszystkich zatrudnionych pedagogów. Należy tu jeszcze podkreślić z całym naciskiem, że ogromne rzesze nauczycieli, zdobywających wyższe wykształcenie lub aktualizujących swoją wiedzę poprzez studia podyplomowe, studia przedmiotowo-metodyczne, czy kursy specjalne, czynią to w ramach głębokiej, własnej motywacji zawodowej i z zasady bez odrywania się od warsztatu pracy — placówki oświatowo-wychowawczej. Dzięki takim właśnie nauczycielom, można przypuszczać, że proces dydaktyczno-wychowawczy będzie procesem żywym, dynamicznym, powiązanym aktualnymi nićmi z realiami naszego życia gospodarczego, politycznego i społecznego.

Naczelne władze partyjne i rządowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej doceniają w pełni rolę i rangę zawodu nauczycielskiego w życiu naszego narodu. Dowodów na to jest wiele. Ze względu na szczupłość miejsca nie będziemy ich przytaczać.

Nasze społeczeństwo doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że mało jest świąt i uroczystości, tak głęboko — jak Dzień Nauczyciela bezpośrednio lub pośrednio związanych prawie z każdą polską rodziną. Wyrazy uznania i szacunku, które napływają w tym dniu od uczniów i ich rodziców, potwierdzają tylko w całej rozciągłości powszechne u nich zrozumienie oczywistego faktu, zamieszczonego w Karcie Praw i Obowiązków Nauczyciela, że „... stan nauczycielski, w którego rękach spoczywa wychowanie narodu", stanowi bardzo ważną dźwignię w naszym ogólnonarodowym dążeniu do zbudowania Polski bogatej i wysokoprzemysłowionej. Z kolei w szeregach ponad czterystutysięcznej rzeszy polskich pracowników oświaty, wyrazy poważania społecznego powodują ugruntowanie się przeświadczenia, że ich trudna i odpowiedzialna praca jest dostrzegana i prawidłowo oceniana.

Znając wysokie ambicje zawodowe, prawość i oddanie młodemu pokoleniu znakomitej większości polskich nauczycieli, można żywić przekonanie, że prawidłowo wykorzystują ofiarowany im kapitał zaufania społecznego, że spożytkują go dla dobra młodzieży, a tym samym dla sprawy dalszego rozwoju naszej Ojczyzny.

PATRON ZAKOPIAŃSKIEJ CYGANERII

Zakopane słynęło z wielu oryginałów i dziwaków. Jednym z nich, który zajął poczesne miejsce w dziejach uzdrowiska był STANISŁAW KARPOWICZ, znany jako KARP. Przed około 70 laty zjawił się po raz pierwszy w Zakopanem i pozostał w nim już raz na zawsze.

Początkowo nieśmiały, cichy i pokorny jak baranek, nie wiedział, co z sobą ma zrobić. Podobało mu się tu wszystko: góry, okalające malowniczą i majestatyczną wstęgą uzdrowisko, pełni temperamentu i życia jego mieszkańcy — górale i napływający tu ze wszystkich stron kraju — turyści. Podobali mu się szczególnie przybywający z większych środowisk miejskich goście dystyngowani, przyodziani w modne podówczas peleryny. Byli to pisarze, malarze, muzycy, profesorowie, jednym słowem śmietanka, elita ówczesnego polskiego świata artystycznego. Wałęsali się po ulicach Zakopanego, nie znajdując odpowiedniego dla siebie miejsca odpoczynku, w którym mogliby zjeść coś niecoś, przy lampce wina pogwarzyć, porozmawiać o wielu interesujących rzeczach.

Jakże cieszyliby się, gdyby mieli swój własny zakątek! Myśl ta nie dawała spokoju Stanisławowi Karpowiczowi. Postanowił ją jak najszybciej zrealizować. Miał nieco zaoszczędzonego grosiwa, trochę zapożyczył się u znajomych. Nie namyślając się długo wybrał i zakupił plac na Krupówkach i zaczął budować przy pomocy usłużnych górali obiekt, który początkowo w niczym nie przypominał jakiejkolwiek budowli użytecznej.

Z biegiem czasu jednak, corocznie rozbudowywany i uzupełniany coraz to nowymi pomysłami „architektonicznymi" **Karpia**, obiekt przekształcił się w zasługującą już na uwagę restaurację i kawiarnię.

Równocześnie Stanisław Karpowicz wszedł w porozumienie ze schroniskiem Morskiego Oka i wydzierżawił na dogodnych warunkach hotel i restaurację. Dla umożliwienia w ogóle turystom, a w szczególności stałym swoim gościom, dojazdu do Morskiego Oka, utworzył stałą komunikację samochodową z Zakopanego do Morskiego Oka. Codziennie o godz. 8 rano i o 2 po południu, specjalny automobil (nazwa samochód powstała znacznie później) zabierał gości z restauracji Karpowicza na Krupówkach i przewoził do restauracji nad Morskim Okiem. Dla tych zaś, którzy chcieli ponadto zobaczyć Czarny Staw, przygotowana była łódź motorowa, którą w przeciągu kilku minut można było przepłynąć całe jezioro.

Od tej chwili Stanisław Karpowicz stał się sławnym, a jego restauracje, zarówno w Zakopanem, jak i w schronisku Morskiego Oka, zawsze były pełne gości. Przeważali wśród nich przede wszystkim przedstawiciele świata artystycznego.

Jednym z pierwszych, który tu się zjawił i zamieszkał, był **Władysław Reymont.** Bardzo sobie to miejsce upodobał i rekomendował je na każdym kroku. Po nim zaczęli tłumnie odwiedzać lokal Karpia inni pisarze, jak: **J. Kasprowicz, L. Staff, Wł. Orkan, K. Makuszyński, H. Sienkiewicz.** Nie brakło wśród gości również malarzy, muzyków, profesorów.

Początkowo Karpowicz odnosił się do artystów z niezwykłą powagą, wprost z uwielbieniem. Przysłuchiwał się z zainteresowaniem ich rozmowom, teraz zmieniającym się w gwałtowne dyskusje. Zawsze był do ich dyspozycji i spełniał ich życzenia. Zazdrościł w duchu ich mądrości i wiedzy. Jak bardzo pragnął być ich bliskim, współżyć z nimi, stać się współuczestnikiem ich rozmów, uczt. Ale to były na razie tylko marzenia.

Aż pewnego dnia zjawił się **Ludwik Solski** i nagle, niespodziewanie, ni stąd ni zowąd, wziął za rękę nieśmiałego Karpia, zaprowadził do ucztujących towarzyszy i posadził obok siebie, nazywając swoim serdecznym przyjacielem. Również i inni zaczęli traktować go poufale i przyjaźnić się z nim. Od tego czasu stał się bardziej ośmielonym wobec odwiedzających jego lokal peleryniarzy. Razem z nimi pił wino, rozmawiał jak swój ze swoim, zwierzał się z najskrytszych myśli. Wkrótce był już na ty niemal ze wszystkimi. Naśladował sposób bycia artystów. Jak oni, pił nieraz do oszołomienia, bawił się do zapamiętania. Dotychczasowy strój restauratora, zmienił na kontusz, pas słucki i karabelę. Paradował w nim jak senator — szlachetnie urodzony.

Dla zjednania sobie jeszcze bardziej braci artystycznej, zaczął własnym kosztem urządzać wystawne uczty z okazji bądź imienin, bądź też urodzin tego lub owego pisarza i udzielać im kredytu lub pożyczek. Chcąc dorównać towarzyszom zabaw i uczt, począł pisać — tak jak oni — wiersze i listy do swoich przyjaciół. Wiersze o rymach częstochowskich nie bardzo mu się udawały, ale listy, rubaszne w swej treści, często przeplatane wymyślnymi zwrotami, zapożyczonymi najczęściej z różnych dzieł literatury, podbijały serca wszystkich. Czytał je w pozie uroczystej, skandując potężnym swym głosem niektóre wyrazy i uzupełniając je mimiką twarzy i gestykulacją rąk. Peleryniarze jak dzieci cieszyli się występami Karpia, bili mu huraganowe brawa i nazywali go zakopiańskim Rageneau. Przydomek ten wzięty z „Cyrana de Bergerac" E. Rostanda, z pasztetnika, który karmił „poetycką czeredę i zawiązywał rymom ogony", bardzo mu się podobał. Obnosił się z nim jak paw majestatycznie.

Nieraz niechcąco płatano figle gospodarzowi, ale ten, mając głowę nie od parady, potrafił sobie z tym radzić.

Pewnego razu — opowiada w swoich wspomnieniach K. Makuszyński, — **„zasiedzieliśmy się w nocy w knajpie** (Karpia — przyp. F. L.), **wreszcie powiada Kasprowicz, który mieszkał w Poroninie:**

— Muszę już iść, bo mam do domu ze cztery kilometry...

— Jakże pójdziesz, kiedy leje: — mówi Orkan.

Zaczeliśmy nasłuchiwać. Istotnie, leje jak z cebra. Wobec tego wyszachrowaliśmy u Karpia jeszcze jedną butelkę, na kredyt oczywiście. Po tej butelce poeta powiada:

— Ale teraz to już naprawdę muszę iść!

— Szalony człowieku — mówię ja. — Czy nie słyszysz, co się dzieje? To chyba oberwanie chmury!

Znowu słuchamy i znowu leje w potworny sposób. Karp powędrował

ZAWSZE MÓWIĘ: NASZE DZIECI

Z ANNĄ KUSIDEŁ – nauczycielką Szkoły Podstawowej nr 101 im. J. Kochanowskiego w Łodzi rozmawia Bogda Madej.

— Wybrała Pani zawód nauczycielski z całą świadomością, czy też tak się złożyło, że została Pani nauczycielką?

— Z całą świadomością i mimo tego, że mi serdecznie odradzano.

— Kto Pani odradzał? Rodzice?

— Skończyłam siódmą klasę i wybierałam się do liceum pedagogicznego. Odradziła mi to moja wychowawczyni, ze szkoły podstawowej w Ursusie. Powiedziała mi, że to jest ciężki i niewdzięczny kawałek chleba, żebym sobie wybrała inny zawód.

— I nie poszła Pani uczyć się do liceum pedagogicznego.

— Nie. Uległam namowom wychowawczyni i mamy i zdałam do technikum budowlanego.

— A jednak została Pani nauczycielką.

— Pomógł mi w tym trochę przypadek. Przez rok chodziłam do technikum budowlanego w Warszawie, a po roku ojca przeniesiono służbowo do Gorzowa Wielkopolskiego i wtedy przeniosłam się do liceum pedagogicznego.

— Postawiła Pani na swoim.

— Tak, bo chciałam być nauczycielką.

— Skończyła Pani liceum...

— I otrzymałam nakaz pracy do Łodzi. Tak się złożyło, że akurat i ojciec został przeniesiony do Łodzi.

— W której szkole zaczęła Pani pracę?

— W Szkole Podstawowej nr 100. Pracowałam tam dwa lata i przeniosłam się do Szkoły Podstawowej nr 101.

— Ile lat Pani już tu pracuje?

— W tej szkole osiemnaście, a w ogóle — dwadzieścia lat.

— Czy teraz podziela Pani zdanie (swojej wychowawczyni), że zawód nauczycielski jest trudny i niewdzięczny?

— Nie. Jest to niewątpliwie praca trudna, jak każda inna. Ale mnie daje ona wiele zadowolenia. Uczę w klasach początkowych i niemal z dnia na dzień widzę, jak moje dzieci uczą się czegoś nowego. Nie tak dawno przyszły do szkoły i nic nie umiały. Nawet niektóre nie wiedziały jak wziąć długopis do ręki. A teraz już piszą, rachują.

— Uczyć w pierwszej klasie jest bardzo trudno.

— Tak, bo to jest pierwszy kontakt ze szkołą. Od tego bardzo dużo później zależy.

— Musi Pani tym maluchom zastąpić panią z przedszkola, do której przyzwyczaili się i mamę, która przecież zawsze jest najlepsza i najładniejsza.

— Dla pierwszaków ich pani zawsze też jest najładniejsza. Dzieci bardzo na to zwracają uwagę. Mówią na przykład — nasza pani ma dziś takie ładne włosy. Albo — nasza pani ma dziś ładną bluzkę. Trzeba więc dbać o siebie. Ładnie się ubierać. I co najważniejsze, zły humor, kłopoty zostawiać za drzwiami klasy. Trzeba uśmiechać się nawet wtedy, kiedy człowiekowi nie jest do śmiechu. Zawsze staram się tak zacząć lekcję, aby wprowadzić w klasie dobry nastrój.

— Czy mąż jest zadowolony z Pani zawodu?

— Denerwuje się często, że zbyt wiele czasu poświęcam szkole. Mój mąż pracuje w biurze konstrukcyjnym. Wszystkie swoje problemy zawodowe roztrząsa w pracy. Chciałby, abym również zostawiała swoje sprawy szkolne w szkole. A ja nie mogę, nie potrafię. Moja praca pochłania mnie całkowicie. I jego to czasem denerwuje. Ale chyba mnie rozumie.

— Można powiedzieć, że jest Pani nauczycielką z powołania.

— Czy ja wiem? Powiedziałabym raczej, że ze świadomego wyboru. Chciałam być nauczycielką i zostałam.

— Czy istnieje coś takiego, jak nauczycielskie powołanie?

— Chyba tak. Są ludzie, którzy mają zamiłowanie do pracy z dziećmi. Praca ta daje im zadowolenie. Lubią dzieci. I dzieci ich lubią. Dobrze im się wzajemnie pracuje, i ta praca daje dobre rezultaty.

— Ale są też nauczyciele, którzy przyszli do tego zawodu przez przypadek.

— Oczywiście. Ale to wcale nie znaczy, że są to źli nauczyciele. Wciągnęli się do pracy nauczycielskiej, polubili ją i dobrze uczą. Pracują nad sobą. Doskonalą swoje umiejętności. Zawód nauczycielski wymaga ciągłej i systematycznej pracy nad sobą. Nie wyobrażam sobie nauczyciela, który skończył swoją edukację w chwili, gdy otrzymał dyplom.

— Pani po liceum pedagogicznym też się dalej uczyła.

— Tak. Skończyłam Studium Nauczycielskie. Byłam na kilku kursach metodycznych. Najważniejszym dla mnie był kurs przygotowujący do wdrażania nowego programu matematyki. Kurs ten trwał rok czasu. Teraz natomiast jestem na czwartym roku studiów. I bardzo boję się końcowego egzaminu.

— Po tylu latach praktyki?

— Jestem bardzo dokładna i obowiązkowa. Do egzaminów przygotowuję się bardzo starannie. Pochłania mnie to. A przecież oprócz tego mam inne obowiązki. W dodatku muszę jeszcze skończyć pracę dyplomową.

— Na jaki temat?

— Początkowo chciałam pisać o metodyce nauczania matematyki, bo mnie to bardzo zajmuje. Ale tematy nie były takie, które mnie interesowały. Wybrałam więc zupełnie inną dziedzinę i piszę o metodyce nauczania ortografii. Ortografia — to ciekawy i ważny temat. Jak nie nauczy się dzieci pisać ortograficznie, to później, już jako dorośli ludzie będą mieli stałe kłopoty z ortografią.

Obserwując dokładnie uczniów doszłam do wniosku, że są tacy, którzy od razu piszą poprawnie i nie mają kłopotów z ortografią. Ale są tacy, którzy mają duże trudności.

— Skąd się biorą te trudności?

— W jakiejś mierze z roztargnienia. Przy poprawnym pisaniu liczy się wszystko: słuch, pamięć wzrokowa, ogólny poziom, a także — choć na ogół nie docenia się tego czynnika — zdolności wrodzone. Istotny też jest stosunek nauczyciela do ortografii. Nie można ortografii traktować jako dodatku do ćwiczeń w mówieniu i pisaniu. Nie można traktować ortografii jako niewielkiego, mało ważnego fragmentu lekcji. To musi być działanie zaplanowane. Musi być określona ilość i jakość wyrazów, których trzeba po kolei nauczyć. Ćwiczenia ortograficzne odgrywają ważną rolę w nauczaniu. Nie można posuwać się dalej w realizowaniu programu nauczania, jeśli uczniowie nie opanowali poprawnego pisania.

— Czy ma Pani swój idealny wzór nauczyciela?

— Tak, ale to nie jest żadna abstrakcja. To nie jest ideał wydumany. Miałam nauczycielkę w liceum, która uczyła mnie metodyki. Nie była naszą wychowawczynią, ale potrafiła z nami rozmawiać o wszystkim, tak że częściej chodziłyśmy do niej z naszymi kłopotami i problemami niż do innych nauczycieli. Ona nas rozumiała. Nie była pobłażliwa. Przeciwnie. Była bardzo wymagająca. Miała wielką wiedzę i wielki takt. Umiała nas słuchać i umiała doradzić, pomóc. Chętnie spotykałyśmy się z nią po lekcji i wiele czasu poświęcałyśmy różnym dyskusjom i rozmowom na wszystkie tematy. To ona nas nauczyła rzeczy najważniejszej, że na ucznia nie można patrzeć jak na kogoś, kto przyszedł tylko, aby się nauczyć tego, co przewiduje program, ale trzeba patrzeć na niego,

Foto. W. Paryś

jak na małego człowieka z całym bagażem problemów, jakie przynosi mu życie.

— I udaje się Pani tak traktować uczniów?

— Staram się. Bardzo dużo nauczyłam się w momencie, kiedy mój syn zaczął chodzić do szkoły. Popełniłam jeden błąd. Dziś bym tego już nie zrobiła. Wzięłam syna do swojej szkoły. Na początku wydawało mi się, że musi on być wzorem dla innych dzieci. Wcale nieprawda. Mało go rozumiałam. Ale zaczęłam go pilnie obserwować. I zaczęłam obserwować siebie. Musiałam zmienić swój stosunek i do syna i do innych dzieci. Właśnie wtedy zobaczyłam, że taki mały człowiek może mieć bardzo duże — jak na niego — problemy i że nauczyciel nie może tego pomijać. Te spostrzeżenia pomogły mi inaczej traktować inne dzieci.

— Dlaczego uważa Pani, że to był błąd, skoro tyle Pani skorzystała z tego, że syn chodził do tej samej szkoły, co i Pani?

— Skorzystałabym tyle samo, gdyby chodził do innej. Fakt, że był w tej samej szkole spowodował, że wiedziałam natychmiast o każdym jego wykroczeniu, o każdej słabszej ocenie. Poza tym jestem rygorystyczna. W stosunku do niego byłam podwójnie surowa. To nie wprowadzało dobrej atmosfery ani w szkole, ani w domu. Nie byłam z tego zadowolona i on też nie czuł się najlepiej. Teraz, kiedy już skończył naszą szkołę i uczy się gdzie indziej, jest znacznie spokojniej i lepiej. Dlatego uważam, że to był błąd.

— Jak się Pani układa współpraca z rodzicami?

— Kiedy zaczęłam uczyć, miałam osiemnaście lat. Bardzo bałam się pierwszego spotkania z rodzicami i pamiętam to do dziś. Ale oni potraktowali mnie bardzo życzliwie. Szybko dogadaliśmy się. Okazało się, że można, bo przecież mamy wspólne zainteresowanie: n a s z e dzieci. Zawsze podkreślam w rozmowach z rodzicami, że są to n a s z e dzieci i że wspólnie musimy się o nie troszczyć. Chodzi bowiem o to, aby rodzice starali się interesować tym, co dzieje się w szkole. Ta troska nie może wyrażać się tylko tym, że przypominają o konieczności odrobienia lekcji. Rodzice powinni interesować się wszystkim, co dzieje się w szkole. Powinni na ten temat z dziećmi rozmawiać. Dziecko musi wiedzieć, że ich te sprawy interesują.

To jest bardzo ważne, jak nauczyciel układa sobie współpracę z rodzicami. Ja na przykład rozmowę z rodzicami zawsze zaczynam od rzeczy dobrych. Dziękuję im za pomoc, jaką dają nam w naszej szkolnej pracy. Najpierw chwalę nasze dzieci, za to, co zrobiły dobrego. A później dopiero mówię o kłopotach i trudnościach. I nie mogę narzekać na brak zainteresowania ze strony rodziców.

Organizujemy w szkole comiesięczne spotkania z rodzicami. Nazywa się to godzinne spotkanie, ale trwa czasem i po trzy godziny. Przychodzą najczęściej rodzice dzieci dobrze uczących się. Są niestety i tacy rodzice, którzy nie interesują się dzieckiem, tym, co ono robi w szkole, jak się uczy. Nie rozumieją, że takie zainteresowanie jest bardzo ważne dla dziecka. Pomaga mu w nauce. Dziecko nabiera przekonania, że to, co robi w szkole jest też ważne. A przecież niektórych rodziców trzeba niemal siłą sprowadzać do szkoły.

— Uczy Pani w najmłodszych klasach, od pierwszej do czwartej. Czy nigdy nie chciała Pani uczyć w starszych? Tam praca jest chyba bardziej ciekawa. Ma się już do czynienia ze starszymi dziećmi. A pod koniec już z młodzieżą.

— Uczyłam przez kilka lat w starszych klasach. Ale z wielką chęcią i radością wróciłam do maluchów. To nieprawda, że w najmłodszych klasach praca nie jest ciekawa i mało wdzięczna. Najlepiej mi się pracuje właśnie z maluchami. Specjalizuję się zresztą również w tym kierunku.

— Po czwartej klasie urywa się Pani kontakt z wychowankami?

— Niezupełnie. Do ósmej klasy są przecież nadal w tej samej szkole. Spotykam ich codziennie. A i później zdarza się, że przychodzą, opowiadają o swoich dalszych losach. Zdarzały się nawet zaproszenia na ślub. Tak, że kontakt wcale się nie urywa.

— Ostatnio sporo jest dyskusji wokół nowych zasad promowania uczniów, wokół ocen niedostatecznych i tak dalej. Jakie jest Pani zdanie na ten temat?

— Uważam — na podstawie własnych doświadczeń — że o losie każdego dziecka trzeba decydować oddzielnie. I robić to musi nauczyciel. Jeśli on wie, że dziecko w następnej klasie się podciągnie, nadrobi braki, to można je promować. Ale jeśli nie da rady, to pozostawienie ucznia na drugi rok jest złem koniecznym. Inaczej będzie to intelektualna kaleka, braki w wykształceniu dadzą znać o sobie znacznie później.

Nie jestem natomiast zwolenniczką szafowania i straszenia dzieci ocenami negatywnymi. Oceniać wiedzę dziecka trzeba sprawiedliwie i możliwie precyzyjnie. Takie straszenie dwójami i szafowanie nimi do niczego nie prowadzi. Dzieci się do tego przyzwyczajają i nic sobie z tych dwój nie robią. Efekt jest przeciwny do zamierzonego.

— Chciałabym na zakończenie naszej rozmowy życzyć Pani w imieniu Czytelników „Odgłosów" i własnym dalszych sukcesów w Pani pracy nauczycielskiej, którą Pani tak kocha.

— Dziękuję bardzo.

---

do piwnicy po nową butelkę na stary kredyt. Schodził do niej, biedaczysko, wiele jeszcze razy, aż nagle o świtaniu spojrzał przerażony w okno, zbladnął i chciał krzyknąć, ale go zatkało. Za oknem brylantowa pogoda, a jednak wciąż leje: A to potok szumiał nam przez całą noc obfitymi głosami ulewy. I wino też... Wobec tego Karp kazał niedługo potem nakryć potok deskami, bo rzecz się mogła rozgłosić i inni chytrze próbowaliby tego, co nam się przypadkiem udało".

Przyszły lata wielkiej wojny, okres głodu i niedostatku. Wszędzie dawał się odczuwać brak żywności. **Stefan Żeromski,** przebywający podówczas w Zakopanem, musiał nieraz odbywać podróże do Nowego Targu, aby uzyskać w starostwie zezwolenie na nabycie dwóch kilogramów mąki i nieco cukru. Ale u Karpowicza, wojna nie spowodowała zbyt wielkich zmian. Jak dawniej, tak i teraz można było dostać w jego restauracji niemal wszystko. W jego jadłospisie figurowały — jak na ówczesne czasy nieosiągalne — wymyślne potrawy, smakołyki, przekąski, wytworne trunki. Trudno było o nie nawet w Krakowie i innych miastach kraju. Ba: nie tylko kraju!

„...Uwierzyć trudno, — czytamy w pamietniku Ferdynanda Hoesicka, — **a jednak Karpowicz okazał się wytrzymalszym nie tylko od Greya** (premiera angielskiego — przyp. F. L.), **nie tylko od Brianda** (francuskiego męża stanu), **ale nawet od samego Mikołaja II** (cara rosyjskiego). **...Bowiem... runął wszechwładny, zdawałoby się, Grey, a tymczasem Karpowicz ma jeszcze wcale znaczny zapas porteru angielskiego; Runął złotousty i tak pewny zwycięstwa Briand, a tymczasem Karpowicz mógłby go jeszcze poczęstować najprzedniejszymi winami i koniakami francuskimi i szampańskim! Runął wreszcie samowładny car, a Karpowiczowi jeszcze nie zabrakło rosyjskiego kawioru".**

Nic więc dziwnego, że przybytek Stanisława Karpowicza trzeszczał od przeogromnej ilości gości, którzy tu zjeżdżali tłumnie z Krakowa i z innych okolicznych miast i miasteczek. Byli również i tacy, przeważnie ze świata artystycznego, którzy mimo trudności komunikacyjnych, od czasu do czasu, najczęściej w okresie lata, przyjeżdżali z odległych miast, by jak dawniej, przed wojną, spotkać się z towarzyszami zabaw i uczt u niezapomnianego Karpia. A on, ciesząc się i radując jak dawniej, sadzał ich do suto zastawionego stołu, wznosił raz po raz toasty na ich cześć.

W tym czasie, w okresie wojny, pozyskał Karp, prócz starych, dawnych, przedwojennych — nowych przyjaciół. Była nimi przeważnie brać legionowa, która przy każdej nadarzającej się sposobności, wpadała tłumnie do lokalu Karpowicza.

„Jak chmura gradowa — wspomina K. Makuszyński — **wionął przez nią Żeromski. Przemknął w ułańskim mundurze Sieroszewski — „rycerz przypasany do miecza". Cwałem wbiegał Belina: — I „suknia jego zakrwawiona, szabla jego wyszczerbiona". Ślicznowłosy Andrzej Strug rozważał wielkie sprawy z Żuławskim, zbrojnym jak na 30-letnią wojnę, a nad nimi chwiał się jak wierzba płacząca cichy i dobry Gustaw Daniłowski. Malarz wyborny Augustynowicz bulgotał, zawsze rozindyczony, a Solski wiercił się jak w ukropie na tej dziwacznej scence, aby jakoś zestroić tę ułańską gromadkę i ustawić wszystkich malowniczo. Karp, opasły jak beczka wina, kroczył z senatorską powagą i skwapliwie dobywał złotą radość z czeluści piwnicy".**

Nieraz zastanawiali się i dziwowali wszyscy, w jaki sposób udaje się Karpowi zaopatrywać swój przybytek w tak cenne i nieosiągalne wprost w czasie wojny artykuły i napoje. Różne były wersje na ten temat. Jedni twierdzili, iż Karpowicz uzupełniał swoje zapasy przy pomocy wielu dobrze opłacanych „przemytników", zaś inni byli zdania, iż przekupywał grubymi łapówkami sprzedajnych urzędników austriackich. Jedna i druga wersja wydają się prawdopodobne. W ten sposób udało się Karpowiczowi zakupić, tuż przed wybuchem wojny, dwa wagony ryżu, który ukrył w znanych tylko jemu miejscach. Dzięki tej przewidującej zapobiegliwości, pomógł przebyć ciężki okres wojny wielu rodakom, którym bądź za opłatą, a często zupełnie darmo, udostępnił cenny artykuł żywnościowy.

I jeszcze jedno ma do zawdzięczenia Karpowiczowi Zakopane. Oto w czasie wojny wpadł do Zakopanego głośny podówczas nie tylko w kraju, ale i w całej Europie, malarz i karykaturzysta **Kazimierz Sichulski.** Był biedny jak przysłowiowy świętu turecki. Pierwsze swe kroki skierował oczywiście do znanego z filantropii Karpowicza. Ten nakarmił go i napoił. No, ale co dalej? Na dłuższą metę taka bezczynność nie była wskazana, nie tylko dla Karpia, ale i samego artysty. Cóż więc robić? Stanisław Karpowicz wpadł wtedy na taki koncept:

„— Wiesz co, kochany Kaziu — zaproponował Sichulskiemu. — Mam taki pomysł: Ja będę cię karmił i poił, a ty w zamian za to będziesz malował.

— Czyś z konia spadł, Stachu! — zdziwił się Sichulski. — Malować w czasie wojny! A komu to się może przydać?

— Nam wszystkim!

— W jaki sposób?

— Sportretujesz naszych wybitnych ludzi. Uwiecznisz ich twarze na palecie!

— Po co?

— Po to, aby kiedyś w przyszłości, nasz naród wiedział, jakich to sławnych ludzi miał w okresie wojny. Rozumiesz?

— Niezły pomysł — przyznał artysta. — Rzeczywiście mogę się pod tym względem na coś przydać".

Karp uradowany akceptacją pomysłu, postarał się zaraz o przybory malarskie i jedną z obszernych izb przeznaczył na pracownię Sichulskiego. Artysta natychmiast zabrał się do roboty i począł w tempie niemal błyskawicznym tworzyć jedyne w swoim rodzaju portrety — karykatury znanych osobistości polskich ze świata literackiego, malarskiego, muzycznego i politycznego. Wykonał ich kilkadziesiąt w dość dużych rozmiarach. Karpowicz wpadł wtedy na pomysł zorganizowania wystawy karykatur. Oprawił je w niebieskie ramy drewniane, porozwieszał w dużej izbie obok werandy i udostępnił wszystkim, odwiedzającym jego restaurację. Wystawa spotkała się z wielkim zainteresowaniem mieszkańców uzdrowiska i turystów. Przyjeżdżali na nią miłośnicy sztuki nawet z Krakowa i z innych odległych miast.

W kolekcji karykatur uwiecznione zostały przez Sichulskiego między innymi postacie **Żeromskiego, Reymonta, Sieroszewskiego, Solskiego, Frenkla, Axentowicza, Witkiewicza, Brzozowskiego.** Kolekcją tą, zarówno **Stanisław Karpowicz,** jak i **Kazimierz Sichulski,** wzbogacili sztukę polską i zajęli poczesne miejsce w historii kultury polskiej.

Taki był Stanisław Karpowicz, jeden z tych, których inicjatywa, działalność i twórczość przyczyniły się do rozwoju i sławy **Zakopanego** i zapewniły jedno z pierwszych miejsc w jego historii.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

POWITAŁA NAS LITWA...

Dalszy ciąg ze str. 1

darzony znakomitą dykcją i po mistrzowsku interpretujący. Nie zapomnę i dlatego, że wbrew przyjętej u nas „euromanierze" zdecydowanym ruchem usunął na bok modny przyrząd dokonujący przemiany mieogipsów w głosy, a nazywany mikrofonem. Nie krzyczał też i nie miotał się po scenie z pianą na ustach, jak kiedyś, pamiętam przed wojną, Węgierko, a przecież słychać go było wyraźnie w najdalszym kącie wielkiej sali.

Powitała nas Litwa zaraz po spotkaniu na granicy w dobrze nam znanych z międzywojnia Druskiennikach koncertem dzieci ze szkoły muzycznej w sali odczytowej małego kombinaciku muzeów Ciurlonisa, kompozytora i malarza — symbolisty o wyjątkowej pozycji w panteonie sztuki litewskiej. Dzieci grały utwór niesłychanie smutny, rozlewny, rzewny na przedziwnych instrumentach, stanowiących coś pośredniego między cymbałami a cytrą. A w skansenie w Rumsziszkes pod Kownem ludowy zespół, który nb. wrócił dopiero co z objazdu Polski, powitał nas muzyką i tańcem pradawnym. Może dawniejszym niż chrześcijaństwo na Litwie i świętej Żmudzi: instrumenty przypominały starogrecką syrinx, taniec dziewcząt i starszych chłopek przenosił w czasy, gdy spełniał on wyjątkowo istotne funkcje w społecznym życiu prawsi: zabawowe, obrzędowe, rodzinne. Rzewne i sępne dajny (pieśni ludowe), wyciągane kontraltami i mezzosopranami o niezwykłych barwach, oddawały smutną i gorzką monotonię dawnego bytowania chłopskiego, zależnego od miłosierdzia przyrody i każdorazowego układu stosunków wieś — dwór.

I powitała nas Litwa, gdyśmy w Kownie składali pąsowe róże pod pomnikiem największej z litewskich poetek okresu międzywojennego, Salomei Neris (niezrównanej mistrzyni słowa, nauczycielki, działaczki lewicowej i pięknej kobiety) — powitała nas koncertem dzwonów z pobliskiej wieży ratuszowej.

Dzwony uwiadamiały nas, hen, z wysoka, że „Wilija, naszych strumieni rodzica, dno ma złociste i niebieskie lica". A Wilija właśnie niedaleko od nas znikała w „ukochanym Niemnie". A i mogliśmy o kilka ulic i wylotową artérie sprawdzić, że „miła Kowieńska Dolina', zwana dziś Doliną Mickiewicza, jest naprawdę „najpiękniejsza w świecie". I zobaczyć „ów kamień wyniosły", który był celem nie tylko przechadzek Waltera, zwanego później Wallenrodem, i Aldony Kiejstutówny. I witały nas dzwony w Kownie wieścią, że „flisacza dziatwa dalej płynie do Gdańska tratwą po wiślanej fali". I wzywały dzwony orła muzyką do słów „Leć, nasz orle, w górnym pędzie"... Potem zszedł z tej wieży po stromych schodach zasuszony, siwy staruszek, artysta — dzwonnik, pan Kuprawicias i była to chwila jak w „Pamiątce z Meripozy": czystą nienaturalnie czystą i nie całkiem dzisiejszą polszczyzną mówił nam dzwonnik o swym wzruszeniu, kiedy przyszło mu grać dla nas, że wchodzi tu po schodach codziennie i gra te i inne pieśni w określonych porach dnia, „jak u was strażak w Krakowie". I że nie wyobraża sobie życia bez chodzenia co dzień po tych schodach i grania.

Powitała nas Litwa — tu pani dyrektor i dzieci w czerwonych krawatach — w Liceum imienia Mickiewicza, tym samym podominikańskim, w którym uczył, mieszkał, pisał „Grażynę" i sam uczył się Litwy pozawileńskiej: Żmudzi, Auksztoty i nadkurońskiej „Mażoja Lietuva". To powitanie najmniej mnie ujęło. Może dlatego, że zbyt wiele się po nim spodziewałem. A może po prostu za dużo oficjalności.

O ileż bardziej chwyciły za serce gra i pieśni małomiasteczkowego zespoliku świetlicowego w Ukmerge (dawniej Wiłkomirsk), gdyśmy zasiedli w tym rejonowym miasteczku z władzami i pisarzami — gospodarzami do iście soplicowskiej uczty. Tu chyba miejsce na marginesową uwagę, że „uczt soplicowskich" było dużo, że Mickiewicz nic a nic nie przesadził, pisząc o ich swoistym rytmie, bogactwie i różnolitości dań. I że sam sposób podania, dobór i kolorystyka nakryć i serwisów jest tam sprawą bardzo ważną, dziełem świadomej inwencji twórczej i odziedziczonej kultury. A także, że Wojski mógłby być zupełnie usatysfakcjonowany, bośmy — goście i gospodarze — nie „milczkiem żwawo jedli", jeno toastowali i roztrząsali nasze merytoryczne, literackie i inne imponderabilijne oraz historyczno-krajoznawcze tematy. I właśnie tam, w Ukmerge-Wiłkomirsku zespół amatorski pod kierownictwem pana, co grał na akordeonie i jedyny miał za sobą kilka klas szkoły muzycznej pierwszego stopnia, przygrywał nam wytrwale i serdecznie. A więc i „Szła dziewczeczka do laseczka" i „Wszystkie rybki spały w jeziorze" i góralowi „było żal odchodzić od stron ojczystych" Zaś w przerwach czarnobrewa, smukła, piękna jak bursztynnopałacowa Jurate śpiewała po litewsku „Gdybym rannym słonkiem", „Kręć się, kręć, wrzeciono" i „Mów do mnie jeszcze". Dopiero, gdy zespół zabrał się do zagrania „Pożegnania ojczyzny", komuś poskoczyła melodia trochę do Lasa, komuś do Sasa i... wrócono do „Jeszcze jeden mazur dzisiaj". Ten amatorski, skromny zespół zrobił nam dużą frajdę.

Powitała nas Litwa w Połądze, a zwłaszcza w Nerindze, czyli na Mierzei Kurońskiej, owym obrazem z „Konrada": „Widzisz te zioła pachnące. Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie. Ach, daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra... I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni". Obrazem i jego alegoryczną, historiozoficzną wykładnię, jaką dał Walterowi Wajdelota: „Synu, plony wiosenne, żywo do grobu wtrącone..." Obraz, który czytelnik przelatuje oczyma po wersach poematu obojętnie, staje się tu na miejscu raptem brutalnie zrozumiały. Przyszło nam w Połądze i na Mierzei pełnić rolę świadków walki ludzi na śmierć i życie, służby geologiczno-botanicznej, zazieleniającej wciąż rozmywane wydmy i budującej od strony wielkiego morza ostrogi z głazów. Co chwila dowiadywaliśmy się, że tu, gdzie wydma czy przyboje istniały kiedyś i trzymały się kurczowo ziemi zasypane z czasem czy zatopione wioski rybackie. Treść zaś alegoryczna obrazu staje się najdosłowniej zrozumiała, gdy przychodzi oglądać w rybackiej wiosce — skansenie w domach, z których mieszkańcy uciekli w porze powracającej fali historii, niemieckie modlitewniki świadectwa konfirmacji oprawione, a wypisywane gotykiem i inne relikty tego niegdyś po latach złamanego oporu przyczółka germańskiego „Drang nach Osten". I gdy ogląda się to ze świadomością, że w tym samym akurat momencie w kraju Franza Straussa bynajmniej nie jednostki tylko śpiewają: „Von der Maas bis an die Memel, von der Etsch bis an der Belt — Deutschland Deutschland uber alles" itp.... Powitała nas tam Litwa widokiem zwyciężonego w tych miejscach, dzięki pracowitości synów Litwy radzieckiej, morza i wieloma świadectwami, że „łeb hydry" w tym i nie tylko w tym miejscu został obcięty. Przez Armię Czerwoną, a w jej szeregach i owych mężnych Litwinów, co polegli tu na zdobytym przez siebie skrawku mierzei — przyczółku, a my właśnie przed ich wstrząsającym pomnikiem .(wzniesionym bynajmniej nie według sztampy minionego okresu) składamy otrzymane dopiero co w podarunku róże.

Powitała nas Litwa znanymi gmachami wileńskiego starego miasta, siecią rusztowań na murach uniwersytetu i kościoła bernardyńskiego (akademickiego), restaurowanych w związku z przypadającymi na przyszły rok uroczystymi obchodami czterystulecia tej założonej przez Stefana Batorego uczelni. Powitała nas patrzącymi znad księżyca w nowiu oczami. Tej, co niegdy do zdrowia powróciła cudem dziecko, którego arcyutwory są oto dla kolejnego pokolenia nas i Litwinów żywymi przewodnikami po romantycznej przeszłości i niepowtarzalnym pięknie tych ziem. I która go nie zdołała jednak cudem przywieść na ojczyzny łono — inaczej niż prochem i brązem. Powitała nas Litwa tablicami pod oknem, za którym miejsce święte świętych, sacrum polskiej, litewskiej i światowej poezji — pod oknem celi, gdzie „obiit est Gustavus, natus est Conradus".

Powitała nas Litwa w zurbanizowanym, acz bez przesady i gigantomanijnych zapędów sowchozie Dainawa, który leży w geometrycznym środku kraju, jak u nas Piątek. Powitała chlebem i solą, muzyką, pytaniami, jak ze sprzętem zboża w Polsce, bo u nich przez deszcze, jak dotąd, zwieźli z pól tylko 60 procent. I powitała występami uczniów sowchozowej szkoły z recytacjami trudnych wierszy Różewicza, Szymborskiej, Ozgi-Michalskiego, Ostromęckiego i piszącego te słowa. Powitała nas w pobliskim kołchozie „Lenino Keliu", którego przewodniczący, o wcale przyjemnym dla Polaka imieniu i nazwisku — Józef Konrad, ani myśli pogodzić się z prawami wieku i odejść na emeryturę. Zakochany w uprawach i rozkładający po równi sentymenty do dawnego (inicjator i kustosz społeczny kołchozowego muzeum starych sprzętów gospodarczych i pamiątek archeologiczno-etnograficznych) i nowoczesnego, rolnik, a i gawędziarz pierwszej wody, zachwycił nas werwą, młodzieńczym zapałem i opowieściami o polskich miastach i wsiach, które przed laty kolejno ze swym oddziałem wyzwalał: o tym, co się i gdzie wtedy działo i skąd strzelali Niemcy, a „skąd nasi".

Powitała nas w wielkiej fabryce „Ekranas", zaopatrującej w kineskopy Związek Radziecki i pół Europy, dziewczyna olśniewającej urody, o intensywnie zielonych oczach „Sienkiewiczowska Oleńka" — szepnąłem. „Jurata" — odszepnął Ernest Kruk A to była robotnica, po technikum, przodownica pracy. Przemówiła ze wspaniałą dykcją, prześlicznie, bezkartkowo, z nie robionym uczuciem i bez standardowej afektacji. Druga dziewczyna, kiedyśmy już po zbiorowym spotkaniu autorskim wychodzili, zastąpiła mi drogę i poprosiła o dedykację na tylko co wydanej u nas i jeszcze do większości księgarń nie sprowadzonej mojej książce poetyckiej „Trzy wdzięczne damy i anioł" (kupiła ją na kieramszu książki polskiej w Wilnie). Kazała się podpisać właśnie na wierszu „Senemiascio fragmentas" — o starym mieście w Wilnie — i dała mi pąsowoszkarłatny gladiolus. Właśnie kwiat, który w tym wierszu gra rolę bardzo istotnej metafory. Zasuszyłem go i przywiozłem do Łodzi.

Witali nas nasi gospodarze — władze rządowe, wojewódzkie, powiatowe, gminne oraz brać pisarska z poetą — prezesem Maldonisem i wiceprezesem, prozaikiem Bubnysem — serdecznie i z otwartymi rękami, bez odbębniania oficjałek (takie rzeczy się czuje) i wzajemnego prawienia przyjemnych, acz bez praktycznego znaczenia zdań z najwyższego szczebla abstrakcji. Wcale nie. Były to rozmowy konkretne, partnerskie, wyrażające autentyczną ciekawość naszym Dziś w kulturze, gospodarce i dniu jak co dzień po obu stronach rozdzielającej, lecz nie dzielącej granicy. Rozmowy postulujące i rokujące — w obu znaczeniach tego mimo woli nadbiegłego pod pióro homonimu. Dodajmy — rozmowy, bez mieszczańsko-salonowych uników tematycznych, bez uznawania za temat drażliwy i nie do „poruszania w towarzystwie", że coś tam nas bardzo szczególnego przez długie wieki łączyło i coś przez nie tak długie lata, niepotrzebnie, dzieliło. I że nadszedł czas zbieżnych barw ideowych i pełnego uwiądu niezbyt odległych w czasie uprzedzeń.

Nie powitała nas tylko Litwa dobrą pogodą. Deszcz lał jak wszyscy diabli. Zwłaszcza w Kłajpedzie. Co tym bardziej pechowe, że nie jest to miasto odwiedzane przez turystów i mało właściwie kto zna je w Polsce. Bóg Diweriks, syn Perkunasa, przez roztargnienie, jakie aż w tak podniebnych sferach nie powinno mieć miejsca, zapomniał o zawieszeniu w tym czasie na niebie tęczy. Ale przecież zawiesił ją i sześćset lat temu, i czterysta trzydzieści cztery lata temu. Tęczę wspaniałą nie dostępną żywiołom tak niskiej konduity, jak chłapy kapuśniaczki, przymrozki, niesnaski, niesnaseczki.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Pisarze pod słynnym gotyckim kościołem Św. Anny w Wilnie, z tyłu kościół pobernardyński, należy już do zespołu budowli Uniwersytetu.

*) W skład delegacji wchodzili: Jerzy Putrament (przewodniczący), Józef Ozga-Michalski, Tadeusz Hołuj, Kazimierz Koźniewski, Anna Strońska, Janina Wieczerska, Witold Nawrocki, Janusz Domagalik, Jan Goczoł, Erwin Kruk, Andrzej Wasilewski, piszący te słowa. Delegacji towarzyszyli: radca kulturalny ambasady PRL w Moskwie, Edmund Makuch i przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR, Włodzimierz Łowicki.

JERZY URBANKIEWICZ

DALEKA, WSPANIAŁA SZKOCJA

Wiedza przeciętnego Polaka o Szkocji nie wykracza daleko poza whisky i skąpstwo. To ostatnie jest wymyślone przez Anglików i przez nich za pośrednictwem dowcipów propagowane. Owszem, są skrzętni i zapobiegliwi. Myślę jednak, że nikt nie jest bardziej skrzętny i zapobiegliwy niż przeciętna Angielka, która potrafi pędzić na drugi koniec Londynu, bo tam jest wyprzedaż i można coś dostać za kilka pensów taniej. Mówi się też, że Szkoci są przesądni. Stąd te wszystkie filmy o duchach straszących w szkockich zamkach. Mówi się o tym w Polsce, gdzie wiele gazet drukuje horoskopy.

Nie jest rzeczą trudną ustalenie prawdy o Szkotach — w Polsce, kraju od dawna pozostającym ze Szkocją w stosunkach wzajemnej życzliwości. Niejaki William Lithgow napisał w roku 1632 w swoich „**Adventures and Paniful Peregrinations**":

„I na szczęście Polskę uważałbym raczej za Matkę i Opiekunkę młodzieży szkockiej, która się tam co roku bardzo licznie udaje... Oprócz tego trzydzieści tysięcy szkockich rodzin mieszka na stałe w jej łonie. I rzeczywiście Polskę można uważać za matkę naszego ludu i praprzyczynę bogactwa naszych kupców, w każdym razie znacznej ich części".

Książek na podobne tematy napisano więcej. W bibliotekach Edynburga i Glasgow bez trudu można znaleźć wydaną w roku 1915 **„Papers relating to the Scots in Poland".**

JAK BYŁO DAWNIEJ?

Nieprzypadkowo wprowadził Henryk Sienkiewicz do trylogii postać Ketlinga. W wieku XV, XVI a nawet jeszcze XVII wielu Szkotów przyjeżdżało do Polski, by tu szukać szczęścia. Szkocja była wówczas krajem biednym. Podobno strój narodowy szkocki, w skład którego wchodzą: spódniczka i wąski płaszcz zwisający z jednego ramienia — stąd się wziął, że cały majątek biednego górala stanowił wełniany koc. Rozdarty wzdłuż na dwie części pozwalał na okrycie bioder i pleców. Jeżeli jest to prawdziwa historia stroju szkockiego, to tkwi też w niej wyjaśnienie groteskowego dylematu — czy Szkot nosi jakąś bieliznę pod spódniczką, czy nie.

A więc bieda oraz dość skomplikowane stosunki polityczne i religijne powodowały, że Szkoci emigrowali. W Anglii nie mieli czego szukać, w Niemczech i Prusach nie byli lubiani, szli więc do innych krajów, zwłaszcza do Polski. Wielu z nich służyło w wojsku najemnym, a królowie polscy chętnie korzystali z ich usług dla ich lojalności i męstwa. Ale służba w oddziałach zaciężnych to nie jedyne zajęcie emigrantów szkockich. Przodkowie nasi sami dość chętnie dobywali szabli, czuli zaś awersję do handlu. Tę ich słabość wykorzystywali Szkoci tak dalece, że w czasach owych powstało słowo „szot" będące polskim synonimem domokrążcy. Spotykało się wśród nich wielu osiadłych kupców i rzemieślników. Dostawcami dworu Stefana Batorego byli wyłącznie Szkoci, a z zadań wywiązywali się tak uczciwie, że im król przywilejem zapewnił to zajęcie na zawsze.

SZKOCI W POLSCE

Oczywiście proces ich polonizacji nastąpił nie od razu. Początkowo wyróżniali się mową, strojem, obyczajami, religią, toteż musiało dojść do powstania jakichś samorządów. Przybrały one formę i nazwę bractw, a bractwa te dbały o dobre imię swoich członków, sądziły wyrodnych braci, nakładając kary grzywny lub banicji.

Dziwną więc byłoby rzeczą, gdyby w tak dużej społeczności nie znalazły się jednostki wybitne, których nazwiska warto by było odświeżyć w pamięci Polaków.

W roku 1703 zmarł **Alexander Chalmers**, prezydent Warszawy, wybierany na to stanowisko czterokrotnie. Widocznie dobrze się zasłużył stolicy, jeśli go tylekroć powoływano na to stanowisko. Kanclerzem Stanisława Augusta był **John Stuart.** Nie porzucił on przybranej ojczyzny w jej najcięższych chwilach. Uczestniczył w insurekcji kościuszkowskiej, w legionach Dąbrowskiego, w kampanii 1812 roku i wreszcie w polskich barwach walczył pod Lipskiem. W XVII wieku żył w Polsce znakomity lekarz, **John Johnson,** Szkot rodem z Szamotuł, autor wielu prac naukowych. W Zamościu wykładał **Matthew Valentine Tepper. Robert Abercrombie** uczył w Braniewie, gdzie studiowało mnóstwo szkockiej młodzieży. Wreszcie w XVIII wieku Szkoci zamieszkali w Polsce ufundowali dwa stypendia: dla studenta Polaka i studenta z Polski pochodzenia szkockiego, wiary zreformowanej na trzyletnie studia w Edynburgu.

Z drugiej strony — wielu z tych Szkotów, którzy nie opuścili własnej ojczyzny dawało wyraz swojej sympatii dla Polski. A więc **John Lind,** profesor z Edynburga opublikował po pierwszym rozbiorze **„Listy dotyczące obecnej sytuacji w Polsce".** W listach tych atakował zaborców. Poeta **Thomas Campbell** pisał wiersze o Polsce. Stosunkowo niedawno Polacy mieszkający w Glasgow zorganizowali uroczystości ku czci Campbella połączone z małą demonstracją pod pomnikiem poety na George Square w Glasgow. Miejscowa prasa podała obszernie sprawozdania z obchodów, uzupełniając je gorzką uwagą, że Polacy przypominają Szkotom o ich poecie. Ten krótki i bardzo niepełny obraz zakończmy nazwiskiem bankiera **Tepper-Fergusona.** Pożyczył on królowi Stanisławowi Augustowi 5 milionów dukatów. Wobec upadku Polski sumy tej nie odzyskał i zbankrutował.

POLACY W SZKOCJI

Jeden z autorów szkockich opisujących życie jego rodaków na kontynencie w wiekach XVI i XVII nazwał Polskę ówczesną **„Ameryką owych czasów".** Niestety przyszły lata naszych klęsk narodowych i role odwróciły się. W okresie „wielkiej emigracji" z kolei Szkocja stała się drugą ojczyzną dla Polaków. Grupa około stu osób zatrzymała się w najpiękniejszym z miast szkockich a chyba i brytyjskich — w Edynburgu. Ukazywało się tam czasopismo **„Polish Exile"**, czyli **„Polski Uchodźca".** Do Szkocji emigrowali polscy chłopi na początku bieżącego stulecia, a potomków ich można dziś jeszcze spotkać w okręgach górniczych kraju. Wreszcie sensacyjna informacja, dla tych, którym nieobce są odbywane w Edynburgu festiwale muzyczne. Zapoczątkował je w roku 1805 kompozytor i znakomity skrzypek nazwiskiem **Janiewicz.**

Gdyby jednak w okresie naszej narodowej niewoli Szkoci nie wyrównali całkowicie rachunku przyjacielskich usług, to okazja zdarzyła im się w czasie drugiej wojny światowej i z okazji tej skorzystali. Liczba Polaków przebywających wtedy na ziemi szkockiej przekroczyła 60 tysięcy. Najpierw bo w roku 1940 przybyli tam ranni polscy żołnierze z kampanii norweskiej. Umieszczono ich w szpitalach pod Glasgow. I już wtedy poczęła wychodzić powielana polska gazetka — **„Kurier Glasgowski".** Redagowała go **Jadwiga Harasowska.** W czerwcu tegoż roku przybyły polskie oddziały z Francji. Wkrótce całe hrabstwo Lanark pełne było obozów wojskowych, a następnie — cała środkowa Szkocja. Mieściło się tam Dowództwo I Korpusu, formowała się I Dywizja Pancerna pod dowództwem gen. Maczka i Samodzielna Brygada Spadochronowa dowodzona przez gen. Sosabowskiego.

W Edynburgu znaleźli przytułek i możność kontynuowania pracy polscy naukowcy i studenci, bowiem przy tamtejszym uniwersytecie utworzono polskie wydziały. Do dziś wśród profesorów tego i innych szkockich uniwersytetów można znaleźć nazwiska polskie.

PRZYPADEK Z BOMBĄ

Już wtedy pomiędzy Polakami, a

Gdyby mnie ktoś zapytał, gdzie chciałbym „trochę pomieszkać", to z miejsc mi dostępnych wybrałbym niewątpliwie Pragę. Może w gruncie rzeczy wolałbym Pernambuco, jakieś gustowne miejsce na Tahiti, albo gdzie indziej jeszcze, ale z realnych miejsc — to Pragę. Dlaczego? Takich rzeczy nigdy nie wie się do końca. Po prostu Praga „działa" na mnie, na moją wyobraźnię. Nie tylko wtedy, gdy chodziłem stromymi uliczkami Małej Strany spływającymi jak wartkie strumienie do Placu Małostrańskiego. Na odległość także. Może jeszcze bardziej na odległość, bo przyprawia je wtedy uczucie melancholijnej tęsknoty.

ANDRZEJ GRUN

NA MOŚCIE KAROLA

Na praskie lotnisko samolot schodził ze swej niebieskiej trajektorii pośród ciężkich kropli deszczu. Ale kiedy następnego dnia wychodziłem z hotelu, Praga witała mnie słońcem. I w słońcu pozostała. Pomyślałem sobie, że moja gwiazda, nie znana, pośród innych gwiazd, wciąż świeci dla mnie przychylnie i że, być może, ta właśnie sympatia moja dla tego miasta dała mi niespodziewanie pewne fory u jakiegoś „niebieskiego ciała", bowiem gwiazdy miały tu wiele do powiedzenia i nie raz interweniowały w losy tego grodu i jego mieszkańców. Przed wiekami co prawda, ale w tych sprawach nigdy nic nie wiadomo do końca...

W każdym razie miałem szczęście: szczerze, po raz któryś tam, Złota Praga! Lecz wiedziałem przecież — gdy w sztuce używano w nadmiarze złota — pod złotą maską najczęściej kłębiły się sprawy mroczne i fantastyczne, zasupływały się w ciasne węzły nici najtragiczniejszych watków. Nie bez powodu Chateaubriand pisał w swoich pamiętnikach: „Ze swarów chrześcijan i pogan, z dawnych czeskich herezji, z przenikania obcych interesów i obcych obyczajów powstał chaos, który sprzyja kłamstwu. Czechy słynęły jako kraj czarnoksiężników." Dodajmy jeszcze, że i ogromnych fortun. To, co mówiono o całym kraju, mówiono przede wszystkim o jego stolicy. I tak zrodziła się Praga fantastyczna, legendarna, kształtująca swoje oblicze równolegle z historyczną, i przetrwała do dziś. W postaci realnych miejsc i budynków. W literaturze, sztuce i architekturze.

Legenda Pragi (bo można mówić o legendzie w odniesieniu do tego miasta bardziej, niż do jakiegokolwiek innego w Europie) rodziła się wraz z nią, ale jej kształt ostateczny uformowały dwa okresy: lata panowania Rudolfa II Habsburga i czasy odrodzenia narodowego, przypadające na schyłek XVIII i wiek XIX, kiedy kolejno następujące po sobie nurty oświecenia, klasycyzmu, sentymentalizmu i romantyzmu cementowały podwaliny nowoczesnej literatury czeskiej i w ogóle czeskiej sztuki współczesnej, sięgając często (przede wszystkim ze względów patriotycznych) do tematyki historycznej i przekazów plebejskich pisanych (volksbuchy na przykład) i ustnych. Utrwalone, przetworzone, i rozbudowane zostały wtedy w poezji, powieści i dramacie, a także w malarstwie i rzeźbie najróżniejsze tematy, które składały się na ową Pragę fantastyczną i tajemniczą, a w której kłębiły się przede wszystkim postacie z korowodu wiedzionego przez tego dziwnego i po dziś dzień budzącego najliczniejsze kontrowersje cesarza rzymskiego, a króla czeskiego, Rudolfa II. Korowód tego króla, który był katolickim królem w heretyckiej, ogromnej części kraju, jawił się doprawdy przedziwny i mógł działać na najbardziej nawet oporną wyobraźnię. Do dziś musuje jak podniecający napój w złotym kielichu starej Pragi.

Bo kogóż w korowodzie owym spotykamy ze znajomych pośród mnogiego, na poły anonimowego tłumu astrologów, alchemików, artystów, budowniczych, szarlatanów, obieżyświatów, fantastów, żołnierzy? No, ta kompania zadowoli najwybredniejsze gusta. Zatem Kepler, Tycho de Brahe, doktor Johannes Faust, Rene Descartes, Ahaswer, Comoenius, uczony rabi Löw ze swoim homunkulusem Golemem, niewolnik gwiazd, ponury i odważny kondotier Albrecht von Wallenstein, domniemany prototyp Wallenroda... Dalej Joahim Rheticus, którego osobisty genius familiaris tłukł, złapawszy za włosy, głową o ścianę, gdy ten daremnie próbował rozwikłać tajemnicę planety Mars, Giordano Bruno, Michał Sędziwój z Sącza, autor „Novum Lumen Chemicum" — podręcznika dla alchemików i wielka pośród nich powaga. Anglik Sethon zwany Kosmopolitą, znający ponoć tajemnicę kamienia filozoficznego który z iście filozoficznym spokojem znosił wszystkie wynikające stąd nieprzyjemności, John Dee i Edward Kelley, zawodowi wywoływacze duchów (a przede wszystkim szpiedzy z dworu angielskiego na Pragę i Kraków). Burmistrz Żydowskiego Miasta, Markus Mordechaj Mayzl, milioner finansujący poronione wyprawy wojenne cesarza Rudolfa... Wystarczy chyba. Tę procesję postaci legendarnych i historycznych wyobrażałem sobie na Moście Karola, przemieszaną z postaciami z kamienia, na tle królewskiego zamku, getta, synagogi Staronowej, na tle krętych uliczek starego miasta, gotyckich wież i barokowych kopuł i niespiesznie płynącej pośród wzgórz niosących cierpliwie przez stulecia na swoich grzbietach gród fantastyczny i tajemniczy Wełtawy. I dawałem się ponieść wyobraźni, tym rychlejszej i chętniej, że Pilzner jest piwem znakomitym, a ja lubię dobre piwo.

Niepojęte, pełne paradoksów są koleje losu. Po bitwie białogórskiej, kiedy naród czeski poniósł klęskę i zaczął zapadać się w otchłanie mroku, w beznadzieję, Praga stara, królewska otrzymała, niczym drogi kamień przepiękną oprawę barokową. Karel Krejci napisał w swojej książce o Pradze, że zbudowano piękny nagrobek nad mogiłą zabitego narodu. I to jest prawda. Historia nie zna logiki, logiczni są tylko historycy. Po wojnach husyckich i wojnie trzydziestoletniej Praga od 1649 do 1740 roku nie była ani razu polem bitwy, ani terenem działania obcych armii, ani też nie strawił jej żaden wielki pożar. Dlatego jej część barokowa została zbudowana w całości, bez luk i niedokończeń, kompleksowo jak byśmy to dzisiaj powiedzieli i późniejsze zdarzenia nie uczyniły jej już szkód takich, jakimi dotknięta bywała niejednokrotnie w przeszłości Praga królewska Przemyślidów, Luksemburgów, Jagiellonów. A i fundatorzy, katoliccy magnaci w rodzaju księcia frydlandzkiego Albrechta von Wallensteina czy globtrottera Humprechta Czernina z Chudenic, poza niezmierzoną pychą dysponowali ogromnymi fortunami z zagrabionych heretykom majątków. Także zakony, a nade wszystko zakon jezuitów, posiadały odpowiednie środki na budownictwo i propagandę swoich idei. I tak, pośród gotyckich wież wyrosły przysadziste kopuły barokowych kościołów, zmieniła i wzbogaciła się panorama Pragi, a na moście Karola zastygła w tajemniczych gestach tajemnicza procesja niezrozumiałych świętych.

Rys. A. Grun

O moście tym, który według legendy przytoczonej przez niemieckiego poetę romantycznego Clemensa Brentano, za jakimś volksbuchem, miał być kością olbrzyma przerzucona z brzegu na brzeg, francuski rzeźbiarz, Antoine Bourdelle powiedział, że jest jak centaur. Kamienny most przypominał mu spokojnego, szlachetnego, lecz okaleczonego nadmiarem ekspresji konia. Istotnie, rzeźbiarze barokowi, a zwłaszcza Ferdynand Maksymilian Brokoff, autor większości figur stojących na moście, nie oszczędzali na wyrazistości gestów, ani na symbolice, zresztą zgodnie z duchem samego stylu i założeniami propagandowymi zleceniodawców, czyli jezuitów. To, że artyści ci potrafili stworzyć dzieła rzeźbiarskie, które my dzisiaj odczytujemy przede wszystkim w uniwersalnej płaszczyźnie estetycznej, dowodnie świadczy o ich wielkim kunszcie, ale też i o tym, że jezuici byli znakomitymi psychologami, a w propagandzie nie uznawali tandety. Konstruowali swój „program wizualny" tak, by był zrozumiały dla wszystkich, od prostaczka do wielce uczonego. By oddziaływał najpierw na uczucia, a potem stopniowo na najbardziej wtajemniczone rozumy. Dlatego na najniższych szczeblach barokowej drabiny symbolicznej plasowali się święci dla maluczkich (Chrystus umęczony, Maria z Dzieciątkiem, patroni rozpoznawalni po czytelnych atrybutach, jak Katarzyna po kole, Roch po psie z bułką w pysku, Florian po kadzi z wodą), a im wyżej, tym święci byli bardziej „zakodowani", coraz trudniejsi do rozszyfrowania dla niewtajemniczonych. Ale wtedy głos zabierała sztuka; ekspresja i wyrazistość gestu, dramaturgia, skala i materia. Tajemniczość. Święci barokowi „wyższej rangi". Jan z Mathy od jelenia z krzyżem i więzienia tureckiego na przykład, czy Wincenty Ferrenusz, co nawracał Saracenów i nałogowo tępił demony, czy Franciszek Ksawery, współpracownik Ignácego Loyoli — byli niezrozumiali dla szerokiego gminu, ale przez to właśnie jeszcze bardziej potężni i wszechmocni, tym bardziej, że często otoczeni licznymi postaciami towarzyszącymi i tajemniczymi rekwizytami. Naczelna idea zakonu jezuickiego, mianowicie totalna ekspansja kościoła katolickiego, znalazła w barokowej dekoracji mostu Karola wyraz pełny i nieomal doskonały, bo sprytnie oparty o tradycje rodzime, rdzennie czeskie.

Lecz wszystko płynie. Pod mostem Karola toczy leniwie swoje wody Wełtawa. Wraz z nią dawno spłynęły idee, zamiary i plany jezuitów, głównych programistów tajemniczej kamiennej procesji, spłynęły nadzieje tych, co się pod tym programem podpisywali i tych, co im przeczyli. Spłynęły też imiona budowniczych i kamieniarzy. Utraciły swoją moc i swe znaczenie dawne symbole i rekwizyty. Pozostała sztuka. I legenda. Często sprzeczna z pierwotnymi intencjami, z faktami. Tym bardziej przez to fascynująca i tajemnicza. Taka właśnie, jaka winna być poezja, ta prawdziwie ludowa, nieposkromiona w swej naturalnej inwencji, okrutna i czuła jednocześnie, naiwna i mądra zarazem.

* * *

Zwyczajem podróżującego Polaka, ba, nałogiem nieomal jest szukanie w obcych stronach śladów rodaków, zdarzeń i rzeczy mających z nami bezpośredni lub pośredni związek. Z wszystkich naszych nałogów ten zaliczyłbym do grupy pozytywnej. Zatem i ja rozejrzałem się po figurach na moście Karola, czy przypadkiem..." I oczywiście! Znalazłem rodaków! W Brokoffowskiej rzeźbie grupowej uosabiającej przedstawicieli narodów świata, zbratanych w miłości i pokoju, odkryłem — przy niemałej zresztą pomocy Karela Krejcia, mojego wypróbowanego przewodnika po starej Pradze, polonusa-szlachcica w bogatym stroju orientalnym, bardzo zgrabnie odrobionego. Jest tam również i nasz Stanisław Kostka, obok Hiszpana jakiegoś stojący. Po tych odkryciach most Karola stał mi się jeszcze bliższy, tym bardziej, że z przyjemnością patrzyłem z jego drugiego końca na kolegium Klementinum, bardzo piękne, gdzie syn obrońcy Zbaraża, Michał Korybut Wiśniowiecki, późniejszy król polski (taki był, taki był) ukończył z wynikiem celującym studia.

I, stojąc oparty o kamienną balustradę, pośrodku nocnej ciszy, powtarzałem półgłosem wiersz Gałczyńskiego:

Dość lat po świecie chodzę
i widziałem różności
ale nie ma jak w Pradze
na Karlowym Moście.

Gdzieś, w dole, pluskały fale Wełtawy liżąc nogi kamiennego centaura. Zdawać by się mogło, że Wełtawa odpowiada słowami poety Vitiezslava Nezvala: „Ten, kto nie widział, jak te posągi nocą w pewne, nie oznaczone z góry w kalendarzu dni opuszczają swoje samobójcze cokoły, aby wmieszać się między nocnych przechodniów aby rozejrzeć się po dwunastu praskich mostach, nigdy nigdy nie zrozumie mojej poezji..." Ja widziałem.

---

miejscową ludnością poczęły się zawiązywać przyjaźnie i... miłości. Te ostatnie zaowocowały później licznymi małżeństwami. Jakimi drogami do tego dochodziło, niech zilustruje poniższa relacja z autentycznego wydarzenia, jakie miało miejsce w miasteczku na wschodnim wybrzeżu Szkocji.

Stacjonował tam oddział polski, pewnego więc dnia Niemcy dokonali nalotu bombowego. Nie był zbyt skuteczny, jedna zaś z bomb w ogóle nie wybuchła. Funkcjonariusze miejscowej obrony przeciwlotniczej zgodnie z przepisami otoczyli ją workami z piaskiem, ewakuowali ludność zamieszkującą okoliczne domy i poczynili przygotowania do rozbrojenia bomby. Z filmów wojennych wiemy, jak to wygląda. Przy bombie jeden saper, w przyzwoitej oległości za workami z piaskiem dowództwo operacji, radio tu, radio tam. „Uwaga odkręcam śrubkę nr 1..." itd. Przygotowania zakończono wieczorem, na ranek zaplanowano rozbrojenie bomby. Kiedy jednak ów saper, na którego to wypadło, wszedł za worki z piaskiem, zakrzyczał, nie posługując się radiem: **„Gdzie jest ta bloody bomb?!"**. Bomby nie było. Zapytano starego Szkota, co się mogło stać. Odpowiedział: **„Zabrał ją diabeł..."** Pomyślał chwilę i dodał: **„A jeżeli nie diabeł, to Polacy"**. I miał słuszność. Pewien polski kapral kochał się w dziewczynie, a bomba upadła akurat obok jej domu. Jeżeli się operacja rozbrojenia nie uda, to wyleci w powietrze posag. Więc skrzyknął kumpli, poszli w nocy, położyli bombę na kocu i ją wynieśli nad morze.

Dziś mieszka w Szkocji 2—5 tysięcy Polaków. Dość trudno o ustalenie granicy między Polakami a Szkotami, zwłaszcza w rodzinach mieszanych. Mieszkają głównie w Edynburgu, Glasgow, Dundee, Kirkealdy, Falkirk i Allos. Powodzi im się średnio lub dobrze. Zaczynali od sprzedawania „fish'n chips" czyli ryby z frytkami, albo też, zakładając tzw. landrety czyli pralnie. Te ostatnie okazały się świetnym interesem i wielu Polaków żyje z nich do dzisiaj.

NA LINII GLASGOW—ŁÓDŹ

Kilku glasgowian powiększa swoje zbiory znaczków polskich przy pomocy łódzkich kolegów, a również wydawany w Łodzi **„Historyczno-Badawczy Biuletyn Filatelistyczny"** jest w tym szkockim mieście chętnie czytywany.

Niezależnie od tego, że oba miasta w ciągu ostatnich lat bardzo zmieniły się zewnętrznie, wciąż jeszcze na pytanie: jakie jest najbrzydsze miasto w Polsce, pada określona odpowiedź, na pytanie — jakie jest najbrzydsze miasto w Wielkiej Brytanii, mówi się, że **Glasgow**. Do niedawna było to również drugie co do wielkości miasto Zjednoczonego Królestwa, podobnie jak **Łódź**. Obecnie zanotowano nieznaczną przewagę liczebną miasta **Birmingham**. Ale mieszkańcy Glasgow udają, że o tym nie słyszeli.

Do zbieżnych punktów należy też włókiennictwo, które tam na wyspie nie odegrało może tak wielkiej roli, jak tu u nas nad Łódką, ale zawsze... Między innymi wart jest przypomnienia, fakt, że w początkach ubiegłego stulecia zastrajkowali czeladnicy tkaccy. Powodem strajku było przejedzenie łososiem. Karmiono ich tą rybą codziennie. Strajk zakończył się zwycięsko. Odtąd karmiono ich łososiem tylko trzy razy w tygodniu. W roku 1887 i to się urwało, wtedy bowiem wyłowiono z rzeki Clyde ostatnią rybę tego gatunku.

ŚWIĘTY MUNGO CZYNI CUDA

I w ten sposób doszliśmy do spraw różniących nasze dwa miasta. Różni nas również to, że powstanie naszego miasta wiąże się z osobą Rembielińskiego, powstanie Glasgow — z osobą świętego Mungo, przy czym pierwszy działał środkami administracyjnymi, drugi — przy pomocy cudów. Pierwszego opisała Danuta Bieńkowska („Kawaler Różanego Krzyża"), drugiego — kroniki starodawne.

Pewnego razu św. Mungo zatrzymał się w klasztorze, w którym płonął święty ogień. Podjął się strzeżenia go nocą, ale zasnął, z wiadomym skutkiem. Przykro mu się zrobiło na widok smutku bijącego z twarzy gościnnych zakonników, więc ułamał oszronioną gałąź, zaczął na nią chuchać i zapłonęła jak zapalniczka.

Uratował też cześć królowej Langueth, żony króla Rodericka. W czasie polowania kazała słudze pilnować pierścienia, jaki otrzymała od męża. Ale gałgan (wzorem św. Mungo) zasnął. Król dojrzał pierścień na jego palcu, ściągnął mu go i wrzucił do rzeki Clyde, a następnie zaczął indagować żonę, co zrobiła z jego bezcennym podarkiem. Nawinął się wtedy św. Mungo. Ubłagany przez królową, kazał zarzucić wędkę. Złowiono oczywiście łososia. A w pyszczku ryba miała co? — oczywiście pierścień.

Takich i podobnych cudów glasgowski święty dokonał więcej, został więc kanonizowany. Natomiast nie doczekał kanonizacji wielebny Neil Douglas. Kiedy męczyły go muchy, powiedział: „Przepadniecie i będziecie potępione. To jest tak pewne, jak to, że tę muchę złapię". Machnął ręką, ale uciekła. „Ano, nie złapałem — powiedział. — Mają jeszcze szansę na zbawienie".

Szczątki św. Mungo spoczywają do dziś w obszernej krypcie pod kościołem katedralnym, podobno założonym przez tego świętego.

ZABYTKI GLASGOW

Nie ma Glasgow wielu starych budowli. Kościół, o którym mowa, zbudowano w okresie wczesnego gotyku na fundamentach starego romańskiego, wzniesionego w roku 543, który się potem spalił. Jest w mieście jeden dom z XV wieku i Uniwersytet z r. 1451. Tak mała ilość zabytków wynika chyba z tego, że tradycyjnie budowano tu z kamienia, ładnego po wydobyciu z kamieniołomu, brzydnącego z upływem czasu i niezbyt trwałego. Kamień ma ceglasty odcień, ale pod działaniem czasu i pogody pokrywa się czarnym, brudnym nalotem. Toteż stare budynki wyglądają jak po pożarze. Mnóstwo ich zburzono, dokonała się bowiem generalna przebudowa systemu komunikacyjnego miasta. Od trójpoziomowego mostu na rzece Clyde poszły łukiem trzy arterie w trzy strony świata, a wszystko co na drodze zburzono.

Stary Glasgow rósł od katedry i grobu św. Mungo w kierunku rzeki. Rzeka była ważna, bo pełna łososi i blisko po niej do morza. Miasto rozwinęło się, kiedy odkryto drogę na zachód, do Ameryki. Kupcy glasgowscy zagustowali wtedy w handlu tytoniem, zrobili majątki i pobudowali okazałe siedziby z czerwonego kamienia (przetrwał, jak się rzekło, jeden). „Tabaczni lordowie" nosili czerwone ubrania i biczami odganiali pospólstwo, jeśli im zastępowało drogę. Przy nich pożywili się inni. Pojawił się przemysł lniarski, a następnie, poczęto produkować potrzebne do płótna barwniki. Tabaczne eldorado trwało do wojny secesyjnej i wtedy się skończyło. Ratunkiem dla miasta okazała się bawełna. Już wcześniej coś tam z niej robiono, aż nagle tkacz, **James Monteith**, który dodawał nieco bawełny do lnu, odkrył sposób robienia hinduskiego muślinu z samej bawełny. Było to w modzie i cenie. Miejsce „tabacznych lordów" zajęli „królowie bawełniani", miasto znów rozkwitło.

RZEKA

A wszystkie przemiany były nieodłączne od rzeki. Ona uczestniczyła w rozwoju i rozwojowi pomagała. Uregulowano ją, pogłębiono, tak że statki morskie mogły wpływać do miasta. To ciągłe dopasowywanie rzeki do potrzeb gospodarczych zaowocowało też w ubiegłym wieku anegdotą. Dwaj robotnicy portowi spotkali się po dwóch latach niewidzenia. Najpierw porozmawiali o własnych losach, a następnie zajęli się znajomymi.

— A nie wiesz, co się dzieje z tym wesołym Jockiem O'Kay?

— O, nie żyje nieboraczek. Młot parowy zgniótł mu piersi.

— Biedny Jock... Zawsze miał takie słabe piersi...

Mnogość starych opowieści związanych z portem i okrętami świadczy o roli tych rzeczy dla miasta.

Mówiąc o największym z miast szkockich, należy chyba wspomnieć o rzeczy tak bardzo szkockiej, jak... szkocka whisky. Na terenie całej Wielkiej Brytanii sam przymiotnik „szkocka" oznacza właśnie ten oryginalny napój, który Anglicy tak bezbożnie psują wodą sodową. Podobno na jednym z zebrań przedwyborczych w Glasgow wystąpił pewien Irlandczyk i powiedział: „Panowie! Jestem Irlandczykiem i jestem dumny, że płynie we mnie krew irlandzka. Ale nie wstydzę się dodać, że mam też w sobie kroplę szkockiej". Nie rozumiał, czemu szkockie audytorium przyjęło to oświadczenie śmiechem.

W mieście tym, na wydziale fizycznym Uniwersytetu pracował **James Watt**, człowiek który stworzył maszynę parową w jej dzisiejszej postaci. Początkowo wykorzystywał ją do pompowania wody z podglasgowskich kopalń węgla, później zaś na rzece Clyde zbudował pierwszy, ów historyczny statek parowy. Inny wielki obywatel Glasgow to **John Logie Baird**, wynalazca telewizji. Na pomysł przesyłania obrazów na odległość wpadł w roku 1924, a w 3 lata później przeprowadził eksperyment transmisji pierwszych obrazów z Londynu do Glasgow. Baird jest też odkrywcą telewizji kolorowej i stereoskopowej.

Teatrowi nie zagraża kryzys

Rozmowa z LIDIĄ ZAMKOW

Dokumentacja działalności teatralnej Lidii Zamkow rejestruje ponad 80 przedstawień, często według jej adaptacji oraz kilkanaście czołowych ról we własnych spektaklach. Debiutem reżyserskim była „Omyłka" Prusa, z Kazimierzem Dejmkiem w roli głównej, zrealizowana w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi, w roku 1948.

W 1952 roku otrzymała Nagrodę Państwową za „Pociąg do Marsylii" Gruszczyńskiego i propozycję objęcia Teatru „Wybrzeże" w Gdańsku. Za reżyserię „Tragedii Optymistycznej" — kolejna Nagroda Państwowa. Dyrektorska przygoda trwała dwa sezony, od lat Lidia Zamkow jest reżyserem bez własnego teatru i zespołu. W połowie lat 50-tych związała się z krakowskim Teatrem im. Słowackiego, a potem z Teatrem Starym im. Modrzejewskiej. Okres ten w biografii artystki pozostaje czasem największych osiągnięć twórczych („Wizyta starszej pani" Dürrenmatta, „Kapitan z Kopenick" Zuckmayera, „Sen" Dostojewskiego, „Caligula" Camusa, „Matka Courage" Brechta).

Za osiągnięcia artystyczne w Starym Teatrze zostaje w roku 1963 laureatką nagrody im. Boya-Żeleńskiego nadanej przez Klub Krytyki teatralnej SDP. Wielokrotnie podejmuje się realizacji utworów literatury rosyjskiej i radzieckiej: do najgłośniejszych spektakli należą: „Na dnie" Gorkiego, „Cichy Don" Szołochowa, „Zmartwychwstanie" Tołstoja (69 r.).

Realizacja „Wesela" Wyspiańskiego z 1969 roku wywołała burzę, szczególnie po emisji telewizyjnej, choć liczni entuzjaści tego spektaklu uważali, że stał się krokiem naprzód w stronę współczesnego i aktualnego czytania klasyki. W latach siedemdziesiątych Zamkow silniej wiąże się z teatrem telewizji („Matka Courage", „Wesele", „Król Edyp", „Diabeł" „Matka", „Letnicy", 4-odcinkowy spektakl „Sławy i chwały" i „Ludzie bezdomni").

Aktorstwo Lidii Zamkow? — **Gram raz na dwa lata** — jak mówi o sobie, **— aby się sprawdzić i wiedzieć, czego mogę wymagać od aktorów jako reżyserka.** Jej monodram — „Urodziłam się jak wróbel" poświęcony Edith Piaf, był jednym z najciekawszych przedstawień tego typu w ostatnich latach (I nagroda na Festiwalu Jednego Aktora we Wrocławiu, 1970 rok).

Ostatnio współpracuje z Teatrem Powszechnym w Łodzi, w którym zrealizowała „Zmartwychwstanie" Tołstoja (wznowienie — jesienią br.), oraz „Lot nad kukułczym gniazdem" Keseya (aktualnie grany).

W 1979 roku Zamkow będzie reżyserowała w tym teatrze „Biedermana i podpalaczy" Maxa Frischa. Związki twórcze z Łodzią odnoszą się również do pracy ze studentami PWSFTviT, gdzie wg scenariusza i w reżyserii Lidii Zamkow oglądaliśmy niedawno pracę dyplomową studentów IV roku wydziału aktorskiego, pod zagadkowym tytułem „ABCD" (pierwsze litery tytułów z 4 sztuk „Anna Karenina", „Balladyna", „Caligula" i „Opera za trzy grosze"). W łódzkim Teatrze Telewizji zaproponowano Zamkow reżyserię „Komediantki" wg Wł. St. Reymonta.

Z wybitnym reżyserem rozmawiamy o łódzkich realizacjach teatralnych, o funkcji teatru i roli aktora w teatrze i poza nim — w społeczeństwie.

Lidia Zamkow.
Foto. Cz. Kłos

— Oglądamy obecnie na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi pani realizację głośnej sztuki „Lot nad kukułczym gniazdem". Jak narodził się pomysł stworzenia tego spektaklu?

— Odpowiedź musi być bardzo precyzyjna, aby nie zabrzmiała inaczej niż chcę to powiedzieć. Po obejrzeniu spektaklu warszawskiego, zapragnęłam go zrobić inaczej. I powstała u mnie myśl nie w kontrze do przedstawienia warszawskiego, lecz przez inny filtr. Zamierzałam pokazać tę sztukę przez swoje odmienne widzenie.

— Poprzednia pani realizacja teatralna w tym teatrze to: „Zmartwychwstanie" wg powieści Lwa Tołstoja, w pani przekładzie, adaptacji i reżyserii. Dlaczego Tołstoj, dlaczego „Zmartwychwstanie" i dlaczego Jerzy Zelnik, posłużyli pani do stworzenia tego spektaklu?

— Tołstoj, — dlatego, że bardzo lubię tego pisarza. Znam język rosyjski na równi z polskim, jestem z mieszanego małżeństwa (Polaka i Rosjanki). Wychowałam się w kręgu literatury rosyjskiej. Na ogół dzielimy się na „tołstojowców" i „dostojewszczyków", ja jestem tołstojowcem. Zrealizowałam jego „Sonatę Kreutzerowską", „Diabła" w TV oraz „Zmartwychwstanie", bo jest to powieść publicystyczna, jedyna powieść, w której Tołstoj pokłonił się rewolucji. Jerzy Zelnik jest człowiekiem wrażliwym, subtelnym i ma jedną cechę nieodzowną dla postaci Niechludowa — ma rasę! W tym otoczeniu gruboskórnym, plebejskim, czasami wulgarnym, musi być KSIĄŻĘ Niechludow! — wytwarza to barierę obcości. Poza tym Zelnik jest człowiekiem bardzo inteligentnym, z którym przyjemnie pracować.

— Czy wraca pani do swoich przedstawień już po premierze, chodzi mi o ulepszenia, zmiany...?

— Ze wstydem muszę przyznać, że nawet nie bywam na swoich przedstawieniach, choć wiem, że powinnam przypilnować ich pierwotnej, premierowej formy. Nie lubię swoich przedstawień. W bardzo sporadycznych przypadkach lubiłam wyjątkowe sekwencje i przychodziłam właśnie na nie. W tej materii jestem prawdziwą kukułką, podrzucam i uciekam...

— Mówi się, że teatr przeżywa kryzys?

— Teatrowi nigdy nie zagraża żaden kryzys. Wierzę, że za ileś tam lat, ludzie z weekendu spędzonego na jakiejś planecie, będą szybko wracali na przedstawienie „Romea i Julii" na Ziemi... Dlatego, że magia obcowania człowieka z człowiekiem jest możliwa tylko w teatrze.

— Jaki sens poza teatrem w społeczeństwie — może mieć praca aktora?

— Praca aktora jest agitacją, aktor — agituje widownię do pewnych treści, pewnych prawd. Jeżeli umie to robić sugestywnie, fascynująco, to oddziaływa na wyobraźnię człowieka i wtedy jest to coś więcej niż zagranie postaci.

— Niedawno pracowała pani z adeptami sztuki aktorskiej nad ich spektaklem dyplomowym. Jak ocenia pani młodego aktora tuż po studiach w teatrze?

— Mogę powiedzieć o tym, jak wyglądają moje spotkania z absolwentami szkół aktorskich na terenie teatru, gdzie adepci są już w zespole teatralnym. Wydaje mi się, że o ile posiadają oni zasady rzemiosła tradycyjnego, o tyle są nieprzygotowani do przyjęcia nowych stylistyk, poetyk teatralnych. Ich wyobrażenia i zainteresowania estetyczno-intelektualne są nikłe. Ze szkoły powinni wychodzić rozbudzeni intelektualnie i mało doświadczeni, a dzieje się odwrotnie, co jest paradoksalne.

— Osiem lat temu rozmawiała pani z Andrzejem Hausbrandtem o teatrze (wydanie książkowe rozmów autora z ludźmi teatru). Ciekawy jestem, czy na pewne zagadnienia patrzy pani dziś analogicznie?

I tak powiedziała pani: — „jestem z powołania nie reżyserem, lecz moralistką"?

— Jeszcze w większym stopniu niż dawniej! Dorastał mój syn, który obecnie ma 21 lat i zagadnienia moralne stają się dla mnie coraz bardziej ważne, jestem na nie coraz bardziej wyczulona...

— „Dzięki mej płci nie jestem sceptyczką — wierzę w życie".

— Oczywiście! Kobiety są kreacyjne, w całym życiu nie spotkałam kobiety katastrofistki w sensie światopoglądowym. Kobiety kreują życie i muszą wierzyć w życie! Jestem do tego stopnia absurdalnie optymistyką, że jak mi się coś nie powiedzie — szukam w tym dobrych, pozytywnych zapowiedzi.

— „Nie wierzę w wychowawczą funkcję teatru, wierzę w jego funkcję poznawczą i kreacyjną"?

— Jeszcze bardziej nie wierzę po 8 latach! Obserwując widownię — jestem bardziej umocniona w tym osądzie. Wierzę, że teatr może zrobić człowieka wrażliwym, ale niestety tylko w dość nikłym stopniu. Moja wiara w funkcję teatru została zachwiana przez mało dynamiczny rozwój naszych widowni w stosunku do rozwoju form i treści proponowanych przez teatr.

— „Seks w swej postaci naturalistycznej musi zostać z teatru przepędzony. Uwolni to teatr od naśladownictwa reklam biustonoszy i pończoch, choć równocześnie utrudni pracę inscenizatorowi, który zmuszony będzie do wymyślania własnych obrazów, do tworzenia sztucznego seksualizmu"?

— Teraz bym to sprecyzowała. Seks to zjawisko handlowe, a w teatrze jest sferą życia człowieka. Należy wyeliminować z teatru pojęcie seksu jako towaru. Marketing musi być zamieniony w sztukę.

— Czy przywiązuje pani wagę do rzemiosła reżyserskiego, co ono znaczy dla pani w praktyce?

— Przede wszystkim przywiązuję wagę do rzemiosła. O ile jestem zażenowana, gdy porusza się materię zdolności, czy talentu, to z posiadanego rzemiosła jestem dumna. A oznacza ono dla mnie, że nic co teatralne nie jest mi obce.

— Zastanowiły mnie wypowiedzi ludzi teatru, z którymi ostatnio rozmawiałem o ich pracy. Mówili o załamaniach, często niewierze w sens swojej pracy... Czy miewała pani, a może ma takie okresy u siebie?

— Stwierdzę raz jeszcze, że opornie rośnie nam widownia i stąd załamania i niewiara ludzi uprawiających ten zawód. Może trzeba uzbroić się w większą cierpliwość i wyrozumiałość?

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

ZAPISKI KRONIKARZA

DZIECI LUBIĄ CHODZIĆ DO TEATRU...

Dzieci lubią chodzić do teatru, a teatr — cóż — również lubi dzieci, zwłaszcza jeżeli z końcem roku przychodzi mu nadganiać plan finansowy, albo przynajmniej frekwencyjny... Równie dobrze mógłbym wycofać się z tej drobnej złośliwostki, bądź upierać się przy niej zaciekle, dla uniknięcia ewentualnych konfliktów przyjmijmy wszakże pogodnie, że między teatrem, a najmłodszym pokoleniem widzów istnieje pełne porozumienie. Dobrą frekwencję notują teatry lalkowe, tłoczno bywa na bajkach granych przez dramatyczne sceny, całymi latami szła baletowa „Królewna Śnieżka" w Teatrze Wielkim, no i tak dalej, i tak dalej, przykłady można mnożyć obficie.

Dzieci jednak rosną, przedszkolaki zaczynają chodzić do szkoły, absolwenci szkół średnich podejmują pracę zawodową, bądź trafiają na wyższe uczelnie, gdzieś wszelako po drodze spora część małych sympatyków teatru przestaje kochać dobrą panią Melpomenę. I tu nasuwa się przypuszczenie, że popełniamy jakiś błąd w teatralnej edukacji, że gdzieś nadużywamy kredytu zaufania, którym najmłodszy widz obdarza chociażby prowadzoną przez PTL „Arlekin" Scenę Przedszkolną.

Dwa lata temu spróbowałem szukać tego błędu i w publikowanym na łamach „Expressu Ilustrowanego" cyklu rozmów z dyrektorami łódzkich scen doszliśmy nawet do pewnych wspólnych ustaleń, które w niczym nie zaważyły wszakże na praktyce i pozostały w sferze tzw. pobożnych życzeń. Zdarza się, czas był może zbyt krótki, lub niezbyt sprzyjający, w obliczu zbliżającego się Międzynarodowego Roku Dziecka być może warto jednak do tych spraw powrócić. W maksymalnym skrócie powtórzymy przeto to do czego domówiliśmy się przed dwoma laty.

Dyrektorowi „Arlekina", STANISŁAWOWI OCHMAŃSKIEMU, przedstawiłem sprawę tak:

„Jedno zdaje się być oczywiste: teatr nie tylko ma poważne obowiązki wychowawcze wobec dzieci i młodzieży, ale sam jest żywo zainteresowany w edukacji teatralnej najmłodszych widzów, bo ci — raz dla teatru zdobyci — pozostaną mu najprawdopodobniej na trwałe wierni.

Jeżeli jednak teatr lalek trafia do przedszkolaków, nawet tych najmłodszych, proponując następnie spektakle dostosowane do możliwości percepcyjnych coraz to starszych dzieci, potem wytwarza się przynajmniej kilkuletnia luka. Istnieją książki dla dzieci i książki dla młodzieży, istnieją filmy dostosowane do różnych kategorii wieku, natomiast teatr na jakiś czas traci kontakt ze swoją widownią, po bajkach nie ma już jej po prostu niczego do zaoferowania Zgodzi się pan bowiem chyba z twierdzeniem, że w pewnym wieku teatr lalek przestaje już dziecku wystarczać?".

Zastrzegłszy się, że artystycznie rzecz biorąc teatr lalek zdolny jest tworzyć — i tworzy, niekiedy z ogromnym powodzeniem — przedstawienia dla młodzieży i dorosłych, w zasadniczej sprawie dyr. Ochmański zechciał mi przyznać rację.

„Istotnie — powiedział — **w wieku 10—11 lat budzi się w dziecku pewien rodzaj wstydliwości, czuje się urażone, gdy przyrównać je do przedszkolaka, natomiast chętnie odwiedziłoby „prawdziwy teatr", gdyż jest to po prostu teatr, do którego chodzą dorośli. Granica, owa bariera psychologiczna, przebiega mniej więcej na poziomie IV klasy, przy czym — rzecz charakterystyczna — nie występuje tak wyraźnie u dzieci wiejskich, które w ogóle rzadziej mają okazję obcować z teatrem.**

Możemy tę granicę nieco przesunąć, wprowadzając maski, mieszając plan lalkowy z planem żywym, ale tak czy owak — i musimy się z tym pogodzić — wcześniej czy później wypada nam swoich małych widzów „dorosłym" scenom oddać".

„Tylko że te „dorosłe" sceny — atakowałem uparcie dalej — **nie bardzo są przygotowane do przyjęcia 12- czy 14-latków. Owszem, grają niekiedy bajki, ale te przeznaczone są przede wszystkim właśnie dla dzieci młodszych, gdy w ciągu wielu, wielu lat propozycji dla dzieci starszych naliczyłbym zaledwie kilka. Bodaj wszystkie zaprezentował Teatr im. Jaracza: „W pustyni i puszczy", „Księcia i żebraka", „Anię z Zielonego Wzgórza", „Placówkę", „Porwanie w Tiutiurlistanie", „Szaleństwa panny Ewy". Sześć adaptacji sześciu znanych książek".**

Dyrektor Ochmański poczuł się solidarny.

„Bądźmy sprawiedliwi — odpowiedział — **z repertuarem dla dzieci są w ogóle kłopoty, a repertuaru dla dzieci starszych po prostu nie ma. Trzeba go dopiero stworzyć, zamówić, sprawdzić na scenie".**

W podobnym duchu odpowiadali też dyrektorzy scen dramatycznych.

KAZIMIERZ DEJMEK: **„Tak, to chyba prawda, coś powinno jeszcze być między „Dziewczynką z zapałkami", a „Ślubami panieńskimi". Ale co, sam nie wiem, nigdy nie zajmowałem się teatrem tego typu. Właściwie jedynie krakowski Teatr Młodego Widza próbował swego czasu grać pozycje i dla dzieci i dla młodzieży, jednak on również miał poważne kłopoty z repertuarem".**

„Czyżby więc na repertuarze wszystko miało utknąć?" — zapytałem.

„Spróbujmy po prostu zacząć, praktyka pokaże, na ile uda się nam przezwyciężyć repertuarowe i nie tylko repertuarowe kłopoty".

Dyr. ROMAN KŁOSOWSKI na pytanie o repertuar dla dzieci starszych odpowiedział:

„To byłoby już chyba zadanie koordynacyjne dla władz miasta, żaden teatr nie jest bowiem w stanie grać jednocześnie pozycji dla dzieci młodszych, starszych i jeszcze dla „nastolatków". Naszym podstawowym odbiorcą jest przecież widz dorosły. Jednak kolejno — włączając w to sceny muzyczne — teatry zdolne są przygotować premiery przeznaczone dla poszczególnych grup wieku, bajki, opery dziecięce, widowiska i młodzieżowe musicale. Pamiętając, iż udane realizacje tego typu wyjątkowo długo utrzymują się na afiszu, w przeciągu kilku sezonów — oczywiście w skali miasta licząc — możemy tedy dopracować się repretuaru i dla dzieci i dla młodzieży. Nie łudźmy się jednak, że okaże się to proste i łatwe, repertuar ten będziemy musieli dopiero zamawiać, będziemy musieli tworzyć go właściwie od początku".

Dyr. JAN MACIEJOWSKI, którego teatr gra wyjątkowo dużo pozycji dla dzieci i dla młodzieży, problem sformułował nieco inaczej:

„Sądzę jednak, iż nie w bajkach sprawa. Dobrze jest, gdy dzieci we wszystkich grupach wieku mogą w teatrze znaleźć coś dla siebie, jednak w moim odczuciu ciężar walki o przyszłego teatralnego odbiorcę przesuwa się w stronę klas licealnych. Jako rodzice doskonale wiemy, że łatwiej o przyjacielski kontakt z dwunastolatkiem, niż z wchodzącymi już w dorosłe życie szesnasto- czy osiemnastoletnimi młodymi ludźmi. Podobnie jest chyba w przypadku teatru — jeżeli osiemnastolatek zaakceptuje teatr jako coś, co jest mu potrzebne w życiu będzie to już najprawdopodobniej akceptacja na całe życie".

PTL. „Poproście Rzepa by się nie czepiał". Janusz Cyl jako Bałabał Duzy.
Foto: J. Prajs

Padały również propozycje organizacyjne, dyr. Dejmek był np. zdania, że teatry dramatyczne i muzyczne powinny kolejno wystawiać pozycje przeznaczone dla młodych widzów, z tym jednak, iż na określony sezon miałyby one niejako „prawo wyłączności". Premierę daje — powiedzmy — Teatr Wielki, a inne sceny (prócz rzecz jasna lalkowych) co najwyżej dogrywają wcześniej przygotowany repertuar.

Do przyjęcia podobnej umowy co prawda nie doszło, nietrudno jednak zauważyć, że w centrum dyskusji znajdowała się raczej sprawa repertuaru, zwłaszcza repertuaru dla dzieci starszych, który — posłużę się tu słowami dyr. Ochmańskiego — **„trzeba dopiero stworzyć, zamówić, sprawdzić na scenie".**

A skoro tak, wolno zapytać cośmy przez dwa lata minione zamówili i stworzyli.

Teatry lalkowe stanowią osobny rozdział, „Arlekin" boryka się z przydługim remontem macierzystego gmachu, tuła się po kątach i dobrze przynajmniej, że ambitnie utrzymuje Scenę Przedszkolną. Kilka ciekawych prób wypracowania bardziej uniwersalnej formuły teatru dla dzieci ma natomiast na swoim koncie „Pinokio", że wspominamy tu kabaretowo-cyrkowe widowisko „Poproście Rzepa, by się nie czepiał".

Teatr Powszechny z powodzeniem wystawił „Historię o sosnowym pieńku", nową wersję starej opowieści o Pinokio. Teatr im. Jaracza dogrywał pozycje wcześniej przygotowane, następnie kolejno wprowadził na afisz „Trzy białe strzały" Makariusa oraz bajkę Janusza Słowikowskiego „Ali Baba i czterdziestu rozbójników" — utwory dla dzieci młodszych znane już ze sceny Teatru Nowego. Teatr Muzyczny cofnął się dla odmiany we własną historię i wznowił po latach „Śpiącą królewnę" z muzyką Stanisława Gersternkorna. Ambitniej począł sobie Teatr Ziemi Łódzkiej i zdecydował się na przeznaczoną dla nieco starszych widzów prapremierę musicalowej adaptacji „Błękitnego zamku" sławnej autorki „Ani z Zielonego Wzgórza", pani L. M. Montgomery. I to byłoby na tyle, tak wygląda skórcony bilans dwóch ostatnich sezonów, a jeżeli nawet coś opuściłem, to raczej nic istotnego.

Może nie okazałem się tedy nazbyt małoduszny, przytaczając stare wypowiedzi dyrektorów łódzkich scen!? Nie warto przecież wciąż i wciąż zastanawiać się bezradnie, czym wypełnić „ziemię niczyją", co zaproponować dzieciom, które wyrastają z bajek jak z krótkich majtek. Stańmy raczej na tym, na czym swego czasu zakończył dyr. Dejmek i **SPRÓBUJMY PO PROSTU ZACZĄĆ.**

Międzynarodowy Dzień Dziecka będzie po temu okazją doprawdy znakomitą!

JERZY PANASEWICZ

MANOWIEC CZYLI HAPPENING

Piotr Wojciechowski (rocznik 1938), geolog, reżyser filmowy, nade wszystko zaś pisarz, opublikował kolejny tom prozy, kontynuujący w zasadzie wcześniejszą jego twórczość, a jednocześnie bardziej zdecydowanie wkraczający w sferę nadrealizmu, w sferę absolutnej identyfikacji marzenia z rzeczywistością, zatarcia przedziałów pomiedzy nimi.

Na tom „Manowiec" składają się dwa opowiadania (może raczej nowele filmowe, albo jeszcze inaczej: sprawozdania z filmowej realizacji dwóch odrębnych, ale utrzymanych w podobnym tonie, scenariuszy): „Manowiec pierwszy, czyli Wielki Wóz" oraz „Manowiec drugi, czyli Kinderbal". Granice rzeczywistości zacierają się w nich, pomysły autora scenariusza mieszają się z pomysłami Wielkiego Reżysera, postaci wymyślone mieszają się z aktorami, którzy się w nie wcielają, narracja zapowiada fabułę, tymczasem narrator czyni wszystko, aby był to utwór afabularny. Słowem — istny happening w prozie.

Dlaczego „manowiec"? Dlatego, że sens tej prozy oddaje najlepiej taka oto piosenka:

Nie jedźcie drogami, tylko manowcami,
hej, siądę na konika, pojadę za wami...

W intencji twórców i protagonistów nadrealizmu miał on być literacką próbą poznania i określenia losu człowieka, narzędziem badającym sens życia we współczesnym świecie. Miał być próbą przezwyciężenia konwencji i nawyków społecznych, dążył do określenia właściwych proporcji między naturą człowieka, a wytworzoną przezeń cywilizacją. Nadrealiści stawiali sobie za cel poznanie i zrozumienie istoty rzeczywistości przez popuszczenie wodzów fantazji, przez swobodne, niczym nie skrępowane skojarzenia, odrzucenie racjonalnej kontroli.

Taki mniej więcej sens nadał Wojciechowski słowu „manowiec". Oznacza ono — najogólniej mówiąc — rewizję konwencjonalnych kategorii rzeczywistości, swobodę groteski, prawo do deformacji. Oznacza odejście od utartych schematów myślenia, banalnych i „zalegalizowanych" wizji świata na rzecz życia „podskórnego", fantazji, obrony doznań indywidualnych.

Jak każda kilkuzdaniowa interpretacja twórczości pisarza, autora kilku powieści i zbioru opowiadań, również i to, co powyżej napisałem, nie jest wolne od uproszczeń. Niemniej jednak taki jest ogólny wydźwięk prozy Piotra Wojciechowskiego, który karmi się (i czytelników, rzecz prosta), stworzonymi przez siebie mitami, gdzie elementy rzeczywistości, tej współczesnej i tej historycznej, tej istniejącej i tej wyimaginowanej, przedziwnemu ulegają przemieszaniu. O mitach owych tak powiada w „Manowcu": „mit, jak każdy mit — okrakiem na barykadzie rzeczywistości, niby jedną nogę mocno oparł na szarej ziemi — mamuśce, ale wiedzieć potrzeba, że drugą nogą dobrze tkwi w strzemieniu tajemnicy". Tak też i proza autora „Czaszki w czaszce" i „Wysokich pokojów" pełna jest tajemniczości, chwilami grozy nawet, zaskakujących i dowcipnych, rozwiązań. Jest po prostu happeningiem — ujmuje w czasie i przestrzeni zdarzenia, fakty i przedmioty niezbyt ze sobą powiązane, nie dające się wyjaśnić według reguł „zwyczajnej rzeczywistości", codziennego życia, praw logiki. Celem happeningu w sztuce (zwłaszcza w sztukach plastycznych) jest zaszokowanie odbiorcy, zelektryzowanie i pobudzenie jego wyobraźni. Zbliżone do tego efekty uzyskuje Wojciechowski w sztuce prozy.

Warunkiem nieodzownym powodzenia książek Piotra Wojciechowskiego jest konieczność większego niż zazwyczaj współudziału czytelniczej wyobraźni. Oto prosty schemat „Manowca pierwszego, czyli Wielkiego Wozu": nie kończące się poszukiwania młodej i pięknej Cyganki Torbity Dorkas. Symbolizować ona może praktycznie każdy ważki cel życiowy... Podobnie „Kinderbal" oparty jest na schematach baśniowych, pełnych nieoczekiwanych spraw i wydarzeń. Wojciechowski flirtuje z wyobraźnią czytelnika, ale jest to flirt uczciwy. Zaświadcza to miedzy innymi wkomponowana w tekst wymiana listów pomiędzy autorem scenariuszy a reżyserem, wymiana listów rodem z zupełnie innego świata niż li kraina baśni.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Piotr Wojciechowski. Manowiec. PIW, Warszawa 1978, nadkład 20.290 egz., s. 156, cena zł 15,—.

W PRZESTRZEŃ TEATRU

Swój wykład o teatrze martwym P. Brook otwiera jedną z możliwych definicji teatru: „Weźmy dowolną pustą przestrzeń i nazwijmy ją „nagą sceną". Niechaj w tej przestrzeni porusza się człowiek, i niechaj obserwuje go inny człowiek. I to już wszystko, czego trzeba, by spełnił się akt teatru". Łatwo zauważyć, że tak zbudowana definacja odnosi się zarówno do teatru jako dziedziny sztuki jak i do życia, możliwego do opisania przy użyciu formuł dramaturgicznych. To ostatnie ujęcie jest zbieżne z praktyką socjologii, gdzie wielu badaczy stosuje terminologię teatralną.

Przekonanie o świecie jako teatrze od dawna obecne jest w świadomości artystycznej, ale i nieobce wiedzy potocznej. Ostatnio coraz częściej mówi się o postępującej teatralizacji życia. Być człowiekiem, to jak powiedział W. Gombrowicz, być aktorem Z. Hübner, autor omawianego tu zbioru szkiców i felietonów tę wypowiedź twórcy „Ferdydurke" cytuje na początku książki. Ale rzecz zaskakująca. Hübner, reżyser i aktor — człowiek teatru — już w tytule swojego zbioru dokonuje gestu wykroczenia poza teatr. Autor dobrowolnie rezygnuje z pragmatycznych zabiegów wobec potencjalnego czytelnika. Tytuł, który zazwyczaj ma przywoływać czytelnika, tutaj ma wyznaczona wręcz przeciwną rolę. Zamiast przywoływać, powinien odstraszać.

W czasach, kiedy panuje rynek „nowości" Hübner obdarza swój tom tytułem: „Przepraszam, nic nowego". Bez znaczenia jest fakt, że czytelnik usłyszy tutaj echo znanego filmu M. Piwowskiego. Ważniejsza od tej powtórki, jest odmowa gry, sztuczności, puszenia się i nieuczciwości. Potrzebę „tłumaczenia się" rozciąga autor na pierwsze partie swojej książki, korzystając z tekstów T. Konwickiego i W. Gombrowicza, które służą jako motto. Ale i to autorowi nie wystarcza, już w pierwszym zdaniu stwierdza, „czuję się w obowiązku usprawiedliwić". U twórcy, który tylokrotnie oddawał swoje dzieła publicznej ocenie ta postawa może dziwić, albo i cokolwiek irytować, lecz może być także oznaką swoistej troski o czytelnika, z którym kontakt nie przebiega na płaszczyźnie teatralnego „twarzą w twarz".

Pisanie traktuje Hübner jako obronę osobowości i zapraszając do udziału w tym czytelnika, ów proces chce uczynić wartościowym dla obu uczestników. Można znaleźć dostatecznie wiele powodów, by przyjąć zaproszenie. Gdybym miał wyliczyć zagadnienia, które w trakcie lektury wydały się ważne, wskazałbym na sprawy, które bezpośrednio wiąża się z teatrem. Byłyby to szkice: „Pisane na scenie", „Żywych obcowanie" „Teatr Narodów", ale także inne zamieszczone w IV, V, VI i VII rozdziale wyboru. To stwierdzenie, zapewne niezbyt odkrywcze w przypadku autora — twórcy przedstawień teatralnych — jest zasadne, jeśli się uwzględni cały zbiór. Zamieszcza bowiem w tomie Hübner teksty, które traktuja o „życiu" jako formie „teatru". Autor świadom, że trudno przy pomocy słowa pisanego coś zmienić w „tearze świata", podejmuje jednak ryzyko i publikuje teksty, które wymagają od czytelnika refleksji o własnym zachowaniu, o problemach moralnych odpowiedzialności. We wszystkich tych felietonach daje się słyszeć pytanie, jak żyć? Trzeba przyznać, że stosunkowo wcześnie dostrzega Hübner rzeczy, które w refleksji krytycznej nad naszym społeczeństwem, zaistniały znacznie później. Tak np. felieton o parasolu z 1963 r. można traktować jako protest wobec rodzącej się postawy konsumpcyjnej wyrażanej przez magiczne słowo „mieć". Na owo pytanie — jak żyć — odpowiada także sztuka, teatr. Jednak nie każdy teatr, nie każda sztuka, stąd też wiele uwag o bliskiej autorowi dziedzinie: o dyscyplinie pracy aktora, twórczej roli reżysera, dziś właściwie animatora ale także o należytym kształcie premiery, a przede wszystkim o zmianach jakie powinny nastąpić w teatrze, by mógł on pełnić swoje funkcje społeczne. Hübner pamięta także o publiczności, nie opuszcza go myśl o kulturalnej i wykształconej grupie odbiorców. Czytelnikowi, bliżej zainteresowanemu sprawami teatru proponuje autor rozważenie kwestii wynikłych na przełomie lat 60—70 w efekcie doświadczeń twórczych tzw. nowego teatru. Z jednej strony, jest to akcentowana mocno przez wiele grup z kręgu nowego teatru sprawa udziału publiczności w widowisku teatralnym. Hübner na przykładach rozważa kwestię granic udziału widza w spektaklu. Stwierdza: „Jedno wydaje się oczywiste: tych zadań, jakie stawia sobie nowy teatr — teatr tradycyjny podjąć nie jest w stanie. Skoro przystępujemy do budowy nowych teatrów, do pisania sztuk, kształcenia aktora, wychowania nowej publiczności, musimy wpierw wiedzieć, jaka ma być w tym nowym teatrze współzależność sceny i widowni".

W drugim szkicu mówi o tzw. pisaniu na scenie i zapisie — utrwaleniu widowiska teatralnego. Hübner jako pierwszy u nas zwrócił uwagę na możliwość utrwalenia widowiska na taśmie video. Było to kilka lat temu, (sam to nawet przeoczyłem), ale od tego czasu sytuacja nie uległa zmianie. Oprócz szkiców i felietonów znajdują się w książce notatki reżysera o sztukach Szekspira, Moliera. Pozwala to spojrzeć czytelnikowi na sposób interpretacji tekstu przez twórcę przedstawienia, „uczy" teatralnego myślenia.

Zmierzając do zakończenia omówienia trzeba zaznaczyć, że wiele refleksji jakie nasuwa lektura pozostało tutaj bez echa. To co powyżej napisano, pozwala jednak stwierdzić, że zbiór szkiców i felietonów teatralnych umyślnie chyba wyciszonych pisanych bez histerii i tanich chwytów — „czyta się" — i to w całości, wbrew zaleceniom autora. Hübner zapewne nie darzy szczególną miłością tego co proponuje nowy teatr. Ale niech padnie hasło z tego kręgu. Reżyser, jako autor książki, proponuje czytelnikowi konwencję teatru ubogiego. Jest to teatr ubogi, w którym pulsuje wielość znaczeń i wezwanie jest szczere.

KAZIMIERZ KOWALEWICZ

Zygmunt Hübner, Przepraszam, nic nowego. Wrocław 1978, s. 225.

TAM, GDZIE NIE WYPADA BYWAĆ

Doświadczenia, jakie przynoszą naszym widzom spotkania z propozycjami polskiego kina, każą ze zdumieniem przyjmować taki film, jak węgierski **„Dom pod czerwoną latarnią"**. Polski filmowiec szuka t e m a t u, szuka go w tzw. dużej literaturze, w historii przez duże H, bądź, co ostatnio coraz częściej się udaje, we współczesności z jej mniej lub bardziej istotnymi dylematami. Polski filmowiec nie lubi błahostek, zabawy, żartu, jest człowiekiem śmiertelnie serio. Z tych też zapewne powodów tak rzadko dane jest nam się śmiać na polskiej komedii, bawić na filmie muzycznym popatrzeć na rzecz niefrasobliwą, zrobioną dla samej uciechy autora i potencjalnych widzów jego filmu. Polscy kinematografiści, jak gdyby zapomnieli o tym, że ludzie chodzą do kina również i po to, by się zabawić, a może przede wszystkim po to. Pojęcie rozrywki jest wprawdzie niezwykle pojemne i nie sposób stosować je tylko do lżejszych wariantów wszelakich muz, jednakże w potocznym jego odczuciu łączy się rozrywkę z pogodną zabawą. Tej by nas zupełnie pozbawiono, gdyby zdać się li tylko na gusta naszych filmowców. Pomoc przychodzi na szczęście z innych kinematografii i dlatego film „Dom pod czerwoną latarnią" grano w kinach naszych długo, przy dużym aplauzie widowni i to tej, o której zwykło się mówić, że trudno ją namówić na czeski, czy węgierski film. Prawda to zresztą, o czym, jako recenzent bezskutecznie reklamujący wiele filmów, wiem bardzo dobrze. Wieść o dobrej rozrywce rozchodzi się jednak zupełnie innymi kanałami i są one znacznie skuteczniejsze, niżeli wszelkie wysiłki recenzenckie. Temat to jednak na inne rozważania, bo rzecz jest złożona. W przypadku dziś nas interesującym pojęcie dobrej rozrywki ma charakter jednoznaczny, choć jej temat jest raczej dwuznaczny.

Tytułowy „Dom pod czerwoną latarnią", to bowiem dom wcale nie prywatny, a zatem... temat liczyć może na szerokie zainteresowanie. W zainteresowaniu tym nie ma nic zdrożnego, a ponieważ zaspokaja się je w stylu tak znakomitym, jak zrobił to reżyser Karoly Makk, zabawa jest przednia. Film jest adaptacją noweli klasyka węgierskiej literatury, Sandora Hunyadyego. W niej to opowiedziano historyjkę z życia domu publicznego, znakomicie prosperującego na początku naszego stulecia w małym miasteczku Kolozsvar. Historyjka jest pikantna i pewnie przed dziesiątkami lat bulwersowała węgierskich czytelników, których Hunyady nie tylko bawił soczystością anegdoty, ale i, jak sądzę, przekonywał, że wszędzie, nawet tam, gdzie brudno i ponuro, można znaleźć choć na chwilę coś czystego i dobrego.

Po latach, w anegdocie tej ostał się znakomity pomysł komediowy, który dla współczesnego twórcy stał się pretekstem do odtworzenia nie tyle osobliwości i realiów domu pod czerwoną latarnią, co stworzenia pewnego modelowego jego wizerunku, z całą legendą, jaka mu towarzyszy. Dom publiczny, jako element kultury — z taką intencją dywagacji wokół tego tematu spotykamy się raczej rzadko. Okazało się, że może być bardzo interesująca nie tylko w sensie rozrywkowym. I, choć brzmi w kontekście tematu zabawnie, aspekt kulturowy jest nieoczekiwaną wartością filmu Karoly Makka. Znając i ceniąc sobie jego twórczość, nie sądzę, że jest ona przypadkowa.

Świadczy o tym sposób potraktowania samej anegdoty, której punktem kulminacyjnym jest wizyta cnotliwej mamy niecnotliwego młodzieńca w domu, który w związku z tym zamienić się musi na kilka godzin w pensję dla dobrze urodzonych panienek. Historyjka ta stwarza okazję do prezentacji wspaniałej i wspaniale granej galerii postaci, zarówno z grona pensjonariuszek z Mutter na czele, jak i ich stałych gości. Komediowa intryga, w którą postacie te są uwikłane, odsłania kulisy określonego stylu życia, który wcale nie stanowił społecznego marginesu. Znakomita obrazowa i plastyczna strona filmu, która jest operatorskim popisem Janosa Totha sprawia, że w całej tej opowieści nie tylko o żart chodzi. Kamera, notująca uroki secesji, która wypełnia ekran, jest kamerą odkrywającą kulturowe sensy takich, a nie innych upodobań tej epoki, jest ich komentatorem. Dlatego też walory estetyczne filmu Makka nie są zbędną nadbudową błahego tematu. I tu pora powrócić do wyjściowych uwag tej recenzji — węgierski autor daje w swym filmie piękną lekcję tego, jak zabawa, pozostając nią, może swą konwencję przekroczyć i tym samym pozyskać widzów o wielce zróżnicowanych gustach.

EWA NURCZYŃSKA

FAŁSZYWY SYN I RACHMANINOW

W niedzielne popołudnie obejrzałem w II programie po raz wtóry film telewizyjny „Starszy brat", zrealizowany na podstawie sztuki Aleksandra Wampiłowa przez Witalija Mielnikowa. I proszę mi wierzyć, nie żałowałem! Miałem po temu wprawdzie motywy także natury prywatnej ale decydujący był czynnik ogólny.

Zacznę od osobistego zwierzenia. Dokładnie trzy lata minęły od mej bytności na Syberii i w Irkucku, mieście, w którym żył i tworzył Aleksander Wampiłow. Jego twórczość dramatopisarska, autentyczna, młoda duchem, bezlitosna w demaskowaniu postaw konformistycznych i filisterskich, fascynowała mnie od pierwszych z nią zetknięć. Gdy znalazłem się w Irkucku, Wampiłow już nie żył. Żywe natomiast były wspomnienia po nim.

Byłem nad Bajkałem w miejscu gdzie 12 sierpnia 1972 roku w wyniku nieszczęśliwego wypadku utonął na dwa dni przed ukończeniem 35 roku życia autor granych w Polsce sztuk: „Zeszłego lata w Czulimsku", „Rozstania w czerwcu", czy „Anegdot prowincjonalnych", syn Buriata i Rosjanki. Złożyłem wiązankę kwiatów na grobie, odwiedziłem jego matkę Anastazję i rozmawiałem z nią w pokoju, w którym Aleksander pisał swoje dramaty. Opowiadali mi o nim także jego przyjaciele, a szczególnie poeta Piotr Reutskij i prozaik Jurij Samsonow z irkuckiego oddziału Związku Pisarzy ZSRR. Obraz Wampiłowa, jaki utrwalił się w mojej wyobraźni, towarzyszył mi podczas odbioru filmu „Starszy brat".

W poprzednim felietonie omawiałem film Zanussiego i Żebrowskiego „Miłosierdzie płatne z góry", wykonany dla telewizji RFN. Zgłaszałem pewne swoje niedosyty, podkreślając równocześnie perfekcję realizacyjną i aktorstwo wysokiej próby. Autorzy filmu stworzyli bardzo pomysłową sytuację, służącą przeprowadzeniu swoistej wiwisekcji na psychice ludzkiej. W samym zamierzeniu i jego przeprowadzeniu zawarta była pewna chłodna kalkulacja i obserwacja niemal przyrodnicza, typowa zresztą dla Zanussiego.

Jakiż odmienny jest film Mielnikowa! Jak innymi środkami wyrazowymi poszerza naszą wiedzę o człowieku! Nie chcę tu wartościować, przyznawać jednemu z filmów pierwszeństwa. Po prostu są **i n n e**. „Starszy brat" to opowieść o sprawach zwyczajnych, codziennych. I ludzie w niej zwyczajni, tacy co to potkniesz się o nich i jeszcze nie zwrócisz uwagi. A przecież...

Wampiłow — autor i Mielnikow — reżyser wykazują w sposób naturalny, jakby mimochodem, jak wielkie ukryte rezerwy uczuć tkwią w każdym z nas. Chodzimy z tym wewnętrznym bagażem po świecie, nie zdając sobie nieraz sprawy z jego istnienia. Bywamy szorstcy, zgorzkniali, nieprzystępni. A wystarczy przypadek, by odsłonić spod zewnętrznej gruzłowatej pokrywy lśniący kruszec.

Mówię o zasłudze reżysera i autora, ale nie mogę przecież pominąć aktora, Jewgienija Leonowa, który w roli kiepskiego klezmera i nieudacznika Sarafanowa tworzy małe arcydzieło. Nie ucieka się przy tym do żadnych wymyślnych środków wyrazu, oszczędnie korzysta z arsenału aktorskich chwytów i gagów. Siła jego ekspresji tkwi w prostocie i umiejętności oddania autentycznego ludzkiego przeżycia.

Film Mielnikowa jest od początku do końca mało efektowny, pozbawiony poważniejszych zdarzeń, zanużony w banał codzienności. Mimo to udaje się jego twórcom (jednak liczba mnoga tu konieczna!) zajrzeć bardzo głęboko w duszę ludzką, wykazać, że i w małych sprawach tkwić mogą wielkie dramaty, a przynajmniej zadatek na nie. Dwaj młodzi ludzie, łobuziaki i lekkoduchy, trochę z przypadku a trochę dla zabawy wtargnęli w niecekawe życie pewnej małej rodziny w pewnym małym miasteczku. Na wstępie jest więc zagranie nie swojej roli, mistyfikacja, która w zadziwiająco łatwy sposób „chwyciła".

Młody człowiek, który wziął na siebie rolę nieślubnego syna Sarafanowa, nie spostrzega nawet momentu, w którym życie rodziny, do której wśliznął się podstępnie, wciąga go i z aranżera „ubawu" czyni zaangażowanego współuczestnika spraw i wydarzeń. Stary Sarafanow, ojciec dwojga dzieci, z naglą radością wita pojawienie się rzekomego najstarszego syna. Niemal bez przygotowania obdarza go właśnie ową drzemiącą w nim głęboko, istniejącą jakby w stanie potencjalnym miłością.

Ale i w rzekomym synu budzą się niespodziewanie ciepłe, serdeczne uczucia. Widać, że najprostsze niekłamane uczucia są jak wirusy, przenoszą się z osobnika na osobnika, grożąc zarażeniem tą najpiękniejsza infekcja, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Dla mnie film ten był pouczający podwójnie: w swej treści i w kształcie artystycznym. Niewymyślność, a jednocześnie mądrość wypowiadanych przez niego prawd znalazła najbardziej adekwatną formę. Niech mi ktoś powie, że zwykły, tradycyjny realizm jest formą przeżytą! Że przestał być artystycznie nośny! „Starszy brat", którego skromność, jakby symbolicznie splecona jest z bogatą piękną muzyką Rachmaninowa, świadczy o czymś przeciwnym.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

ścisłych doświadczeń naukowych należy tworzyć w zakładach doświadczalnych wzorce albo modele w skali 1:1. To znaczy, że każdy temat trzeba rozwiązywać od „a" do „z". Jak na tapecie jest np. cebula, nie wystarczy cieszyć się z plonów na grządce o powierzchni kilku metrów. Trzeba sprawdzić jak uprawa wychodzi na dużej plantacji, jak się sprząta z pola, w jakich warunkach najlepiej się przechowuje itd. Tylko wdrażanie produkcji na szeroką skalę pozwala skopiować ją bez ryzyka na dużych plantacjach i w dużych gospodarstwach. Liczy się zaangażowanie zespołu naukowców, wykorzystanie własnych doświadczeń i zakup metod produkcji za granicą.

Wobec zaznaczającego się na rynku braku pieczarek, instytut od 10 lat zajmował się intensywnie badaniami nad produkcją tych grzybów. Aby wzmóc efekty i wydajność uprawy do maksimum oparto się na własnych osiągnięciach i sięgnięto po pomoc do Francji. Po dokładnym przeanalizowaniu wszystkich aspektów przedsięwzięcia i stwierdzeniu, czy to się rzeczywiście opłaci — bo koszt inwestycji sięgał 350 milionów, 6 września 1977 roku położono „kamień piekielny", jak mówi dyr. Szudyga, i po 12 miesiącach fabryka pieczarek zaczęła dawać pierwszą produkcję.

— **Nasz zakład** — mówi Szudyga — **miał i ma zadanie rozpowszechnienia nowych metod hodowli pieczarek w sektorze indywidualnym. Dotąd prowadzono uprawę sposobem chałupniczym, nawet w przedsiębiorstwach państwowych. Duży zakład jest absolutną nowością.**

— Czy zasługuje na miano fabryki?

— **170 osób, które zatrudniamy, obowiązuje tak ścisły harmonogram pracy jak w przemyśle, chociaż sieje się i zbiera plony jak w rolnictwie. Ale sieje się, „orze" i zbiera plony przez okrągły rok.**

— Od czego się zaczyna?

— **Od nawozu, czyli podłoża...**

— Pieczarki hoduje się na nawozie końskim. Koni mamy mało, są kłopoty ze zdobyciem tego nawozu.

Krystian Szudyga patrzy na mnie z zaciekawieniem, w jego ciemnobrązowych, inteligentnych oczach pojawiają się wesołe, przekorne błyski.

— **To już historia, proszę pana! Myśmy ten problem usunęli, bo nasz nawóz to mieszanka słomy, nawozu kurzego i gipsu budowlanego.**

— „Kurzak" może spalić grzybnię, a gips utwardzić podłoże...

— **Ale słoma jest słaba i wszystko się równoważy! A gipsu daje się tylko 60 kg na tonę słomy, z tego wychodzą 3 tony podłoża.**

Poszedłem obejrzeć, jak to się robi. Najpierw przemierzyliśmy halę, w której mocno czymś zajeżdżało. To było pomieszczenie, w którym dezynfekowało się chemicznie drewno. Z drewna buduje się skrzynie, które ustawia się piętrowo, w pięciu poziomach, w komorach pasteryzacyjnych i inkubacyjnych. W tych skrzyniach rosną potem grzyby.

W następnej, największej hali zakładu, zapach był o wiele ostrzejszy. W basenie leżała słoma. Pocietą moczy się wodą i miesza z „kurzakiem" i gipsem. Do mieszania podłoża służy specjalny kombajn. Podłoże leżąc przez 12 dni na pryzmie ulega fermentacji.

— **Potem** — mówi dyrektor Szudyga — **nawóz wymieszany z grzybnią, którą otrzymujemy z Francji, podaje się specjalną maszyną do komory pasteryzacyjnej. Po 7 dniach pasteryzacji następuje 12 dni inkubacji, czyli rozrostu grzybni. Przez 3 tygodnie trwa tworzenie owocników, potem przez 6 tygodni pieczarka plonuje.**

— Ile można zebrać dziennie?

— **Szczerze mówiąc, to zbiór rozpoczęliśmy już od 28 sierpnia. Z początku było tego niewiele, ale już pod koniec listopada będą 3 tony dziennie, zaś produkcja docelowa wyniesie 5 ton dziennie.**

Przeliczenie wartości produkcji dziennej w złotówkach lub dolarach pozostawiam Czytelnikom.

FABRYKA W 12 MIESIĘCY

Z powstaniem nowego zakładu wiąże się kilka ważnych spraw.

Co tydzień likwiduje się dwie komory inkubacyjne i zakłada dwie nowe.

Co tydzień zużywa się na ten cel 70 ton słomy.

Ale jednocześnie dzięki nowej metodzie nie zabrano drobnym plantatorom nawozu końskiego, z którego oni i tak zapewne rychło zrezygnują, bo łatwiej pojechać po „kurzak" do pobliskiej brojlerni niż tłuc się po Polsce i wyszukiwać nieliczne stadniny końskie.

Druga sprawa dotyczy problemu zatrudnienia kobiet z dala od ośrodków miejskich. Zwłaszcza tych kobiet, które z konieczności muszą opiekować się dziećmi. Otóż gdyby zaczęły powstawać tego typu zakłady, kobiety mogłyby tam znaleźć zatrudnienie. W fabryce pieczarek bowiem produkcja jest zmechanizowana, prócz zbioru, który ze względu na jakość pieczarek musi odbywać się ręcznie. Musi być do tego specjalna stała brygada, ale dyrektor Szudyga chętnie zatrudnia kobiety na kilka godzin. Po prostu płaci się od kilograma.

Tylko, że z jednej strony fabryka, a układ zbiorowy obowiązujący w rolnictwie...

Trzecia sprawa to niebywały rekord inwestycyjny. Prace budowlane rozpoczęto 6 września ubiegłego roku, a pierwszy zbiór pieczarek rozpoczął się w sierpniu tego roku.

Fabryka powstała w niecałe 12 miesięcy!

Dyrektor Szudyga był już w czerwcu przy wytyczaniu działki pod inwestycję. Potem był już codziennie. Doglądał, zachęcał, osobiście „latał" za potrzebnymi materiałami i częściami.

Fabryka grzybów

Foto: W. Parys

Popędzać nie musiał, chociaż nie bez celu powiedział na początku rozmowy o położeniu kamienia „piekielnego".

— **Projektowało Biuro Projektowe Budownictwa Wiejskiego z Poznania, budowali ludzie z Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego we Włocławku. Robili to w takim tempie, że zadziwili pomagających nam Francuzów z firm Sodeteg i Somycel. A bez przerwy lało i ludzie dwa razy dziennie zmieniali ubrania. Porobiły się stawy, żaby będzie się hodować nie pieczarki. Zimą zamarzło wszystko do 1 m. Rozgrzewaliśmy, koparki nie brały, pękały łańcuchy...**

W niezwykłych okolicznościach oddano do użytku w ciągu trzech dni 40-tonową wagę wozową. Do montażu przylecieli samolotem fachowcy z Koszalina. Stwierdzili, że fundamenty postawione są... odwrotnie i poszli na kolację. Grupa „szturmowa" rozbiła fundamenty i w nocy postawiła nowe, dodając do cementu specjalny komponent. Rano przyszli fachowcy, zaczęli jeździć gwoździem po betonie, był twardy, jak cholera, i zmontowali wagę...

— **Stworzyłem brygadę pod wodzą głównego mechanika, inż. Kazimierza Zmyślińskiego, który jest czymś więcej niż popularna „złota raczka". Dostali mieszkania 200 m od zakładu, przyjdą na alarm także w nocy. To jest autentyczna brygada serwisowa. U nas awarię usuwa się w ciągu kilku godzin, w innym zakładzie postój trwałby miesiąc. Sam „stoję na światłach" i ruszam po potrzebną część do Warszawy albo Bydgoszczy...**

Teraz dyr. Szudyga ma dodatkowy kłopot, który niebawem może przynieść wiele korzyści. Otóż ze względu na obowiązujące normy odcina się pewną część korzeni pieczarek i w ten sposób powstaje około 12 proc. odpadów, które wraz z podłożem stanowią znakomitą, zawierającą 40 proc. białka paszę.

— **Trzeba będzie postawić chlewiki i hodować wieprzki. Tak, tak, proszę pana, możemy mieć gotową wieprzowinę z pieczarkami...**

Wyliczono, że pieczarkarnia powinna się spłacić w ciągu 4 lat, ale może to nastąpić szybciej...

PIECZARKI

Po odpowiednie wzory sięgnięto do Francji nieprzypadkowo. Kraj ten jest ojczyzną pieczarki, która uprawia się tam już od 200 lat. Z tym, że w pierwszym okresie prowadzono uprawy na zagonach w sposób prymitywny, bez pasteryzacji, i osiągano 5 kg z 1 m kw. Dzisiaj w nowoczesnych zakładach francuskich zbiera się 120 kg z 1 m kw. rocznie.

W Polsce pieczarka znalazła się na stołach w XIX wieku. Musiało być jej jednak bardzo mało, tylko dla smakoszów „wysoko urodzonych", skoro jeszcze w 1939 roku produkcja nie przekraczała 100 ton.

Po wyzwoleniu zaczęto sprowadzać grzybnię z Czechosłowacji i Węgier, ale produkowano zaledwie 50 ton pieczarek rocznie. I długo jeszcze stalibyśmy w miejscu, gdyby nie uruchomiono własnej wytwórni grzybni. Kiedy to się stało, sprawa ruszyła naprzód, a jej motorem i propagatorem był dr **Tadeusz Bukowski**, autor pierwszej książki o uprawie pieczarek. Dzięki jego osobistemu zaangażowaniu i pracy kilku zapalonych plantatorów oraz pomocy państwa, w roku 1965 produkowano już 1.700 ton.

Aktualnie roczna produkcja pieczarek na świecie przekracza 400.000 ton.

Co decyduje o szybkim wzroście uprawy tego grzyba?

Otóż pieczarka (Agaricus bisporus), oprócz niewątpliwych walorów smakowych, zawiera wiele cennych dla organizmu ludzkiego substancji, m.in. cukry, witaminy, forsfor, wapń potas i żelazo. Wartość kaloryczna 100 g świeżych owocników wynosi 45 Kcal, a więc jest to produkt nieskokaloryodpowiadający współczesnej dietetyce.

Ale jeszcze nie to jest najistotniejsze.

Świat stoi przed problemem pełnego zaspokojenia potrzeb na białko.

Pieczarka zawiera 75 proc. strawnego białka. Rocznie z 1 m kw. można uzyskać 3.000 g białka.

Tymczasem, mimo wciąż rosnącego spożycia, na jednego mieszkańca przypada u nas zaledwie 220 g tych grzybów, podczas gdy na Zachodzie spożycie wynosi ponad 1.000 g, a w RFN aż 3.000 g.

Dlatego też Ministerstwo Rolnictwa w opracowanym przez siebie programie rozwoju pieczarkarstwa założyło poważne zwiększenie uprawy pieczarek. Rozpoczęcie kontraktacji i skupu przez spółdzielnie ogrodnicze oraz eksport pieczarek znacznie przyczyniły się do wzrostu zainteresowania uprawą tych cennych grzybów. Zarządzenie nr 298 ministra rolnictwa z dnia 5 lipca 1973 przekreśliło raz na zawsze pytanie, kim jest człowiek uprawiający pieczarki: do rejestru zawodów wprowadzono wreszcie zawód „wykwalifikowany ogrodnik pieczarkarz" oraz „mistrz ogrodnik pieczarkarz".

Powstały nowoczesne obiekty, z których pierwszym w Polsce była pieczarkarnia M. Paetza w Swarzędzu koło Poznania.

Olbrzymia, nowoczesna **pieczarkarnia w Skierniewicach** jest prekursorem nowego etapu w rozwoju pieczarstwa. A jej dyrektor, mgr Krystian Szudyga, jest także autorem książki o pieczarkach, której dwa kolejne wydania również przyczyniły się do wzrostu zainteresowania pieczarkarstwem.

W roku 1973 krajowa produkcja stanowiła 5.000 ton, obecnie — 15.000 ton. „Fabryka grzybów" w Skierniewicach da rocznie 1.500 ton czyli aż 10 proc. tego, co wyprodukuje się w całej Polsce.

Wobec rosnącego zapotrzebowania na białko znaczenie jej jest więc ogromne.

RYSZARD BINKOWSKI

„PROFIL" EN FACE

Oborniki Śląskie leżą w pobliżu Wrocławia przygniecione sąsiedztwem metropolii, która uczyniła z niewielkiej, położonej wśród lasów miejscowości swoją ekskluzywną sypialnię: buduje się, kto może, jedna przy drugiej wyrastają nowe wille skryte w cieniu bujnej zieleni. Miarą własnych ambicji miasteczka jest niewielki zakład wyrobów cukierniczych i parę tartaków. No, i okoliczne pegeery, które tej letniskowej miejscowości, z domkami kempingowymi i basenem, przydają rolniczego piętna. Są bowiem Oborniki siedzibą urzędu gminnego i mimo drugiej połowy września trwały w nim całodobowe dyżury: opóźnione żniwa wymagały pełnej mobilizacji.

Wyglądało więc na to, że **III Obornickie Spotkania Filmowo-Literackie** odbywać się będą w cieniu tej walki toczonej z niesprzyjającą aurą na polach. Ale w dniu poprzedzającym rozpoczęcie projekcji naczelnik miasta mgr inż. **Mieczysław Piekarski** mógł zameldować wojewodzie wrocławskiemu o zakończeniu żniw w gminie. Toteż odetchnięto także w **Obornickim Ośrodku Kultury**, który wziął na siebie ciężar organizacyjny spotkań. Tych organizatorów było zresztą znacznie więcej, bo imprezy kulturalne stają się coraz bardziej kosztowne i jedna kieszeń nie zniosłaby tak poważnego wysiłku finansowego.

Schludny skwerek w pobliżu urzędu gminnego zapełnił się ludźmi. To rozbił swoje kramy miejscowy **Dom Książki** ratując honor placówki wojewódzkiej, która nie dotrzymała słowa i nie przysłała w porę literatury mającej nadać imprezie filmowej także literacki charakter. Ludzi pióra zresztą nie zabrakło, głównie ze względu na uczestnictwo pracowników nauki, którzy na marginesie swych badań uprawiają twórczość popularno-naukową. Spośród literatów czystej wody zwracał na siebie uwagę niespożyty **Włodzimierz Sokorski**, któremu zresztą przypadł w udziale zaszczyt zainaugurowania sesji filmoznawczej pod patronatem Instytutu Filologii Polskiej we Wrocławiu.

Ale najważniejszy element Obornickich Spotkań stanowią projekcje filmowe w różnych środowiskach. One dopiero sprawiają, że nie jest to zabawa w gronie profesjonalistów, którzy zgłaszają swoje pretensje i wylewają żale, tylko szeroka konfrontacja sztuki filmowej z wrażliwą i krytyczną widownią. Początek nie jest zresztą budujący: wyciągają mnie z sesji i proponują wyjazd do Osoli, gdzie ma być prezentowany film Waldemara Podgórskiego „Pójdziesz ponad sadem". Reżyser na sesję nie przybył, a publiczność rada by wiedzieć coś i o samym twórcy i zrealizowanym przez niego temacie. Na miejscu okazuje się, że widownię stanowią dzieci, dla których odpowiedniejsza byłaby w tej chwili dobranocka w telewizji niż film o procesie społecznego dojrzewania. Z wyjątkiem ajentki, która sprzedaje oranżadę i herbatniki, żadnego dorosłego na sali się nie uświadczy.

Dla pisarza, który przyzwyczaił się, że tak zwane spotkania autorskie w terenie są często fikcją, która służy poprawieniu sprawozdań, ta przygoda filmu „Pójdziesz ponad sadem" służy także bardziej optymistycznej refleksji. Okazuje się, że w warunkach rozwiniętej cywilizacji nie przyciąga już ludzi sama magia filmu, że nawet wszechwładna taśma celuloidowa wymaga zareklamowania, przybliżenia; że mówiąc krótko ważna jest nie technika, tylko treści, które chcemy donieść do ludzi przy jej pomocy.

I o te treści codziennie toczył się spór: w sali widowiskowej Obornickiego Ośrodka Kultury, w kinie „Astra", w wioskach i miasteczkach sąsiednich gmin: Wołowa, Trzebnicy, Brzegu Dolnego. Że spotkania nie będą przebiegać w atmosferze letniej świadczyła o tym dyskusja po projekcji filmu **Janusza Kidawy** „Pejzaż horyzontalny". Sala podzieliła się na dwa obozy: gorliwych obrońców filmu, i tych, którzy go zwalczali jako wypowiedź chybioną, nieprawdziwą. Najbardziej z tego obrotu sprawy zadowolony był sam twórca, który dzięki tym żarliwym polemikom na sali nie musiał już zabierać głosu.

Tegoroczne Spotkania Obornickie zostały zdominowane przez łódzki zespół **„Profil"**, który przedstawił tu swój ponad trzyletni dorobek. Ściślej dorobek swoich autorów, gdyż obok bieżącej produkcji zaprezentowane zostały filmy nakręcone w innych zespołach poczynając od głośnego „Hubala" Poręby. Z nowości obornicka publiczność mogła zobaczyć jeszcze ciepłe po gdańskim festiwalu „Antyki" **Krzysztofa Wojciechowskiego**, „Pogrzeb świerszcza" **Wojciecha Fiwka**, „Płomienie" **Ryszarda Czekały**. Ten zestaw uzupełniał „Latarnik" **Zygmunta Skonieczego**, „Tańczący jastrząb" **Grzegorza Królikiewicza**, „Gdzie woda czysta i trawa zielona" **Bohdana Poręby** oraz „Wesela nie będzie" **Waldemara Podgórskiego**. Był więc to w pewnym sensie przegląd retrospektywny, ukazujący „Profil" z różnych stron. Bohdan Poręba, który przewodzi „Profilowi" nie ukrywał swego zadowolenia, choć radość z tej konfrontacji psuł trochę fakt, że dokonywała się ona na odległość, a bezpośrednio przeciwników nie było.

Dyrektor Bartyś administrujący zespołem sanatoriów dokonywał cudów gościnności, byle pobyt nie dłużył się zbytnio. Tymczasem dni biegły od projekcji do projekcji, często w terenie, na nie najlepszej aparaturze. Wraz z Wojciechem Fiwkiem odwiedziliśmy Wołów, miasto rodziny Hermaszewskiego, prezentując przed tamtejszą publicznością „Pogrzeb świerszcza", film będący przed premierą. Tym więc ciekawsza dla jego twórców musiała być konfrontacja z odczuciami widza. Z takich spotkań nie wynosi się zazwyczaj nic ponad tak zwane ogólne wrażenie, a to okazało się nie najgorsze. Film przyjmowany był żywo i ciepło. Przy okazji można się było raz jeszcze przekonać jak wdzięczną i niezawodną widownią jest młodzież. Można by nawet powiedzieć: tacy młodzi, a dyskutowali jak starzy. Bo rzeczywiście: na młodzież można liczyć. Nie zawiodła także w Mojęcicach, w pegeerowskiej świetlicy, gdzie nastąpiła kolejna prezentacja filmu.

Jeśli publiczność chce coś wiedzieć o twórcach filmu, to równie zainteresowany w poznaniu swego widza jest także twórca. Wymiana poglądów na żywo służy autentycznemu zbliżeniu ludzi, toteż ucieszyliśmy się z zaproszenia na dożynki do Krzydliny Wielkiej. Wiosce tej przypadł honor reprezentowania przed naczelnikiem inżynierem **Zygmuntem Kuliniakiem** całej wołowskiej gminy. Okazało się, że ludziom nie brak tu fantazji, serdeczności i specyficznie polskiego poczucia humoru. W barwnych przyśpiewkach nakreślili potrzeby swojej wsi i zyskali zapewnienie naczelnika, że ich postulaty zostaną w najbliższym czasie spełnione. Naczelnik zdawał się dobrze rozumieć potrzeby gromady: jeden z jego synów, z wykształcenia technik, osiadł w pobliskiej wsi. Inny, starszy, już od dawna związał się z wsią. W tym powrocie na ziemię, szukania na wsi swojej szansy jest coś, co burzy dobre samopoczucie publicystyki upatrującej awansu tylko w mieście, w przemyśle. Temat, który czeka na film. Na wielki, epicki film czeka też problem zrośnięcia z macierzą Ziem Odzyskanych, potraktowany już nie komediowo, jak w „Samych swoich", ale patetycznie i serio, na miarę wielkiego procesu zjednoczenia, jaki dokonał się w ciągu jednego pokolenia. To jest siłą narzucająca się refleksja, którą przywozi się z takiego rekonesansu.

Innego typu refleksje budziła sesja filmologiczna, która, jak się można domyślić z programu, miała na celu wykazanie związków między literaturą i filmem, choć nie brak było i ambicji większych. Tak na przykład docent **Józef Kossecki** próbował zlokalizować sztukę nowoczesną w pejzażu kultury narodowej, a docent **Bożena Krzywobłocka** wypowiadała się na temat funkcji współczesnego filmu. Zwrócił na siebie uwagę wygłoszony wspaniałym językiem referat profesora **Jana Trzynadlowskiego** z Uniwersytetu Wrocławskiego na temat: „Batalistyka w estetyce filmu, literatury i sztuki". O związkach między filmem a powieścią science-fiction mówiła **Agnieszka Nieracka-Ćwikiel** z Uniwersytetu Śląskiego. Sporo miejsca zajął problem adaptacji filmowych. Temat ten podjęła docent **Alicja Helman** omawiając modele adaptacji oraz Piotr Lis, który zajął się „Brzeziną" Wajdy-Iwaszkiewicza. Jeśli coś budziło niepokój, to język, którym zaczyna się mówić o filmie, język tak hermetyczny, tak techniczny, że staje się zimnym narzędziem bez blasku. Praktyki językoznawców szerzą się więc już w tak młodej dziedzinie jaką jest filmoznawstwo, przykład okazał się szalenie zaraźliwy. Wystarczy zacytować, że referat Lisa nosił tytuł: „Intersemiotyczny przekład i autonomia dzieła filmowego — „Brzezina" Andrzeja Wajdy".

Wracając do projekcji: zadowolony był nie tylko Bohdan Poręba jako kierownik artystyczny zespołu „Profil". Zadowoleni byli także gospodarze podkreślając na każdym kroku, że dzięki przyjęciu zaproszenia przez zespół łódzki ich Spotkania zyskały na znaczeniu, że taki monograficzny przegląd dorobku różnych polskich zespołów daje możliwość pełniejszego zorientowania się w twórczych niepokojach realizatorów. A od tych niepokojów zależeć będzie jutro polskiego filmu. Okazało się, że większość filmów „Profilu" dotyczy problematyki współczesnej. Zagadnienia przeszłości, mające wszakże związek z teraźniejszością zaprezentowane były tylko w telewizyjnym „Latarniku" i w „Romansie Teresy Hennert" Ignacego Gogolewskiego. I to chyba nie przypadek, że „Profil" tak mocno preferuje tematykę współczesną. Jest to jego siłą, ale stanowi także pewne niebezpieczeństwo, bowiem stawiając na współczesność trzeba rezygnować z adaptacji sprawdzanych w historii literatury arcydzieł prozy, którymi tak chętnie karmi się sztuka filmowa. Można bez przesady powiedzieć, że w zaprezentowanym dorobku „Profil" ustawia się en face do współczesności. Czy jednak będzie to tendencja, która się utrzyma dłużej, okaże się już choćby podczas następnych, czwartych z kolei Obornickich Spotkań Filmowych i Literackich. Choć bowiem gospodarze chcą zaprosić na nie tym razem inny zespół, odgrażają się, że kontaktu z łódzkim zespołem nie zerwą. Można domyślać się, że w ten sposób na następnych Spotkaniach „Profil" zyska konkurenta, ale palmy pierwszeństwa nie odda bez walki. Można także przypuszczać, że nie będzie stał na z góry przegranej pozycji.

KONRAD FREJDLICH

U PRZYJACIÓŁ

Popularny w ZSRR poeta i krytyk literacki Siergiej Naroczatow wiele miejsca w swej twórczości poświęcił również naszemu krajowi. Uczestnik Wielkiej Wojny Narodowej walczył także na ziemiach polskich.

Odpowiadając na ankietę gazety „Wieczerniaja Moskwa" Naroczatow tak charakteryzuje swe „twórcze laboratorium":

Dlaczego piszę wiersze? Z tych samych powodów, dla których jem, piję i śpię... Jest to potrzeba, a nie obowiązek. Pojawiła się ona we mnie w dzieciństwie, rozwijała się wraz z młodością, stała się nieodzowną koniecznością w wieku dojrzałym. Z czego rodzi się taka potrzeba? Zapewne z intuicyjnego dążenia do poznania otaczającego nas świata a także i siebie samego.

Tylko, że proces poznawania świata jest sprawą bardzo osobistą i intymną, natomiast wiersze twoje czytają setki, a może tysiące ludzi. Niezależnie od twojej woli każdy wiersz przestaje być w pewnym momencie cząstką siebie samego, zaczyna żyć własnym życiem i ten właśnie fakt zmusza do określenia swojej pozycji społeczno-literackiej.

Pokolenie poetów, do których należę, dojrzewało w latach wojny i — bez możliwości wyboru — musiało zająć pozycję bojową. Wiersze, które wówczas pisałem, były rezultatem analizy własnej i tych wydarzeń, które składały się niejako na moją biografię. A były to wydarzenia ogromnej wagi, związanej ze mną tak integralnie, że bez nich nie do pomyślenia były moje wiersze. Od tamtych lat minął szmat czasu, ale wartości, przyswojone wówczas rozwijały się i umacniały. Stanowią one dla mnie i dziś cenny drogowskaz i nigdy nie będę uważał czterech ścian mego pokoju za cztery strony świata, w przeciwnym razie moja młodość zastuka w okno i przypomni o innych obszarach.

Tematyka moich wierszy nie ogranicza się, oczywiście, do czasów wojny, ale myśli i uczucia, zasady moralne i społeczne, przyswojone wówczas, są i dziś wyznacznikiem mojej świadomości. Jest rzeczą naturalną, że z wiekiem następuje zanik znacznej części emocji, w zamian za to poeta zyskuje możliwość szerokiego spojrzenia na przyszłość i porównania jej z dniem nadchodzącym. Dystans czasu pozwala na bardziej pogłębioną ocenę minionych wydarzeń, na ich syntezę. Dobitnym tego przykładem jest w światowej literaturze „Wojna i pokój" stworzona niemal pół wieku po wypadkach wojny narodowej w 1812 roku.

POLONICA KULTURALNE

Dużym sukcesem zakończyły się występy Ewy Demarczyk w Leningradzie. Recenzent gazety „Smiena" nazwał twórczość naszej artystki teatrem pełnym prawdziwej poezji.

* * *

W stolicy NRD trwa XX Berliński Festiwal Teatru i Muzyki. Kulturę polską reprezentują tam występy Teatru Muzycznego z Gdyni z musicalem „Szwejk", duetu fortepianowego „Marek i Waecek" oraz wystawa scenografii.

* * *

Wśród odnalezionych na poddaszu w Thoiry, 40 km od Paryża, dokumentów dużej wartości historycznej, znajdują się dwa rękopisy walców Chopina, błędnie odtworzonych kiedyś z pamięci przez jednego z uczniów kompozytora.

* * *

Teresa Żylis-Gara wystąpiła w przedstawieniu wagnerowskiego „Tannheusera", którym nowojorska Metropolitan Opera rozpoczęła nowy sezon. Występ polskiej śpiewaczki spotkał się z wysoką oceną publiczności i krytyki.

* * *

Krystian Zimerman występował niedawno przed publicznością japońską. Jego dwa recitale spotkały się z gorącym przyjęciem. Artysta udzielił także wywiadu prasie japońskiej przedrukowanego w wielu gazetach.

* * *

Staraniem Meksykańskiego Stowarzyszenia Muzyki Nowej niedawno w Meksyku odbył się koncert współczesnej muzyki polskiej. Na program złożyły się utwory Mieczysława Makowskiego, Bogusława Schaeffera i Andrzeja Nikodemowicza.

* * *

W RFN wydano staraniem Suhrkamp Verlag tomik wierszy Juliana Przybosia zatytułowany „Werkzeug aus Licht — Poesie und Poetik". Wybór i tłumaczenie Karla Dedeciusa. W recenzjach podkreśla się, że Julian Przyboś zalicza się do grona najwybitniejszych polskich poetów, jednakże dotychczas jest mało znany w RFN.

Już od przeszło 90 lat naród Namibii pozostaje pod kolonialnym uciskiem. Wieloletnia walka zbrojna narodu tego kraju o niepodległość, kierowana przez Narodową Organizację Południowo-Zachodniej Afryki (South-West Africa Peoples Organisation of Namibia) — SWAPO, zmusiła rasistów z RPA oraz ich zachodnich sojuszników do poszukiwania okrężnej drogi dla zachowania ich politycznych i ekonomicznych pozycji w Namibii. Miały temu służyć rozmowy dotyczące przyszłości tego kraju.

NAMIBIA

NIEUSTANNY WZROST WPŁYWÓW SWAPO

Tymczasem, grając na zwłokę pod przeróżnymi pretekstami, władze RPA podejmują określone kroki polityczne i wojskowe, żeby narzucić narodowi Namibii reżim marionetkowy, posłuszny woli rządu z Pretorii. Ostatnio rząd RPA podjął decyzję o przeprowadzeniu w Namibii, w dniach 20—24 listopada br. „ogólnych wyborów", które, zgodnie z zamysłem RPA, powinny się stać punktem wyjścia do jednostronnego ogłoszenia fikcyjnej niepodległości Namibii. Przypomnijmy, iż na terytorium tego kraju stacjonuje dziś ok. 50 tysięcy południowoafrykańskich żołnierzy i oficerów, jak również tysiące żołnierzy należących do, rozgromionych swego czasu, rozbijackich ugrupowań UNITA-FNLA, działających przeciwko rządowi Ludowej Republiki Angoli. Republika Południowej Afryki używa oddziały UNITA-FNLA do akcji militarnych przeciwko siłom zbrojnym SWAPO, głównie w rejonach granicznych, między Namibią a Angolą.

Mocarstwa zachodnie, informując o swym dążeniu do jak najszybszego rozwiązania problemu Namibii „drogą dyplomatyczną", próbują jednocześnie ukryć powody jakimi się kierują realizując to „przedsięwzięcie". Cele te jednak stają się jasne, jeśli przypomnieć, iż nie chodzi tutaj tylko o koncepcję polityczne opracowane przez kolonialny reżim południowoafrykański, lecz także o konkretne kroki zabezpieczające takie drogi rozwoju tego bajecznie bogatego kraju, które by zagwarantowały w pełni i całkowicie interesy mocarstw zachodnich w Południowej Afryce. Właśnie! Namibia jest bowiem jednym z najbogatszych krajów świata, jeśli chodzi o jej zasoby naturalne i — poza okupacją RPA — jest także eksploatowana i wyzyskiwana przez zagraniczne kapitały i monopole Anglii, RFN, Kanady, RPA i innych pomniejszych krajów Zachodu.

26 czerwca br. prasa światowa poinformowała o rejestracji ludności Namibii w celu sporządzenia list wyborczych. Jest to ostatnie posunięcie z rzędu tych, które — poczynając od 1 września ub. roku — wykonuje narzucony Namibii „główny administrator" z Pretorii — Martinus Stein. Celem tych działań jest urzeczywistnienie, niezależnie od wyników manewru mocarstw zachodnich, tzw. Planu Pretorii, który przewiduje „niepodległość" Namibii w terminie do 31 grudnia tego roku. RPA już od dawna dąży do stworzenia w Namibii na wpół autonomicznych bantustanów (rezerwatów — red.) na czele z wodzami plemiennymi, całkowicie uzależnionymi ekonomicznie od Pretorii i posłusznymi woli reżimu. Jednakże w miarę zwiększania się nacisku opinii międzynarodowej, wzrostu wpływów SWAPO, uznanej przez ONZ za pełnoprawnego przedstawiciela narodu Namibii wbrew próbom Pretorii całkowitego wykluczenia tego ruchu narodowo-wyzwoleńczego z politycznego życia przyszłej Namibii, RPA była zmuszona zmienić strategię wobec swojej faktycznej kolonii. Polityka południowoafrykańskiego reżimu kolonialnego w rzeczywistości polega na tym, żeby przy pomocy farsy z „wolnymi wyborami" (z wykluczeniem SWAPO) utworzyć „rząd przejściowy", ustanowiony rzekomo drogą demokratyczną...

Wynikiem tej nowej strategii było przeprowadzenie tzw. konferencji w Bindhuk, w Namibii, której uczestnicy: przedstawiciele białej mniejszości Namibii i uzależnieni od Pretorii wodzowie plemion, opracowali „konstytucyjne zasady pokojowego przejścia do niepodległości w terminie do dnia 31 grudnia 1978 roku". Próby RPA stworzenia z Namibii czegoś na kształt „piątej kolumny" wywołały protesty postępowej części opinii publicznej. Ta okoliczność, jak również nasilenie walki zbrojnej oddziałów SWAPO znów postawiły Pretorię i popierające ją kraje zachodnie w trudnej sytuacji. Zachód doszedł w końcu do wniosku, iż bez udziału SWAPO pokojowe uregulowanie konfliktu w Namibii jest wręcz niemożliwe. Z kolei taki obrót wydarzeń skłonił RPA do chwilowej rezygnacji ze stworzenia wspomnianego już „rządu przejściowego" i nolens volens pójścia na rozmowy z ruchem patriotycznym, zainicjowane przez pięć krajów zachodnich, członków Rady Bezpieczeństwa ONZ: Francję, USA, RFN, Wielką Brytanię i Kanadę. W rzeczywistości jednak, w oparach tej dymnej zasłony, Pretoria robiła, i robi nadal wszystko, żeby w zmienionej sytuacji urzeczywistnić podstawowe elementy „rządu przejściowego" i prowadząc w ten sposób politykę faktów dokonanych — stworzyć z Namibii państwo buforowe na granicy z demokratyczną Angolą.

Korzystając z okoliczności iż rozmowy te znajdują się w stadium początkowym, RPA pospiesznie przystąpiła do realizacji swojej polityki faktów dokonanych. Nie czekając na przyjazd specjalnego przedstawiciela ONZ, który, jak przewidywano w planie pięciu mocarstw zachodnich, powinien wykonywać w okresie przejściowym funkcje obserwatora i kontrolera, Pretoria poinformowała o rozpoczęciu kampanii wyborczej. Włączył się do niej natychmiast sztucznie stworzony sojusz, zmontowany w toku wcześniej odbytej konferencji w Bindhuk, o której była już mowa, zwany „Demokratycznym Sojuszem z Bindhuk" (DSB).

DSB pomyślany jako alternatywa SWAPO i cieszący się poparciem rządu RPA, nie wychodzi w swoim programie poza ramy zmodyfikowanej strategii „bantustanizacji", opracowanej podczas konferencji w Bindhuk. Jego ideologiczną podstawą jest antykomunizm. W swojej polityczno-ekonomicznej koncepcji wychodzi on ze wspólnych interesów białej mniejszości i wodzów plemiennych, pragnących zachować swoje przywileje. W planie taktycznym DSB, o której należy już mówić jako o partii, stawia na rozpalanie sprzeczności plemiennych. I tak, np. na przełomie marca i kwietnia tego roku w afrykańskim getcie Bindhuku — Katutura, w wyniku podżegania ze strony DSB, podczas starć między plemionami Gierero a Owambo zginęło 17 stronników SWAPO.

Po latach walki SWAPO udało się stworzyć rejony wyzwolone na północy kraju, gdzie obecnie południowoafrykańscy żołnierze mogą prowadzić działania militarne tylko przy wsparciu lotnictwa. Właśnie w tych rejonach SWAPO już zaczęła urzeczywistniać swój program socjalny, przystępując przede wszystkim do walki z analfabetyzmem oraz organizacji systemu ochrony zdrowia. W ramach „strategii tłumienia" sił wyzwoleńczych główną rolę do odegrania pozostawia rząd w Pretorii marionetkowym „armiom" plemiennym, skleconym przez RPA. W maju tego roku, podczas wypadu na obóz uchodźców namibijskich w Kasinge, w Angoli, wraz z regularnymi wojskami południowoafrykańskimi, bandami UNITA i portugalskimi najemnikami brały także udział oddziały tzw. armii bantustanów.

Niemniej, wpływy SWAPO rosną nadal. I tak np. jak informuje korespondent Deutsche Volkszeitung, w roku 1976 siedem murzyńskich ugrupowań politycznych popierało SWAPO — przede wszystkim etniczne grupy Rechobot, Nama i Damara — a w 1977 roku o swym poparciu dla tej organizacji otwarcie poinformowało aż 17 tysięcy członków grupy etnicznej Gerero. Obserwatorzy polityczni na Zachodzie oceniają, iż w wypadku przeprowadzenia wolnych wyborów, SWAPO mogłaby liczyć na 70 proc. głosów rdzennej ludności Namibii. Co więcej, uważają oni iż SWAPO jest bez wątpienia jedną z najbardziej wpływowych sił Namibii i że jeśli RPA będzie ignorować tę siłę nigdy nie rozwiąże problemu namibijskiego. Reżim w Pretorii zdaje sobie z tego sprawę, lecz mimo to dąży do wykluczenia SWAPO z procesu politycznego w Namibii, do poderwania jej rewolucyjnej pozycji, ugruntowanej w wyniku wieloletnich krwawych walk. RPA mobilizuje obecnie wszystkie siły dla poparcia linii politycznej opracowanej w Bindhuku, poczynając od finansowania kampanii przedwyborczej a kończąc na aktywizowaniu akcji prowadzonej pod hasłem: „Demokratyczny Sojusz zawarty w Bindhuk jest najsilniejszym ruchem wyzwoleńczym ze wszystkich jakie kiedykolwiek znała Afryka". Jest to oczywiście mistyfikacja. Ale tylko urzeczywistnienie takiego wariantu polityki reżimu apartheidu stwarza mu szansę, oczywiście chwilową, na zabezpieczenie nie tylko polityczno-strategicznych interesów, lecz także interesów ekonomicznych RPA w Namibii, której bogactwa naturalne grabią monopole.

Polityka RPA w Namibii jest skazana na niepowodzenia, wcześniej czy później. Tylko SWAPO jest prawdziwym wyrazicielem interesów Namibii i tylko ta organizacja może położyć kres niebezpiecznej grze RPA i jej zachodnich sojuszników, ukierunkowanej na neokolonialne rozwiązanie problemu Namibii.

JERZY CZECH

SUPERTANKOWCE ZAGRAŻAJĄ ŚRODOWISKU

Z pojawieniem się supertankowców są związane nie tylko osiągnięcia myśli naukowo-technicznej, lecz także groźne niebezpieczeństwa związane z zanieczyszczeniem otaczającego środowiska w skali dotąd niespotykanej. W pogoni za bajecznymi zyskami, które przynosi eksploatacja wielkich statków do transportu nafty, właściciele tych tankowców — gigantów lekceważą elementarne normy techniki bezpieczeństwa. W konsekwencji karygodnej niefrasobliwości i lekceważenia obowiązujących przepisów przez właścicieli wielkich kompanii transportu nafty, supertankowce często ulegają katastrofom.

Światowa flota zbiornikowców liczy dziś 4200 statków, w tej liczbie o ołe 700 supertankowców o wyporności przewyższającej 200 tys. ton. Przewożą one ponad połowę światowego tonażu transportowanej ropy naftowej. Oficerowie i marynarze mówią z dumą o swych ogromnych tankowcach, nazywając je „największymi poruszającymi się obiektami, jakie kiedykolwiek stworzył człowiek". Jednakże, coraz częściej rozlegają się także głosy pełne niepokoju. Wielu uczonych i specjalistów w dziedzinie transportu morskiego wyraża obawy, iż częste katastrofy tych gigantów morskich mogą mieć groźne następstwa dla otaczającego środowiska.

Stany Zjednoczone importują obecnie niemal połowę niezbędnej dla nich nafty. Zachodnia Europa pokrywa z przywozu 95 proc. swego zapotrzebowania na ten rodzaj paliwa. A Japonia importuje w zasadzie całą potrzebną jej naftę. Przewóz nafty na jednym supertankowcu kosztuje taniej, niż transport takiej samej ilości „czarnego złota" na kilku statkach mniejszych rozmiarów. Na przykład statek o wyporności pół miliona ton, przewożąc 15 razy więcej nafty niż statek o wyporności 32 tys. ton, zużywa zaledwie 4 razy więcej paliwa. Rosną wymiary tankowców, lecz, rzecz charakterystyczna, maleje na nich liczba załogi. Np. tankowiec o wyporności 75 tys. ton ma załogę składającą się z, plus minus, 47 ludzi, podczas gdy olbrzym „Afran Zodiak" o wyporności 225 tys. ton ma zaledwie 36 marynarzy na pokładzie. Jest oczywiste, iż supertankowce przewożą większe ilości nafty przy zmniejszonych kosztach transportu.

Jeszcze całkiem niedawno wielkie tankowce nazywano supertankowcami, ale każde nowe pokolenie tych gigantów zaćmiewa swoich poprzedników. Obecnie supertankowce mają wszelkie podstawy żeby nosić nazwę wielonarodowych przedsiębiorstw handlowych. Weźmy przykład: wspomniany już „Afran Zodiak" został zbudowany w Japonii, należy do Amerykanów, zarejestrowany jest w Liberii, został zafrachtowany przez firmę brytyjską a dowództwo ma włoskie!... Na morzach często spotyka się ogromne brunatne plamy zalegające na przestrzeni wielu mil. Pojawiają się one kiedy po przemyciu rezerwuarów tankowca wodę — zmieszaną z naftą — wylewa się do morza. W wyniku takich „operacji" do mórz trafia co najmniej milion ton nafty rocznie! Jest to jedna szósta rocznej ilości nafty zanieczyszczającej oceany.

Tankowiec „Bellamia", należący do kompanii Shell, o wyporności 541 ton, jest dziś największym statkiem na świecie. Kiedy ten gigantyczny tankowiec jest całkowicie „wyładowany" naftą, jego kil jest zanurzony na głębokość 30 metrów, a pokład wystaje ponad powierzchnię wody około 7 metrów. Ów gigant morski, dźwigający na swym pokładzie ładunek wartości 50 milionów dolarów, ma wysokość 11 piętrowej kamienicy. Jego szerokość wynosi ponad 62 metry, a długość z górą 400 metrów!... „Bellamia" wygląda jak pływająca wyspa techniki, zautomatyzowana i skomputeryzowana. Specjalna aparatura czuwa nad stabilnością płynnego ładunku i w razie zachwiania tej równowagi natychmiast alarmuje dowództwo. Wszystko to jest wspaniałe, tyle tylko, że jeśli, mimo wszystko, stabilność ta ulegnie odchyleniu, statek przełamie się na pół...

S.T.

■ POZYTYWNE ECHA POLSKIEJ INICJATYWY
■ NOWE, TRUDNIEJSZE KONKLAWE

Nieopublikowanie komentarza w poprzednim numerze — żelazny harmonogram druku wyklucza jakiekolwiek opóźnienie w doręczaniu tekstu — spowodowało, że nagromadziło się wiele tematów. Co najmniej do jednego z nich, który rozwinięty był w ubiegłotygodniowym tekście, musimy powrócić — do XXXIII sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ i **przedłożenia na niej polskiej inicjatywy: wychowania młodych pokoleń dla pokoju.**

Min. E. Wojtaszek, w nawiązaniu do przemówienia Edwarda Gierka na forum ONZ w 1974 roku i zgłoszenia inicjatywy, przedstawił projekt deklaracji na ten temat. Nasza deklaracja podkreśla, że zapewnienie każdemu narodowi i każdej istocie ludzkiej prawa do życia w pokoju, zakaz wszelkich prób agresji, rozwijanie wszechstronnej, wzajemnie korzystnej i równoprawnej współpracy, szanowanie prawa wszystkich narodów do niepodległości, eliminowanie zagrożenia wojennego, zwalczanie ideologii kolonializmu i rasizmu, niedopuszczenie do krzewienia nienawiści i uprzedzeń — to kardynalne normy w stosunkach międzynarodowych. **Programy i procesy nauczania muszą więc zawierać teksty zgodne z zadaniem wychowywania w duchu pokoju, konieczne jest eliminowanie z programów szkolnych i środków masowego przekazu wszystkiego, co propaguje nienawiść, nietolerancję i przemoc oraz rozwijanie różnorodnych form współpracy z myślą o wychowywaniu społeczeństw w duchu pokoju.**

Echa polskiej inicjatywy są bardzo pozytywne. Podkreśla się jej rzeczowość i konkretność. Pisze, że dotyczy istotnego problemu, ponieważ przyszłość świata jest wprost związana z wychowaniem młodych pokoleń w duchu pokoju.

„Polska przygotowała i przedstawiła światu swoisty kodeks stałych, wielokierunkowych działań, których celem jest tworzenie infrastruktury pokoju w ludzkiej świadomości" — bilansuje te głosy „Trybuna Ludu".

A teraz przenieśmy się do Watykanu.

Śmierć Jana Pawła I po zaledwie 33 dniach pontyfikatu oraz zwołanie konklawe (co nastąpi 14 bm.) znów wyzwoliło spekulacje; **kto zostanie papieżem.** Trzeba przypomnieć, że w komentarzach po wyborze Jana Pawła I wyrażono dość powszechnie przekonanie, że jego następcą nie będzie już Włoch.

Teraz **spotkać się można z dwiema tendencjami.** Pierwsza z nich zauważa, że nadal aktualne są praktyczne względy, przemawiające za wyborem Włocha (papież jest jednocześnie biskupem Rzymu i wywiera duży wpływ na życie Italii), ale trudniej niż poprzednio będzie spośród tamtejszych kardynałów znaleźć kandydata, który odpowiadałby jednocześnie skrzydłu konserwatywnemu i reformistycznemu. Druga — preferuje cudzoziemca, wychodząc z założenia, **że kościół ma więcej wiernych poza** Europą, np. w Ameryce Łacińskiej i obecnie z „trzeciego świata" nadchodzą nowe idee. Dlatego wśród papabili wymienia się nadal Argentyńczyka — E. Pironio i, co jest nowością, Brazylijczyka — A. Lorscheidera.

— Układ sił na konklawe — oceniają agencje zachodnie — będzie następujący: 26 Włochów, 19 kardynałów latyno-amerykańskich i 12 afrykańskich oraz 55 z różnych krajów europejskich (poza Włochami), dzielących się na liberałów z zachodu i konserwatystów ze wschodu.

Sytuacja będzie trudna, ponieważ **teraz trzeba będzie głosować na kandydata, który 26 sierpnia zebrałby najwyżej 10—15 proc. głosów.** Dlatego też trzeba szukać kogoś nowego, a takim może być cudzoziemiec.

Pytaniem, na które teraz odpowiedzieć niepodobna: czy raz jeszcze zwycięży tradycjonalizm, czy też pojawi się i zwycięży niewłoski kardynał — przerywamy temat. Konklawe zbiera się przecież już pod koniec tygodnia...

W. SŁAWSKI

Vladimir Nabokov, słynny pisarz amerykański, był z pochodzenia Rosjaninem. Emigrował z Rosji po 1917 roku i od 1940 roku zamieszkał na stałe w Stanach Zjednoczonych, gdzie zdobył sławę, pieniądze i uznanie jako nowatorski (zwłaszcza pod względem obyczajowym) pisarz. Powieść, która przyniosła mu rozgłos, to „Lolita", którą oglądaliśmy w Polsce w wersji filmowej. Inne, najbardziej znane utwory, to „Pale Fire", „Ada", „Transparent Things", „Prawdziwe życie Sebastiana Knighta", „Spójrz na Harlequins". W Polsce Nabokov jest prawie, że zupełnie nie znany, poza wspomnianą „Lolitą" i również filmową wersją „Śmiechu w ciemności". Zainteresowani twórczością Nabokova mogą sięgnąć po sierpniowy (1978) numer „Literatury na świecie", poświęcony prawie w całości jego pisarstwu.

„Speak, Memory" jest autobiografią pisarza obejmującą lata dzieciństwa i młodość (w której utracił swą dawną pozycję arystokraty, a nie zdobył jeszcze nowej – wybitnego pisarza). Publikujemy fragmenty z tej autobiografii.

(...) Założycielem naszej rodziny był Nabok Murza (ok. 1380) zrusyfikowany tatarski książe mieszkający w Moskwie. W przeszłości moi przodkowie władali posiadłościami w Księstwie Moskiewskim. (...) Dziadek, Dmitrij Nabokov (1827—1904) był w przeciągu 8 lat ministrem sprawiedliwości za panowania dwóch carów. Zmarł 23 marca 1904 r. Pozostawił 4 synów i 5 córek. Najstarszy był Dmitrij, który odziedziczył majorat w ówczesnym Królestwie Polskim, następny był mój ojciec, potem Siergiej, gubernator Mitao, który ożenił się z Darią Nikołajewną Tuczkowa (prawnuczka marszałka Kutuzowa, księcia Smoleńska). Najmłodszy był Konstanty, zakięty stary kawaler.

Ojciec

Oto krótka biografia mojego ojca. Vladimir Dmitrijewicz Nabokov prawnik, publicysta, mąż stanu, syn Dymitra Nikołajewicza Nabokova, ministra sprawiedliwości i Marii Nabokov z domu baronówny von Korf, urodził się 20 lipca 1870 roku w Carskim Siole niedaleko St. Petersburga. Zginął od kuli mordercy 28 marca 1922 r. w Berlinie. (...) 14 listopada (data skrupulatnie obchodzona w naszej szanującej wszelkie rocznice rodzinie) 1897 roku ożenił się z Jeleną Iwanowną Rukawisznikową, 21-letnią córką sąsiada, z którą miał 6 dzieci.

W 1895 r. został członkiem Izby Adwokackiej. W latach 1896—1904 prowadził wykłady z prawa karnego w Królewskiej Szkole Jurysprudencji w St. Petersburgu. Członek izby zobowiązany był każdorazowo prosić przewodniczącego izby o zezwolenie na publikacje swych artykułów. Mój ojciec nie poprosił o takie zezwolenie, kiedy opublikował w przeglądzie „Prawo" artykuł „Krwawa łaźnia w Kiszyniowie", w którym zdemaskował udział policji w pogromie 1903 r. w Kiszyniowie. Dekretem carskim ojciec został pozbawiony tytułu członka izby w styczniu 1905 r. Po tym wydarzeniu zerwał wszystkie powiązania z rządem carskim i zdecydowanie włączył się w działalność antydespotyczną, kontynuując równocześnie pracę prawnika. Zdecydowanie trzymał się swoich zasad zarówno w życiu prywatnym jak publicznym. Na pewnym oficjalnym bankiecie w 1904 roku odmówił wypicia zdrowia cara. (...) W 1906 r. został wybrany do pierwszego rosyjskiego parlamentu („Pierwaja Duma"). Kiedy mniej niż w rok później car rozwiązał Dumę, pewna liczba członków, w tym mój ojciec wyruszyła na nielegalną sesję do Wyborga. W maju 1908 roku ojciec został osadzony na 3 miesiące w więzieniu oskarżony o działalność wywrotową w związku z manifestem, jaki on i jego towarzysze ogłosili w Wyborgu. Po zwolnieniu z więzienia nie miał prawa brać udziału w wyborach powszechnych, ale (jeden z paradoksów tak częstych za cara) mógł swobodnie pracować w skrajnie liberalnym piśmie „Riecz" któremu poświęcał po 9 godzin dziennie. (...) Po owej sesji w Wyborgu mój ojciec spędził spokojne, chociaż smutne 3 miesiące w całkowitym odosobnieniu, z książkami, ze składaną wanną i odpisem „Gimnastyki domowej" J. P. Mullera. Do końca swoich dni moja matka przechowywała listy, które zdołał do niej przeszmuglować — czarujące posłania pisane ołówkiem na papierze toaletowym.

Byliśmy na wsi, kiedy odzyskał wolność i nasz wiejski nauczyciel zorganizował uroczystość, wywiesił sztandary (niektóre jawnie czerwone), ażeby powitać ojca w drodze ze stacji kolejowej do domu pod arkadami z jodłowych igieł i wieńcami chabrów — ulubionych kwiatów mojego ojca.

Nauczyciela tego poznaliśmy dużo wcześniej. Był to początek 1905 roku. Sprawy państwowe wymagały obecności mojego ojca w stolicy. Demokratyczna Partia Konstytucyjna, której był jednym z założycieli walczyła o większość miejsc w Pierwszej Dumie w następnym roku. Podczas jednego ze swych krótkich tego lata pobytów na wsi, odkrył z patriotycznym zaniepokojeniem, że mój brat i ja potrafimy czytać i pisać po angielsku, ale nie po rosyjsku (z wyjątkiem słów „kakao" i „mama"). Postanowiono, że wiejski nauczyciel będzie przychodził codziennie po południu, ażeby dawać nam lekcje i zabierać na spacery.

(...) Poza tym wszystkim była jeszcze najczulsza przyjaźń podkreślająca mój szacunek do ojca, urok naszej absolutnej zgody, mecze z Wimbledon, które śledziliśmy z londyńskich gazet, zagadki szachowe, które rozwiązywaliśmy, jamby Puszkina, które spływały z jego ust tak triumfująco, ilekroć wspominałem o jakimś drugorzędnym choć uznanym poecie. Nasze stosunki odznaczały się tą codzienną wymianą domowych nonsensów komicznie zniekształconych słów, spodziewanego naśladownictwa przypuszczalnych intonacji, wymiana tych wszystkich osobistych żartów, która to właśnie jest sekretnym kodem szczęśliwych rodzin.

Nianie – bony – nauczyciele

(...) Mr Burness był potężnym Szkotem o rumianym obliczu, niebieskich oczach i prostych, słomianych włosach. Ranki spędzał na wykładach w szkole języków, a potem pędził na popołudniowe prywatne lekcje, których było więcej niż dzień mógłby pomieścić. Wędrując z jednego krańca miasta na drugi i będąc zależnym od dorożek, mr Burness przy odrobinie szczęścia spóźniał się tylko 15 minut na lekcję zaczynające się o drugiej, ale na lekcję wyznaczone na czwartą, ziewał się grubo po piątej. (...) W ćwierć wieku później dowiedziałem się, że Burness (w tym czasie już nieżyjący) był dobrze znany w Edynburgu jako tłumacz rosyjskiej poezji romatycznej będącej świętością mojej młodości (jak to się stało, skoro nie znał rosyjskiego?...).

(...) Jednym z naszych nauczycieli był młody człowiek Jeremiasz, którego nazywaliśmy Ordo, dość inteligentny syn grecko-katolickiego diakona. (...) W końcu tegoż roku Ordo towarzyszył nam w wyjeździe do Biarritz, a po kilku tygodniach wyjechał niespodziewanie pozostawiając na poduszce prezent, który mu daliśmy (żyletki firmy Gilette) i mętny list. Rzadko mi się zdarza, że nie wiem, które zdarzenia zapamiętałem osobiście, a które dotarły do mnie z drugiej ręki, ale w tym przypadku wydaje mi się, że pamiętam drzwi prowadzące do następnego pokoju, a tam, na samym środku pokoju, Ordo, naszego Ordo stojącego na kolanach i załamującego ręce przed moją młodą, śliczną i bardzo oszołomioną matką.

(...) Następny obrazek przedstawia mi się tak, jak gdyby spływał na ekran z góry do dołu. Ukazuje się nasz trzeci nauczyciel stojący na głowie. Był to ogromny, atletyczny Lett, który chadzał na rękach, podnosił niewiarygodne ciężary itd. W przypadku moich win wymierzał mi dokładnego i celnego klapsa. Pomimo, że wolałem to od wyrafinowanych tortur, jakie wymyślała Mademoiselle w rodzaju przepisywania po 200 razy przysłowia „Qui aime bien, chatie bien" nie byłem specjalnie zasmucony, kiedy opuścił nas po miesiącu swego burzliwego pobytu.

(...) Leński urodził się w ubóstwie. Lubił wspominać o tym, że po ukończeniu gimnazjum w swym rodzinnym mieście nad Morzem Czarnym, a przed wstąpieniem na uniwersytet w Petersburgu, dorabiał zdobieniem kamieni z nadmorskich plaż pogodnymi, jasnymi krajobrazami morskimi i sprzedawaniem ich jako przycisków do papieru. (...) Biorąc pod uwagę łatwość z jaką potrafił wytłumaczyć wszystko, co wiązało się z naszą nauką, stałe kłopoty Leńskiego na uniwersytecie były czymś zdumiewającym. Pamiętam ten stan nerwowego napięcia, w jakim się znajdował przed jednym ze swych najważniejszych końcowych egzaminów. Byłem przejęty nie mniej niż Leński i nie mogłem oprzeć się pokusie podsłuchiwania pod drzwiami pokoju, w którym mój ojciec przepytywał Leńskiego na jego prośbę z „Zasad ekonomii politycznej" pióra Charlesa Gide'a. Przerzucając kartki książki ojciec zadawał pytania np. „Jaka jest różnica między banknotem a papierowym pieniądzem?". Leński odchrząkiwał i pozostawał w zupełnym milczeniu, jak gdyby umarł. W ciszy, którą przerywał tylko stukot palców ojca o blat stołu, rozlegał się nagle pełen nadziei okrzyk: „Tego pytania nie ma w książce!" — ale ono było. Wreszcie ojciec zamknął książkę grzecznie ale stanowczo i rzekł: „Kochany (gołąbczik), to niemożliwe, żebyś zdał. Ty nie umiesz dosłownie nic!". „Nie mogę się z panem zgodzić" odpowiedział Leński nie bez godności. (...) W 1910 roku Leński, człowiek wysokich zasad, lecz o raczej prostej naturze był z nami dwoma w Berlinie. Za granicą znalazł się po raz pierwszy i miał pewne trudności w godzeniu uroków zwiedzania z obowiązkami nauczyciela. Ja i brat wykorzystaliśmy to od razu i nie Leński nas, lecz my Leńskiego oprowadzaliśmy wszędzie tam, gdzie nasi rodzice na pewno nie pozwoliliby nam chodzić. W ten sposób zwiedziliśmy na przykład Wintergarten.

Mademoiselle

(...) Spędziła z nami 7 lat, coraz rzadziej dawała lekcje, a jej charakter stawał się z dnia na dzień gorszy. (...) Wyraźnie traciła słuch. Czasami przy stole my, chłopcy, bywaliśmy niespodziewanie zmieszani widokiem dwóch wielkich łez toczących się po policzkach Mademoiselle. „Nie przejmujcie się mną" — mówiła cichym głosem i jadła dalej, aż łzy zupełnie ją oślepiały. Wtedy wstawała i odchodziła do swego pokoju. Powoli prawda zaczęła wychodzić na jaw. Jeżeli np. rozmowa przechodziła na temat marynarki, którą dowodził mój wuj, wstawiała ze zdziwieniem, że przecież Szwajcaria nie ma żadnej floty. Biedaczka zawsze pozostawała w ogromnym napięciu z trudem utrzymując kontrolę nad niefrasobliwą dysputą przy stole i dopiero, gdy przechodziliśmy na rosyjski, oddychała z niejaką ulgą.

(...) Wróciła do Szwajcarii. Przyszła I wojna światowa, potem rewolucja, a gdy w początku lat dwudziestych zdarzyło mi się być w Lozannie, postanowiłem odwiedzić Mademoiselle, jeśli jeszcze żyje. Żyła. Jeszcze bardziej dorodna niż zwykle, zupełnie szara i prawie całkowicie głucha powitała mnie z wylewną serdecznością. Zamiast obrazka przedstawiającego Chateau de Chillon (francuski sztych, który zawsze wisiał w jej pokoju, kiedy była w Rosji) na ścianie królowała teraz jaskrawa „troika". O swoim życiu w Rosji mówiła tak ciepło, jak gdyby to była jej własna utracona ojczyzna.

Motyle

(...) Swoje zainteresowanie lepidoptria zawdzięczam wujowi Ruce, który we wczesnym dzieciństwie złapał dla mnie przypadkowo pięknego i rzadkiego motyla. (...) Polowałem na motyle w najróżniejszych klimatach i przebraniach, jako śliczny chłopiec w krótkich spodenkach i marynarskiej czapeczce, jako wysoki, szczupły kosmopolityczny uchodźca we flanelowych portkach i berecie i jako gruby, stary człowiek w szortach i bez kapelusza. Większość moich zbiorów podzieliło los naszego domu w Wirze. Kolekcja, która znajdowała się w naszym domu w mieście (St. Petersburg — tłum.) i ta, którą zostawiłem w muzeum w Jalcie uległy zniszczeniu. Kolekcja południowo-europejska, którą zbierałem od początku wygnania zaginęła w Paryżu podczas II wojny światowej. Wszystkie moje amerykańskie zdobycze od 1940 do 1960 r. (kilka tysięcy gatunków łącznie z rzadkimi okazami) są w Muzeum Zoologii Porównawczej, w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej i w Muzeum Cornell University, gdzie, mam nadzieję, są bardziej bezpieczne.

(...) Wkrótce odkryłem, że zbieranie motyli łącznie z jego cichymi poszukiwaniami wyzwala w innych dziwne reakcje. Jakże często podczas przygotowań do pikniku usiłowałem niepostrzeżenie przemycić mój sprzęt do pachnącego dziegciem powozu (dziegciu używano do odstraszania much od koni) lub pachnącego herbata Opla (benzyna przed 40 laty pachniała w taki właśnie sposób), a któraś z kuzynek lub ciotek robiła taką mniej więcej uwagę: „Czy ty naprawdę musisz brać ze sobą te siatkę? Czyż nie możesz bawić się jak normalny chłopiec? Czy nie wydaje ci się że psujesz wszystkim nastrój?".

Pewnego razu w Kissingen w Bawarii towarzyszyłem na długim spacerze memu ojcu i majestatycznemu staremu Muromcewowi (który 4 lata wcześniej, w 1906 r. był przewodniczącym pierwszego rosyjskiego parlamentu). Po jakimś czasie starzec zwrócił swoją marmurową głowę ku mnie, ku grzecznemu 11-letniemu chłopcu i powiedział w tym słynnym, uroczystym tonie: „Idź z nami w całym tego słowa znaczeniu. Przestań polować na motyle, moje dziecko. To psuje rytm marszu".

Na ścieżce w Krymie, nad Morzem Czarnym, wśród zarośli drzewka woskowego, w marcu 1918 roku, krzywonogi bolszewicki wartownik usiłował aresztować mnie za podawanie sygnałów (przy pomocy mojej siatki, jak powiedział) brytyjskiej marynarce. W lecie 1929 roku przez cały czas kiedy szedłem przez pewną wieś we wschodnich Pirenejach wystarczyło odwrócić się, ażeby zobaczyć wzdłuż trasy mojego przemarszu wieśniaków zastygłych w różnych pozach, w jakich zaskoczyło ich moje pojawienie się, zupełnie tak, jak gdybym był Sodomą, a oni wszyscy żonami Lota. W 10 lat później, w Alpach zauważyłem pewnego razu, że trawa poza mną faluje zygzakowato, ponieważ gruby wiejski policjant czołgał się za mną na swoim brzuchu, ażeby sprawdzić, czy nie chwytam w sidła ptaków śpiewających.

Ameryka ukazała jeszcze większe niż inne kraje, wręcz chorobliwe zainteresowanie moją działalnością, może dlatego, że ja sam byłem po czterdziestce, kiedy tu przybyłem, ażeby zamieszkać na stałe, a im starszy jest człowiek, tym bardziej ekstrawagancko i podejrzanie wygląda trzymając w ręku siatkę na motyle. Nieubłagani farmerzy zwracali moją uwagę na znaki zakazujące odłowu ryb, z aut, które mijały mnie na autostradach wydobywały się dzikie wrzaski drwin, senne psy przez nieuwagę najgorszych leni nachodziły mnie warcząc, małe szkraby pokazywały mnie palcami swoim zdumionym mamusiom, urlopowicze o szerokich horyzontach myślowych pytali mnie, czy łapię owady na przynętę.

Emigracja

(...) Pod koniec 1917 r. Lenin zaczął brać górę. Mój ojciec, który po rewolucji marcowej został wybrany do Rady Konstytucyjnej, zdecydował się pozostać w Petersburgu tak długo, jak to będzie możliwe, ale swoją dużą rodzinę wyekspediował na Krym, do rejonu w którym wciąż jeszcze panował spokój (ten spokój trwał zaledwie kilka tygodni dłużej). Wyruszyliśmy w dwóch grupach, ja i brat jechaliśmy oddzielnie od matki z trojgiem młodszego rodzeństwa. (...) Długa podróż na południe zaczęła się stosunkowo dobrze. Ogrzewanie i światło wciąż jeszcze działało w sleppingu pierwszej klasy na trasie Piotrograd — Symferopol (...) ale tuż za Moskwą skończył się cały komfort. Kilka razy nasz pociąg był okupowany przez żołnierzy wracających z frontu do domu których, w zależności od przekonań politycznych, nazywano albo „dezerterami", albo „czerwonymi bohaterami". Mnie i bratu wydawało się to raczej zabawne, że musimy zamykać się w naszym przedziale, ażeby uniknąć ataków z zewnątrz. Kilku żołnierzy podróżujących na dachu naszego wagonu uważało za swego rodzaju sport czy rozrywkę używanie (nie bez powodzenia) naszego wentylatora jako toalety.

(...) Życie mojej rodziny zmieniło się kompletnie. Z wyjątkiem niewielkiej ilości drogocennych kamieni schowanych w puszce z talkiem, byliśmy całkowicie zrujnowani. (...) Mój ojciec został ministerem sprawiedliwości Rządu Regionalnego zlokalizowanego w Symferopolu, a jego rodzina zamieszkała w Liwadii w pobliżu Jałty, w byłej posiadłości cara. (...) Pojawiły się obce armie (zwłaszcza Niemcy) ignorowane przez prawdziwych patriotów i traktowane obojętnie przez tych, którzy byli obojętni.

(...) Po kilku nieudanych wypadach na północ Niemcy zajęli się kopaniem trawników ustawianiem napisów: „Nie deptać trawy" i tak, porobiwszy na Krymie jakie-takie porządki, odjechali w spokoju ducha do domu.

(...) Na północy Krymu wciąż toczyły się walki, a kolorowa, mieszana societa miast pozostających pod kontrolą Białych odtworzyła w zwulgaryzowanej wersji uroki spokojnych lat. Kawiarnie robiły wspaniałe interesy, kwitły wszystkie rodzaje teatrów. Pewnego ranka w czasie górskiej wycieczki napotkałem nieoczekiwanie dziwnego jeźdźca ubranego w czerkieski strój, z dziwnie umalowaną twarzą. Z wyraźną trudnością trzymał się na koniu który najwidoczniej wybrał się na spacer nie pytając nikogo o zdanie. Zdumiał mnie ten widok tym bardziej, gdy w niefortunnym jeźdźcu rozpoznałem Możuchina, którego tak często podziwiałem w filmie „Hadżi Murad", gdzie grał wspaniałego jeźdźca, wodza górskich plemion. „Trzymaj to przeklęte bydlę!" — powiedział przez zęby na mój widok, ale w tej samej chwili dogoniło go dwóch autentycznych Tatarów, a ja ruszyłem na spotkanie z motylami.

(...) W marcu 1919 r. Czerwoni zajęli północny Krym, a my odpłynęliśmy do Pireusu na małym greckim statku „Nadzieja" wiozącym suszone owoce.

(...) Po krótkim i drogim pobycie w Londynie ja i brat pojechaliśmy na studia do Cambridge, a rodzice z młodszym rodzeństwem wyruszyli do Berlina, w którym pozostawali aż do śmierci ojca w 1922 r.

VLADIMIR NABOKOV

PRZEMÓW, PAMIĘCI

Tłumaczyła: ELEONORA KARPUK

HISTORIA PEWNEJ MIŁOŚCI

LESZEK PŁAŻEWSKI

— To mnie nie obchodzi. — mówię.

— No dobrze — powiada matka — nie będę wtrącała się w twoje życie. Ale tymczasem pójdę do Florczaków.

Nic nie powiedziałem, bo to nie miało żadnego sensu. Robiłem się śpiący, głowa leciała mi do dołu. Więc podniosłem się z krzesła, rozebrałem się i położyłem do łóżka. Nawet nie wiem kiedy zasnąłem.

Tylko bardzo wcześnie się obudziłem. Za oknem dopiero zaczynało się przejaśniać. Ziewać mi się chciało, ale tak na ogół to dobrze się czułem. Wstałem, przemyłem oczy w miednicy, założyłem zwykłe codzienne ubranie, wziąłem wałówkę w garść i wyszedłem na dwór. Na dworze zapaliłem pierwszego papierosa. Wypuściłem kilka dymów i przede mną jak żywa wyrosła Halina. Aż przetarłem ze zdziwnienia oczy.

— Cześć — powiada uśmiechając się do mnie. — Wstałam dziś wcześniej.

— Cześć — mówię i patrzą na nią. Nie wiem co mam jeszcze powiedzieć.

— Ty autobusem dojeżdżasz do pracy — mówi ona.

— Autobusem, Halu.

— Ja z kolei elektrycznym pociągiem — mówi ona dalej. — Tylko zawsze później jeżdżę, ale dzisiaj, niestety, jakoś wcześniej wstałam, to mówię, wcześniej wyjdę też. Porozmawiam sobie z koleżankami z biura.

Znów popatrzyłem na nią i westchnąłem. Pod szyją granatowego płaszczyka miała jedwabną apaszkę. W uszach świecące kolczyki. Bardzo ładnie wyglądała. Szliśmy w stronę naszej podmiejskiej stacyjki, gdzie również był przystanek autobusowy.

— Myślałam o tobie — mówi ona.

— Halina — powiadam i czuję uścisk pod gardłem, jakby mnie tam kość sztorcem stanęła.

— Słuchałam właśnie przez radio Czerwonych Gitar — powiada Halina — i pomyślałam sobie o tym wszystkim co rozmawialiśmy. Lubisz Czerwone Gitary?

— Muzykę to lubię — odpowiadam jej. — Ale na zespołach grających to specjalnego rozeznania nie mam.

— A do kina często chodzisz? — pyta mnie.

— A jakże — mówię. — To miałbym nie chodzić?

— A na czym ostatnio byłeś — powiada i trąca swoją ręką moją, aż mnie ciarki przeszły po grzbiecie.

— Do tytułów to nie mam specjalnej głowy — mówię jej zgodnie z prawdą. — Ale lubię na ten przykład wojenne filmy, ale nie lubię takich, co na nich nic się nie dzieje.

— A o miłości? — pyta mnie dalej.

— O miłości też lubię — odpowiadam — ale jak dobrze w tej miłości się dzieje — dodaję spoglądając na nią.

— Pewnie — mówi Halina.

Nigdy jeszcze droga do pracy nie wydawała mi się tak przyjemna. Szedłem zupełnie jakby na spacer z dziewczyną o wieczorowej porze. Nawet przez pewien okres czasu nowe mieszkanie mi z głowy wywietrzało.

Na ulicy już więcej ludzi się pokazało. Znajome chłopaki z naszej fabryki spoglądali za nami i trącali się łokciami. Usłyszałem również wieloznaczne chichoty. Więc odsunąłem się trochę od Haliny, bo bardzo blisko szliśmy obok siebie. W taki sposób ona odprowadziła mnie do przystanku, zamiast ja Halinę jak nakazuje dobry obyczaj. Ale ja rozpoczynałem, niestety robotę o godzinę wcześniej niż Halina.

Na przystanku stała spora kolejka ludzi, większość dojeżdżających z dalszych miesteczek i wsi. Kiedy nadjechał autobus podałem Halinie rękę, ale z tego wzruszenia zapomniałbym o najważniejszej rzeczy. O mieszkaniu. Halina sama mi to przypomniała.

— Tylko czasem — powiada — tego mieszkania nie załatwiaj odmownie.

— Dobrze — mówię lokując się do drzwi autbousu. — Załatwię wszystko jak potrzeba.

— A po południu, myślę, że się spotkamy — woła Halina. — Bądź kwadrans po czwartej na tym rogu, pod uliczną pompą.

— Będę na pewno — wołam również i autobus rusza.

Halina zniknęła mi z pola widzenia. Wszedłem do środka wozu. Znajomi z hali produkcyjnej zaczęli mrugać do siebie i chichotać. Wydawało mi się, że ze mnie, ale nie zwracałem na nich uwagi. Co innego gdybym przyszedł na przystanek z jakimś grubym i niezgrabnym babsztylem, ale z taką przystojną, ładnie ubraną dziewczyną.

W hali odbiłem kartę zegarową i poszedłem do szatni przebrać się w kombinezon. Potem wziąłem z magazynu wózek i pojechałem pod rozdzielnię, czekając aż kierownik wyda mi dyspozycje. Na początku były to przewożenia tylko puste skrzynki. Pędziłem na swoim wózku elektrycznym jak prawdziwy pirat drogowy. Ciągle trąbiłem, w ostatniej chwili wymijałem ludzi i maszyny. Przed oczami stała mi Halina. Tylko ona, nowe mieszkanie, i nic więcej. A całe życie, łącznie z nielekką robotą wydawało mi się istną bajką.

Podczas przerwy śniadaniowej poszedłem do Rady Zakładowej i oznajmiłem urzędującym tam osobom, że stanowczo decyduję się na to mieszkanie. Wiceprezeska uśmiechnęła się do mnie.

— To porozmawialiście ze swoją panienką — mówi.

— A jakże — odpowiadam jej.

— To ładnie — ona mówi. — Ale teraz prosiłabym jak najszybciej przedłożyć akt ślubu.

Zastanowiłem się mocno.

— Tylko — powiadam po tym zastanowieniu — do tego trzeba się jakoś przygotować. Wie obywatelka, trzeba zrobić jakie takie przyjęcie chociaż, bo to taka impreza raz na całe życie.

— O to będziecie się później martwić — przerywa mi wiceprezeska. — Teraz trzeba szybciutko pójść do Urzędu Stanu Cywilnego, przedłożyć im swoje papiery. Potem poczekacie ze swoją wybranką cztery tygodnie i dostaniecie już prawomocny dokument zawarcia związku małżeńskiego, na podstawie którego możecie otrzymać mieszkanie.

— Dobrze — mówię — postaram się wszystko jak najszybciej załatwić.

— No, to jest przynajmniej facet zdecydowany — wtrąca gość, co tu przypadkiem wszedł za interesem. — Nawet na najgorsze.

Nic mu nie odpowiedziałem, bo to był starszy z siwym włosem osobnik, chyba jakiś technolog z biurowca czy ktoś w tym rodzaju. Ale zmierzyłem go wymownie od stóp do głów. Wiceprezeska znów uśmiechnęła się do mnie, i podała mi dwa wnioski, takie cienkie zeszyciki, dla mnie i dla Haliny, czyli jak powiedziała dla mojej przyszłej małżonki. Po wypełnieniu te wnioski trzeba podstemplować w komitecie blokowym, zaznaczyła. Kiwnąłem głową, że wszystko jest mi dostatecznie wiadome i wyszedłem stamtąd. Potem wnioski położyłem w sztani w szafce, aby się nie pobrudziły.

Drugi kwadrans mijał od wyznaczonego spotkania, a Halina ciągle nie nadchodziła w umówione miejsce, pod uliczną pompą. Nie miałem pojęcia co mogło się jej przytrafić. Nogi chyba nie złamała. Przy ulicznej pompie kolejka jak zwykle, przeważnie sami znajomi, ja znów w swoim najlepszym garniturze, pod krawatem, ale żeby nikt się nie domyślił, że czekam tutaj na dziewczynę wziąłem ze sobą wiaderko. Udawałem, że niby tylko po wodę wyszedłem. Więc czekałem z tym wiaderkiem, a jedni ludzie odchodzili i inni przychodzili.

Nie mogłem już na nich patrzeć, na tych znajomych, więc przymykałem oczy i wtenczas swoje nieszczęście jeszcze wyraźniej zobaczyłem. Całą swoją krzywdę. Ale jakoś się opanowałem, zapaliłem jeszcze jednego papierosa z tych nerwów, i powiedziałem sobie, to nie ja powinienem płakać skoro jestem w posiadaniu mieszkania, ale ty siostro powinnaś płakać rzewnymi łzami z powodu swej lekkomyślnej głowy. Mam przecież przy sobie dla ciebie wniosek do wypełnienia. Tak sobie powiedziałem, tylko że samo powiedzenie to nic, ciężar z serca tak łatwo nie spada. Nawet jeśli myśli się o innych dziewczynach, z którymi w ostateczności też można dzielić troski i radości pod jednym dachem. Mimo całej zawziętości z mojej strony, odejść mi się jakoś nie chciało. Nie wiem na co liczyłem. Ale wtenczas traf chciał spotkałem niespodziewanie przy pompie kumpla, który na sąsiedniej ulicy gołębie trzymał, a kiedyś ze mną robił w jednej robocie.

— Co tak stoisz — powiada ten kumpel. — Czekasz na jakąś pannę?

— Z tym wiaderkiem — mówię wypierając się już Haliny, chociaż mi trudno idzie. — Tak wyszedłem — dodaję — tylko po wodę.

— A może — mówi on patrząc na mnie i na mój świąteczny garnitur — chciałbyś się kulturalnie zabawić Akurat moja panna przyszła ze swoją kuzynką. Zamiejscowa, ale niezła sztuka.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie. Co to wszystko ma znaczyć. Nawet jeśli przysłowie mówi, że tego kwiatu to pół światu.

— I po to wyszedłeś — pytam — żeby dla niej namówić kogoś.

— Po to, albo nie po to — odpowiada on. — Dwóch kobiet przecież nie będę zabawiał sam jeden. Akurat się trafiłeś, dlaczego masz jej nie poznać, skoro masz na to osobistą chęć. No tak?

Jeszcze raz popatrzyłem na tego kumpla, na pustą ciemniejącą ulicę, gdzie przez dłuższy czas wyczekiwałem na Halinę.

— Dobrze — mówię wtenczas — dobra, mogę do ciebie iść. Mam właśnie wolny czas. Mam do samego rana, a nawet dłużej, do samej roboty.

Nabrałem do wiaderka wody, zaniosłem do domu i wyszedłem. Po drodze kupiliśmy w sklepie owocowo-warzywnym dwie butelki wina i udaliśmy się do tego kumpla. Mieszkał on w parterowym domku pod czerwoną dachówką, a budę gołębiarską miał przy drewnianym wychodku w głębi zagraconego podwórza.

Weszliśmy do jego mieszkania, zajmował duży pokój z kuchenką. W tym pokoju dość przytulnie urządzonym grało radio, i na tapczaniku siedziały dwie dziewczyny. Jedną to dobrze znałem, bo była właśnie panienką tego kumpla, i razem z nią często jeździliśmy jednym autobusem do roboty. Ale tę drugą, nawet niebrzydką dziewczynę pierwszy raz zobaczyłem na swoje oczy. No nic. Postawiliśmy obie butelki na stoliku. Potem przywitałem się z obiema kobietami, zerkając bardziej na nieznajomą, w której towarzystwie miałem spędzić dzisiejszy wieczór. Całkiem niczego osoba, włosy miała czarne, wyraźny biust, nogi nie za grube o kształtnych łydkach. Ubrana też niezgorzej. Czerwony sweterek z wycięciem, sznur korali na szyi, w uszach błyszczące kolczyki. Mój kumpel w tym czasie powydobywał szklanki z kredensiku i zaraz napełnił je winem.

Ze szklaneczkami w rękach rozsiedliśmy się już wszyscy na tym tapczaniku, na którym one wpierw same siedziały. Nie czułem się jednak za dobrze, ręce trochę mi się trzęsły z powodu tej całej dzisiejszej historii kosztującej mnie wiele nerwów. Do tego ciągle myślałem czy mógłbym Halinę zamienić na tę nową z czystym sumieniem. W różny sposób przymierzałem sobie ją względem już nowego życia i ciągle byłem w kropce.

Tymczasem ona również zaczęła na mnie patrzeć, nawet głowę lekko przybliżyła, w nos wpadł mi drażliwy zapach perfum.

— Pan wydaje mi się — powiada — jest chyba trochę podenerwowany.

— Nie — mówię. — Tylko tak się zamyśliłem, proszę pani.

— A nad czym pan się tak zamyślił — pyta dalej — wolno przypadkiem wiedzieć.

Tym razem nie miałem pojęcia co odpowiedzieć. Ale przyszedł mi z pomocą kumpel.

— Co on może powiedzieć jak sobie jeszcze nie chlupnął. Poczekaj, poczekaj Lidka to ci jeszcze nie jedno miłe słowo powie.

Dziewczyny roześmiały się, wypiliśmy do dna i zapanował bardzo bezpośredni nastrój. Ta nowa czarna, czyli z imienia Lidka znów spojrzała na mnie. Musiałem zrobić na niej niezłe wrażenie, bo przecież byłem elegancko ubrany, w swoim najlepszym garniturze, pod krawatem. Tak siedząc na tapczaniku poczęstowałem obie kobiety papierosami i podałem im ognia. Lidka dziękując mi za ogień, znów zwróciła na mnie swoje oczy, które w przyćmionym świetle elektrycznym łagodnie pobłyskiwały.

— To teraz może pan powie o kim pan wtenczas myślał? — zapytuje — bo ja się domyślam, niestety, że ma pan na swoim sumieniu grzeszki.

— Skąd tam, proszę pani — jąkam się, ale wypite wino mnie rozgrzewa — jakie tam grzeszki.

— Ale po prawdzie to ma pan jakąś panienkę, z którą się spotyka — zaskakuje mnie Lidka z innej strony.

— Jakąś sympatią.

— Skąd — wypieram się już na dobre Haliny, chociaż ciężej mi to przychodzi niż każde inne kłamstwo. — Kiedyś to miałem, a teraz to tak czasem... Bardzo rzadko.

— To z pana musi być nielichy numer — powiada Lidka, ale tak bardziej pieszczotliwie.

Nie wiedziałem jak mam się teraz bronić, poza tym ona ładnie się uśmiechnęła do mnie. Zamilkłem i Lidka tak samo. Na moment temat nam się wyczerpał i we dwoje nie wiedzieliśmy jak go od nowa zacząć. Więc zacząłem na nią patrzeć, ona na mnie, Po tym patrzyłem na gustownie zawieszony żyrandol. Tymczasem mój kumpel i jego panienka siedzący obok nas zaczęli się w najlepsze całować, aż same nogi leciały im do góry. Raz jedno zawadziło mnie podeszwą, raz drugie obcasem, tak że musiałem długo ścierać ślady ze spodni swojego najlepszego garnituru. Kiedy jako tako uporałem się ze ścieraniem, oni poszli zatańczyć. W takiej sytuacji nam też nic innego nie pozostało, toteż wstałem i podałem Lidce rękę. Tańczyliśmy w jednym kąciku, a tamci nasi przyjaciele w drugim, bo miejsca było mało.

Tańczyłem z Lidką około trzech kawałków, tak mniej więcej. Ona bardzo do mnie się przyciskała, bardzo romansowo. Wywnioskowałem, że mógłbym z nią dużo wcześniej być po słowie niż z Haliną, chociaż Halinę dłużej znałem. Podczas tańca trochę rozmawialiśmy ze sobą szeptem o takich życiowych sprawach. Dowiedziałem się od niej, że ona przyjechała dwa dni temu z samego miasta Skarżyska.

— Chciałabym tu mieszkać — powiada mi, kiedy trzymam rękę trochę na jej plecach, trochę na szyi. — I rodziny mojej w tych stronach centralnych więcej.

— Ale są trudności z meldowaniem. — mówię. — Straszne ograniczenia z meldowaniem dla osób zamiejscowych, a żeby tak mieszkać w nowoczesnych blokach, to trzeba chyba drugi raz się urodzić. Albo — dodaję — mieć bardzo wysokie stanowisko, trzeba być szyszką.

— Sama wiem — mówi Lidka. — Ale mnie tam to nawet nie chodzi o nowoczesne. Mogłabym i w takim mieszkaniu mieszkać, gdzie w obecnej chwili się znajdujemy. Nie jestem taka bardzo wygodnicka.

— W nowoczesnym zawsze lepiej — mówię z podkreśleniem. — Są wygody, jak gaz, centralne ogrzewanie zimą, wygódka na miejscu.

— Pójdę chyba na motorniczych na tramwaje — mówi ona. — I zostanę tutaj na stałe.

— To będziemy mogli się spotykać, o ile tylko pani na to zechce przystać.

Lidka uśmiechnęła się odsłaniając białe zęby, przymknęła lekko oczy, i znów przycisnęła się do mnie, ale tym razem mocniej niż poprzednio, dwoma gorącymi piersiami, tak że zaczął mi szeleścić ten wniosek na mieszkanie, który wziąłem z Rady Zakładowej dla Haliny, i o którym to do śmierci zapomniałem, że mam go w kieszeni za podszewką marynarki. Odsunąłem się od niej na przyzwoitą odległość. Lidkę to zmitygowało.

— Co ty za papierzyska po kieszeniach nosisz — powiada delikatnie przechodząc mi na ty. — Wyjmij to lepiej, bo pognieciesz sobie. Wyjmij.

— Nie mogę — mówię jej i jeszcze bardziej odsuwam się od dziewczyny.

cdn.

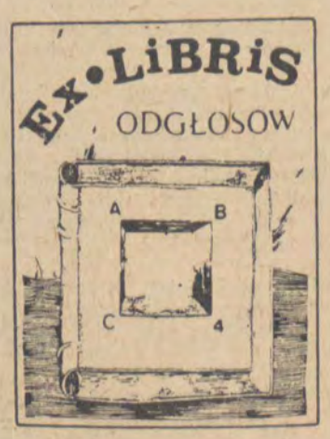

SZEŚĆ DNI KONDORA

Miłośnicy sensacji w stylu amerykańskim mają nie lada ucieche. Na ekranach kin pojawił się film „Trzy dni Kondora", natomiast „Czytelnik" wydał równocześnie książkę Jamesa Grady „Sześć dni Kondora". Mimo rozbieżności w tytułach chodzi o przygody tego samego Kondora, czyli Ronalda Malcolma, pracownika jednego z wydziałów CIA.

W przedmowie do „Sześciu dni Kondora" czytamy, że opisane wydarzenia są zmyślone, „ale w rzeczywistości mogły się niewątpliwie wydarzyć, ponieważ organizacja i działalność instytucji wywiadu, o których mowa, oparta jest na faktach. Wydział CIA, do której należał Malcolm, jak też Grupa Operacyjna 54/12 istnieją po dzień dzisiejszy, być może pod innymi nazwami".

Film ponoć spłyca wymowę książki, pomija bowiem jej wymowę polityczną, skupiając uwagę widza jedynie na wątku sensacyjnym. Natomiast James Grady wplótł w fabułę sporo partii opisowych przedstawiających w części strukturę organizacyjną CIA oraz metody jej działania. Są to sprawy równie interesujące, co owe sześć dni Kondora, w czasie których bohater samotnie rozwiązuje tajemnicę mordu popełnionego na jego współpracownikach, ściga morderców i... Reszty już zdradzić nie możemy.

James Grady, „Sześć dni Kondora", tłumaczył S. Wilkosz, Czytelnik, W-wa 1978, str. 188, cena zł 28.

PROZA KUBAŃSKA

W serii „Proza Iberoamerykańska" ukazała się powieść kubańskiego pisarza, Manuela Cofino Lopeza „Ostatnia kobieta, najbliższa walka", powieść, która została wyróżniona nagrodą Casa de las Américas w roku 1971. Jej akcja rozgrywa się w sześć lat po rewolucji kubańskiej, a jej główny temat to walka z pozostałościami feudalnymi w odległym nadleśnictwie. Można by przyłożyć do niej miarę powieści produkcyjnej i krótko streścić: były partyzant, obecnie nowy dyrektor nadleśnictwa — Bruno ma zaprowadzić w zaniedbanej osadzie leśnej nowy porządek, naprawić krzywdy i nadużycia władzy, przekonać ludzi o słuszności reform uświadomić im nowe prawa społeczne Byłoby jednak takie streszczenie wielce dla tej powieści krzywdzące. Czytelnik łatwo bowiem zauważy zalety tej pięknej, wielowątkowej książki. Przede wszystkim pełne poetyckiego uroku rozdziały poświęcone ludzkim namiętnościom rozgrywkom na tle bujnej nadmorskiej przyrody i ściśle z nią związanymi. Jest to powieść o ludziach, którzy próbują się rozliczyć z przeszłością, zmagają się z losem, walczą o inne, lepsze życie.

Powieść kubańskiego pisarza nie powinna sprawiać trudności w odbiorze czytelnikom, którzy zasmakowali już w specyfice prozy iberoamerykańskiej. Narracja jest tu prowadzona na zasadzie równoległości i równorzędności zdarzeń, wspomnienia przeplatają się z rzeczywistością, świat realny współgra ze światem wyobraźni, w którym ogromną rolę spełniają wierzenia i mity afrokubańskie.

Manuel Cofino Lopez, „Ostatnia kobieta, najbliższa walka", tłumaczyła J. Konieczna-Twardzikowa, Wyd. Literackie, Kraków 1978, str. 233, cena 30 zł.

SCENARIUSZE KRZYSZTOFA ZANUSSIEGO

„Kiedy sam sięgam do lektury cudzych scenariuszy — pisze Krzysztof Zanussi — najczęściej zależy mi na tym, by przywołać wspomnienia filmów, które oglądałem. Czasem bywa to jeszcze próba wyobraźni, kiedy czytam tekst, którego realizację mam dopiero zobaczyć. Nie oczekuję natomiast, by scenariusz filmu sam w sobie podziałał na mnie jako autonomiczny utwór artystyczny. Liczę, że moi Czytelnicy także nie będą mieli tak wygórowanych oczekwań".

Czytelnicy, skoro tylko dowiedzieli się, że ukazały się scenariusze Zanussiego, natychmiast zgłosili się do księgarni i pewnie wielu było zawiedzionych bo dziesięciotysięczny nakład nie starczy dla wszystkich chętnych. Nie ma chyba jednak racji autor — choć można zrozumieć jego powściągliwość — gdy sądzi, że jego scenariusz nie może oddziaływać jako samodzielny utwór artystyczny. W wydanym tomie znajduje się nie zrealizowany jeszcze przez reżysera scenariusz pod tytułem „Śmierć pośrodku drogi". Czytelnik nie może więc sobie kojrzyć go z widzianym filmem, dokonywać porównań. Tekst musi się bronić sam. I trudno przypuszczać, aby nie wywarł on ogromnego wrażenia na czytelniku, nie zmusił go do refleksji, nie zostawił jakiegoś śladu. Zanussi posługujący się piórem przemawia bowiem do nas równie silnie, jak Zanussi tworzący obraz kamerą.

Dla porządku informujemy, że w tomie znajdują się następujące scenariusze: „Próba ciśnienia", „Struktura kryształu", „Życie rodzinne", „Iluminacja", „Śmierć pośrodku drogi", „Bilans kwartalny", „Barwy ochronne".

Krzysztof Zanussi, „Scenariusze filmowe", Iskry, W-wa 1978, str. 431, cena zł 65.

WARTO PRZECZYTAĆ

M. Kuźniak, „Biała podróż", WL, cena zł 16.

T. Chróścielewski, „Trzy wdzięczne damy i anioł", WL, cena zł 12.

J. Waleńczyk, „Peregrynacje, WL, cena zł 12.

St. Grochowiak, „Wiersze wybrane", Czytelnik, cena zł 48.

J. Pijewski „Buńczuk i koncerz. Z dziejów wojen polsko-tureckich", Wyd. Poznańskie, cena zł 45.

J. Korczakowska „Zabawa w chowanego", LSW, cena zł 13.

T. Breza, „Jokkmokk", Wyd. Literackie, cena zł 16.

W. Żukrowski, „Ostrożnie ze Złotym Lisem", Wyd. Literackie, cena zł 16.

zdarzenia i zwierzenia

SŁOWO O BRUNONIE JASIEŃSKIM

Trudne są drogi pisarzy, zwłaszcza polskich pisarzy, bo historia nigdy nie szczędziła Polsce szlaków skomplikowanych i tragicznych — czasem wiodących do nikąd, czasem do zagłady... Pisałem niedawno w tym miejscu o Marianie Czuchnowskim, wiodącym dziś emigracyjną egzystencję w mglistym Londynie.

Inne były — choć także tragiczne — losy Brunona Jasieńskiego, o którym wielce ciekawą książkę napisała ostatnio Janina Dziarnowska. Jest to bodaj pierwsza, a z pewnością pierwsza tak pełna i tak przejmująca — książka o Jasieńskim, współtwórcy polskiego futuryzmu.

Trudne i zawiłe były drogi jego życia i twórczości. Wiodły go z podsandomierskiego Klimontowa, poprzez Warszawę, Paryż, Moskwę, Syberię, Taszkient, aż po kres życia. Było to życie tragiczne i dramatyczne. Tryby historii wciągały go coraz głębiej.

Jest w książce Dziarnowskiej scena rozmowy poety z działaczem komunistycznej emigracji w Związku Radzieckim. „Nie masz doświadczenia politycznego" — mówi mu działacz. Myślę, że miał rację. Ten poeta — nadwrażliwy i naiwny — pojmował walkę klasową, rewolucję, taktykę — w sposób spontaniczny i żywiołowy. A może inaczej? Taktyki — być może nie pojmował wcale.

Dziś, po latach, wiele spraw przebrzmiało, wiele się „jak figa ucukrowało", „jak tytoń uleżało", ale warto przypomnieć, że „Słowo o Jakubie Szeli" Jasieńskiego spotkało się z mocno sceptyczną oceną Broniewskiego, a bon vivant międzywojennej „Warszawki" napisał wierszyk „Słowo o Kubie Rozpruwaczu":

„Chodził bez butów ten chłoporman,
Lecz w butonierce jeden but miał —
Jaki to teraz przyszedł oman,
Że tak spoważniał i posmutniał?

Na próżno pragnie siebie przeróść,
O doli chłopskiej wiązać snop z kim,
Trudno mi wierzyć w sztuczną szczerość
Podlaną sosem mocno snobskim..."

Tak, tak — to są słowa Juliana Tuwima.

Także i polska prasa lewicowa nie doceniła poematu — do polskiej lewicy emigracyjnej w Paryżu pisarz jakoś nie mógł trafić. Co prawda, wyjeżdżając do Paryża zabrał ze Lwowa jakieś zakonspirowane adresy, poszedł tam z dużym opóźnieniem, okazały się nieaktualne.

Sława stanęła u progu, gdy napisał „Palę Paryż" — polemiczną replikę na nowelę Paula Moranda „Je brule Moscou". Sława stanęła u progu — powieść tłumaczono na francuski w Paryżu, w Moskwie przygotowywano przekłady na inne języki...

Książka się ukazała, ale któregoś wieczoru do mieszkania Jasieńskiego zapukała policja z nakazem wysiedlenia z Francji, motywując go drukiem powieści jawnie wzywającej do obalenia istniejącego ustroju. Pisarza odstawiono do granicy belgijskiej.

Belgia go nie przyjęła, nie przyjął także Luxemburg. Wylądował w Niemczech. Chciał wracać do Polski, ale to nie było wówczas łatwe. Potem nastąpił protest francuskich intelektualistów przeciwko wysiedleniu Jasińskiego z Francji. To odmieniło stosunek władz polskich, zaczęto — poprzez rodzinę poety — prowadzić rozmowy na temat powrotu Jasieńskiego do Polski.

„Palę Paryż" ukazuje się w kraju. Natychmiast zostaje gwałtownie zaatakowana przez całą prasę.

Wkrótce potem Międzynarodowe Biuro Literatury Rewolucyjnej zaprasza pisarza do ZSRR. Od tego powitania w leningradzkim porcie, a potem na dworcu w Moskwie zaczyna się druga część opowieści biograficznej o Brunonie Jasieńskim. Czy tylko o nim zresztą? Także o Dłuskim, Dąbalu, Radku, Wandurskim... Jest to bowiem opowieść o trudnej epoce i ludziach, którym przyszło w niej żyć i umierać.

Bruno Jasieński zmarł w roku 1937. W niecałe dwadzieścia lat później został pośmiertnie zrehabilitowany. Od roku 1956 do dziś książki jego osiągnęły nakłady kilkunastu milionów egzemplarzy. Opublikowano także wiersze pisane w więzieniu — po rosyjsku. Jeden z nich tak się kończy (przekład Anatola Sterna):

„Lecz ty moja pieśni, kuj gromy w mej kuźni
Nie płacz, że w tej norze dziś dano nam leże.
Haniebny jest los nasz — lecz wcześniej czy później
Ojczyzna swą straszną pomyłkę spostrzeże".

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

Mirosław Ostoja-Ochocki

To już nie głowa,
To BIBLIOTEKA NARODOWA.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

HOTELIK POD RÓŻAMI

Dawno temu piosenkarka zapewniała, że już nigdy nie zapomni hoteliku Pod Różami, chociaż minął rok. Tęskniła nie tyle za tym jednym hotelikiem, ile za tym, co w nim przeżyła. Ale to jej sprawa. Mnie chodzi o tęsknotę za małymi hotelikami w ogóle.

Na jednym z kongresów International Hotel Association stwierdzono zgodnie, że małe hoteliki stanowią najbardziej korzystną formę zapewniania ludziom noclegu. Wszakże wiemy o tym doskonale, że różne kongresy dochodzą niekiedy do bardzo ciekawych wniosków, postulują racjonalne rozwiązania, które w życiu nie znajdują żadnego odbicia. Kongresy sobie, a życie sobie. Podobnie wygląda sprawa z małymi hotelikami.

Moja tęsknota za małymi hotelikami bierze się nie z osobistych upodobań, a przede wszystkim z niepokoju o prawidłowy rozwój turystyki. Wiadomo powszechnie, że z hotelami u nas nie jest najlepiej. Było wprawdzie znacznie gorzej, gdyż budownictwo hotelowe ruszyło dopiero od kilku lat. Jednak to i tak nie wszędzie zaspokoiło potrzeby. Na przykład w Warszawie w sezonie turystycznym brakuje dziennie około 5 tysięcy miejsc. W Łodzi — mimo, że wybudowano kilka hoteli — sytuacja jest podobna. I będzie tak nadal, gdyż przedsiębiorstwa zajmujące się hotelami za cel pierwszej wagi postawiły sobie zapewnienie noclegów turystom zagranicznym, uczestnikom różnych zjazdów i konferencji, gościom zagranicznym przyjeżdżającym do nas w celach handlowych i ludziom na delegacji. Turysta — jak na razie — pozostaje poza tą sferą zainteresowań. A właśnie turystę najbardziej interesowałyby małe hoteliki.

W Polsce przedwojennej takich małych hotelików było około 1500. Oferowały one noclegi od 10 do 30 osób. Osiągały średnio 22 proc. zysku. Dzisiaj wszystkich hoteli mamy 570 (dane z 1976 roku), a w nich około 50 tys. miejsc. Natomiast małych hoteli, z ilością miejsc mniejszą niż 60, mamy 337. Wydawałoby się, że wszystko jest w porządku. Niestety. Małych hoteli nie ma na przykład Łódź, Warszawa, Poznań. Mają je zastępować kwatery prywatne, ale przecież są one w istocie tylko sposobem zapełnienia luki między ilością miejsc noclegowych a potrzebami.

W hotelarstwie nastawiamy się albo na wysoki standard światowy, jaki wymagają światowe systemy hotelowe, albo tylko na zapewnienie miejsca do spania. To bardzo dobrze, że niektóre nasze hotele należą do światowych systemów hotelowych. To jest potrzebne. Gorzej jednak, że reszta nie reprezentuje należytego poziomu. Jak wygląda większość naszych hoteli wie każdy, komu przychodzi podróżować po kraju.

Po całonocnej podróży w nienajlepszych warunkach marzyłem o ciepłej kąpieli. W miejscowości, do której przyjechałem był tylko jeden hotel, ale o łazience nie było co marzyć. Na piętrze, na którym dostałem pokój, był tylko zepsuty prysznic. Nie wszystkie pokoje w tym hotelu miały telefon. A to i tak były jeszcze dobre warunki. Przychodziło mi już mieszkać w znacznie gorszych. I nie były to wcale małe hotele.

Większość naszych hoteli żyje z ludzi na delegacji. Człowiek na delegacji ma bardzo małe wymagania. Wiadomo, że na delegacji nie zarabia się, a mało kto ma ochotę do delegacji dokładać. Każdy więc marzy o tym, aby załatwić szybko sprawę i wracać do domu. A jak już przyjdzie zostać, to szuka się miejsca do spania. I hotele głównie na takie potrzeby nastawiają się i takie potrzeby zaspokajają. Ponieważ nie mamy nadmiaru miejsc w hotelach, wiadomo więc, że rotacja gości jest duża i zdarza się, że ktoś drzemie w fotelu w recepcji, oczekując na wolny pokój. A są i tacy, którzy wracają na dworzec, aby przeczekać tam noc. Po co się więc zbytnio troszczyć o hotelowego gościa?

Tylko, że życie sprzyja rozwojowi turystyki. I chociaż obok hoteli mamy w Polsce motele, domy wycieczkowe, schroniska, pokoje gościnne, kempingi, i pola biwakowe, domy wczasowe i kwatery prywatne, w sumie 346 578 miejsc noclegowych, to przecież wiadomo, że potrzeby są znacznie większe. Zaspokoić te potrzeby można tylko budując nowe hotele. Ale to jest jedna droga. Inna — zakładać małe hoteliki, gdzie i standard byłby na właściwym poziomie i gdzie gościwym oferowano by nie tylko łóżko do spania, ale i inne usługi, jak jedzenie, możliwość skorzystania z telefonu, telewizora, informacji turystycznej, a także, żeby gość mógł oddać bieliznę do prania, garnitur do odprasowania itp. Po prostu potrzeba nam — biorąc pod uwagę rozwijającą się turystykę — nie tylko hotelików w dzisiejszym rozumieniu, ale czegoś w rodzaju pensjonatów. I to takich, do których chętnie się wraca, bo było tam dobrze. Do większości hoteli wraca się z musu, bo człowiek musi gdzieś spać.

Usługi dla ludzi podróżujących są u nas dość zaniedbane. Na przykład podróżny na dworcu. Informacja dla podróżnego. Ale to już zupełnie inna sprawa. Inny temat.

MARCIN RODAK

PRZEBRANA MIARKA

W najnowszej historii piłki nożnej w Polsce, różne już były okresy. Dyskutowano o całkowitym upadku tego sportu i o jego odradzaniu się. Wierzono w siły i zapał polskich piłkarzy. Wątpiono w ich umiejętności. Zachwycano się królami strzelców: Grzegorzem Lato i Andrzejem Szarmachem, później psy na nich wieszano. Dyskutowano o zmiennym charakterze Jana Tomaszewskiego, o skończonej karierze Kazimierza Deyny. Ale to już historia. O czym dyskutuje się teraz?

Teraz dyskutuje się o pieniądzach. Ile, który piłkarz dostał, jaką ma aktualnie cenę? Wprawdzie w Polskim Związku Piłki Nożnej nie wiszą cenniki piłkarzy, ale ludzie, którzy się tym interesują, wiedzą kto ile wart, komu dano dodatkowy etat, komu zmieniono mieszkanie, samochód... I ludzie zastanawiają się nieustannie nad jednym: skąd kluby sportowe biorą na ten cel pieniądze?

Ostatnio opinię kibiców piłki nożnej zbulwersowała sprawa Festuki — jak ją zaszyfrował tygodnik „Piłka Nożna". Jednek „Sztandar Młodych" był odważniejszy i ujawnił, że pod tym pseudonimem kryje się były bramkarz sosnowieckiego Zagłębia — Zdzisław Kostrzewa. Wiadomość tę powtórzył Dariusz Fikus w „Polityce" w artykule pt. „Sport za pieniądze". Cóż takiego zrobił ów niemal już symboliczny Festuka?

Zdzisław Kostrzewa — jak pisze „Piłka Nożna" — doszedł do wniosku że stracił wiele na udziale w „Mundialu — 78". Drużyna polska nie zdobyła spodziewanego wysokiego miejsca, o którym mówiło się, jak o pewniaku, zawodnicy nie otrzymali spodziewanych wysokich „nagród". Zdzisław Kostrzewa, czy, jak chce „Piłka Nożna", Festuka, liczył na to, że zarobi na „Mundialu — 78" 800 tys. złotych, a zarobił znacznie mniej. Postanowił więc odbić to sobie w kraju. Na urlop pojechał do „rodzinnego miasta" — jak pisze „Piłka Nożna". A z materiałów mundialowych wynika, że urodził się we Wrocławiu. „Pojechał do rodzinnego miasta, w którym istnieje dobra drużyna pierwszoligowa" — pisze dalej „Piłka Nożna". I dalej cytuje słowa Festuki: — „Klub w moim rodzinnym mieście jest skłonny zapłacić taką kwotę". „Taka kwota" — to 800 tys. zł. A klub „w rodzinnym mieście" — co już nie jest tajemnicą dla żadnego kibica — to wrocławski Śląsk.

Prezesi sosnowieckiego Zagłębia „takiej sumy" dać nie mogli, ale dali nowe, czteropokojowe mieszkanie, bo do tej pory Festuka miał trzy pokoje, dali talon na dużego „Fiata", bo do tej pory Festuka miał małego „Fiata", dali nagrodę za całokształt, która wprawdzie była mniejsza od żądanej sumy, ale — jak to pisze „Piłka Nożna" — wynosiła tyle, „ile przeciętny obywatel zarabia w ciągu roku". Festuka to wszystko wziął, potrenował trochę w Sosnowcu, później wygłosił mowę pożegnalną do klubowych kolegów, kazał pozdrowić prezesów i.. pojechał do Wrocławia. Ot, i wszystko!

Nie, nie wszystko. Dopiero się zaczął skandal. Kiedy były bramkarz Zagłębia brał, to prezesi cieszyli się. Ich największym zmartwieniem było jedynie to, skąd wziąć więcej, aby dać temu nienasyconemu piłkarzowi. Ale, kiedy on wziął prezenty i odszedł w siną dal, czyli na Dolny Śląsk, to oni poczuli się d o p i e r o w t e d y oszukani i zaczęli robić awanturę. PZPN nie zgodził się na grę Zdzisława Kostrzewy w Śląsku, a Zagłębie wystąpiło o ukaranie go d w o m a latami dyskwalifikacji. I tu rodzi się kilka pytań.

Pytanie pierwsze i zasadnicze: na jakiej płaszczyźnie rozpatrywać tę historię? Do wyboru mamy: prawną, moralną i sportową. Oczywiście władze sportowe mogą osądzać Zdzisława Kostrzewę za niesportową postawę. Ale wtedy trzeba byłoby w podobny sposób postąpić w stosunku do wielu innych, o których jakoś się nie mówi zbyt głośno, a którzy postępowali w sprawach finansowych podobnie, choć może w sposób nie tak radykalnie skrajny. Można ten czyn rozważać na płaszczyźnie moralnej. Tylko nie wiem, kto byłby do tego upoważniony. Trudno, aby czynił to zarząd klubu, który przecież też nie jest w porządku, zdobywając w sposób niezbyt znany pieniądze na takie właśnie cele. Pozostaje wreszcie sprawa prawna. Można postępowanie byłego bramkarza Zagłębia zakwalifikować jako wyłudzenie pieniędzy, oszustwo i coś tam jeszcze. I można skarżyć go w sądzie. Ale sosnowiecki klub tego nie zrobił i chyba nie zrobi. I ten fakt czyni z całej tej sprawy już nie tylko skandal, ale coś więcej.

Jedno jest w tej całej sprawie pewne. Nie można jej tak zostawić. Nie może się ona skończyć tylko na prasowych dyskusjach. Warto też byłoby, aby odpowiednie władze kontrolne, na przykład NIK, zainteresowały się dokładniej funduszami klubów sportowych, bo ludzie coraz głośniej i konsekwentniej pytają: skąd oni na to mają? I mają prawo tak pytać.

BOGDA MADEJ

INTELIGENCJA WARSZAWSKA

Dyskusja o społecznej roli inteligencji, o jej genealogii, znaczeniu w poszczególnych okresach naszych dziejów, trwają od lat kilkudziesięciu. Znacznie młodszą metrykę posiadają poważniejsze badania historyczne z tej dziedziny. Rozwinęły się one na dobre dopiero od lat sześćdziesiątych, bowiem wcześniej nie było dla nich pomyślne, koniunktury, podobnie jak i dla innych badań nad grupami społecznymi, które nie były klasami. Przypomnijmy w tym kontekście tak wartościowe prace, jak studia Janiny Leskiewiczowej nad inteligencją warszawską w okresie postyczniowym (1961), studia Janusza Żarnowskiego nad strukturą społeczną inteligencji w Polsce w okresie II Rzeczypospolitej (1964), późniejsze rozprawy takich autorów, jak Halina Kiepurska (1967), Ryszarda Czepulis — Rastenis (1973) i innych. Dziś do wcale długiej listy historyków, zajmujących się dziejami inteligencji, dołącza Janina Żurawicka swoją nową książką „Inteligencja warszawska w końcu XIX wieku" (PWN 1978). Znamy dobrze autorkę z jej wcześniejszych prac, wśród których na pierwszy plan wysuwa się cenna — omawiana przez nas niegdyś na łamach „Odgłosów" — monografia o Ignacym Radlińskim. Ta oraz inne prace J. Żurawickiej, świadczące o stałym rozszerzaniu przez nią zakresu prowadzonych badań, ogarnianiu nimi coraz nowych zagadnień i źródeł, dają znakomitą podstawę do podjęcia problemu, któremu poświęcona została omawiana książka.

Dlaczego traktuje ona akurat o końcu XIX stulecia? Wybór badanego okresu jest w tym przypadku w pełni uzasadniony, nie tylko — oczywista — przez to, że schyłek ubiegłego stulecia stanowił dość niedawną lukę w badaniach nad dziejami inteligencji warszawskiej. Z całą pewnością rację ma J. Żurawicka kiedy powiada, że czasy te mają szczególnie doniosłe znaczenie dla ukształtowania się oblicza, pozycji i roli tej warstwy społecznej, którą określamy mianem inteligencji, że były one istotne, co się tyczy uformowania się postaw ideowych inteligencji, „co zaważy później na historii narodu". Jak dotychczas bowiem nasz pogląd na rolę tej warstwy był ukształtowany — można by rzec — przez perspektywę pozytywistyczną. Tak wiele napisano o trudnych dziejach inteligencji do dobie ofensywy pozytywizmu w okresie po powstaniu styczniowym, związanej z głębokimi przemianami społecznymi i gospodarczymi, jakie niósł bujny rozwój kapitalizmu, że... zbyt często spoglądaliśmy na sprawy i stosunki późniejsze przez okulary stosunków z lat sześćdziesiątych — siedemdziesiątych XIX stulecia. Licznych inteligentów — niegdyś przedstawicieli pozytywizmu — uważaliśmy wciąż za pozytywistów nawet w czasach, kiedy byli oni już bardzo daleko od ideałów swej młodości. Zacierało to widzenie zmian, utrudniało zrozumienie polaryzacji, dokonującej się na przełomie wieków nie tylko w tej warstwie społecznej, uniemożliwiało wręcz zrozumienie ewolucji ideowej, w wyniku której tak wielu dawnych szermierzy postępowości, spod znaku Spencera, Buckle'a czy Darwina, wylądowało później w obozie społecznej prawicy...

Dlaczego książkę swą poświęciła J. Żurawicka właśnie inteligencji warszawskiej? Każdy autor ma oczywiście swobodę wyboru obszaru swych badań, a dotychczasowe poszukiwania J. Żurawickiej dawały jej doskonałą podstawę do podjęcia tematyki warszawskiej. Ale chyba nie tylko to sprawiło, że autorka zajęła się inteligencją naszej stolicy w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia. Spychana przez zaborcę do roli prowincjonalnego miasta carskiego imperium Warszawa, nękana represjami i prześladowaniami, wprawdzie na jakiś czas — w dobie postyczniowej — straciła wiele ze swej dotychczasowej pozycji w kraju, przecież niebawem zdołała ją nie tylko odbudować, ale i umocnić. Stało się to między innymi za sprawą tej inteligencji twórczej, która w najtrudniejszych warunkach ożywiała życie kraju. Inteligencja warszawska końca XIX i pierwszych lat XX stulecia miała odmienny kształt, aniżeli np. inteligencja krakowska czy lwowska. Trzeba ten indywidualny, charakterystyczny kształt precyzyjnie określić. Drogą do tego są badania historyczne.

J. Żurawicka proponuje nam szerokie spojrzenie na tę problematykę. W swojej książce stara się dać „możliwie wyczerpujący przekrój wszystkich aspektów życia i działalności ówczesnej inteligencji warszawskiej", omawiając sprawy jej genealogii, liczebności, wykształcenia, pozycji społecznej, wreszcie „osiągnięć na niwie społecznej i kulturalnej". W centrum uwagi autorki znalazły się ważkie procesy społeczne, związane z przemianami społeczeństwa kapitalistycznego w interesującym ją okresie. Wiele uwagi poświęciła więc J. Żurawicka dezintegracji inteligencji warszawskiej, wytwarzaniu się coraz głębszej przepaści między „proletariatem inteligentnym" oraz tą częścią warstwy, która zbliżała się, nie tylko pod względem stylu życia, do burżuazji. „Procesy rozwarstwienia społecznego oraz ekonomicznego w łonie samej inteligencji — powiada autorka — prowadziły do różnicy stanowisk wobec zasadniczych problemów ówczesnego społeczeństwa, rodziły często przeciwstawne sobie koncepcje i próby ich rozwiązania. Z „mgławicy ideowej" okresu lat osiemdziesiątych, jak go charakteryzował Ludwik Krzywicki, wyłoniło się pod koniec wieku kilka wzajemnie zwalczających się partii i ugrupowań politycznych, w których dużą, a często dominującą rolę odgrywali przedstawiciele inteligencji. Wewnętrznie skłócona wstąpiła inteligencja warszawska w wiek XX".

ANDRZEJ F. GRABSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł. kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Nr indeksu 26762. Zam. 2198. I-2.